

ADAM BAHDĄJ

DO PRZERWY 0:1

WYDAWNICTWO LITERATURA ŁÓDŹ 1999

ADAM BAHD AJ

DO PRZERWY 0:1

WYDAWNICTWO LITERATURA ŁÓDŹ 1999

ROZDZIAŁ I

Maniuś obudził się. Przetarł oczy, ziewnął i nieprzytomnym od snu wzrokiem powiódł po pokoju. Było pusto i cicho, tylko z zepsutego kranu kapiała monotonicznie woda.

Maniuś przeciągnął chude ramiona i wystające spod koca, niezbyt czyste nogi. Z wygrzanego ciała wyganiał resztki drętwoty. „Widocznie ciotunia już wyszła - pomyślał, gdy ocknął się zupełnie. - Trzeba popatrzeć, czy zostawiła śniadanie”.

Wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do pieca. Na blasze w nieładzie stały stare, okopcone garnki. Po kolei podnosił pokrywki, opuszczając je z coraz większym rozgoryczeniem. Wszystkie garnki zionęły pustką; nawet ten średni, czerwony z urwanym uchem, w którym ciotka zwykle zostawiała kawę.

„To mnie ciotunia urządziła - myślał kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nie zostawiła nawet kropelki. Pewno się bardzo spieszyła i nie zdążyła ugotować kawy. Albo nie miała już pieniędzy na paczkę »zbożowej« i cukier”.

Chłopiec nie tracił jednak nadziei. Otworzył stojącą obok pieca szafkę. Schylił się, zaczął grzebać wśród talerzy, misek i starych, szeleszczących torebek. Prócz garstki kaszy jaglanej, na dnie papierowej torebki, niczego nie znalazł. Stał chwilę strapiiony, palcami czochrał sztywne włosy, powtarzał bezmyślnie: - Ale mnie ta ciotunia urządziła! Ale mnie ta ciotunia urządziła!...

Należał jednak do chłopców, których trudno doprowadzić do rozpacz. Po chwili, gdy zrozumiał, że bezcelowo gapi się w puste wnętrza szafki, gwizdnął zawadiacko i nie zastanawiając się wiele, odkręcił kran. Woda chlusnęła z szumem. Maniuś rozpoczął swą poranną toaletę. Polegała ona na umoczeniu rąk, przetarciu nimi oczu i nosa i kilkakrotnym parsknięciu dla dodania sobie odwagi.

Po umyciu poczuł się rześko i wesoło. Nic już nie mogło zmącić jego dobrego nastroju, z którym zwykł budzić się rano. Nie pierwszy to raz wychodził z domu bez śniadania. Jakoś sobie poradzi. Tacy jak on nie zwykli martwić się byle drobnostką. Zagwizdał piosenkę, którą usłyszał wczoraj pod PDT na Wolskiej: „Nicolo, Nicolo, Nicolino...” To przywróciło mu pełną równowagę.

Spojrzał w okno. Ślepe mury sąsiedniej kamienicy jarzyły się jasnym słońcem, płat nieba nad dachem był czysty i wesoły. Wszystko zwiastowało, że całe przedpołudnie można będzie powłóczyć się po mieście.

Ubrał się szybko. Ta czynność nie zabrała mu wiele czasu. Garderoba bowiem składała się z dziurawych trampek, połatanych welwetowych spodni i trykotowej koszulki. Jedynym szczegółem, który temu ubiorowi nadawał nieco świetności, była nowa czapka „kolarka” z małym podwiniętym daszkiem. Z fantazją nasunął ją na głowę, pobieżnym spojrzeniem sprawdził swój wygląd w wyszczerbionym lustrze i gwizdząc „Nicolo, Nicolo, Nicolino” wyszedł z pokoju.

Zamknął drzwi, klucz włożył pod szmatę, która służyła za wycieraczkę. Zakończył w ten sposób pierwszy rozdział dnia. Dnia - jak każdy inny. Nie zastanawiał się nad nim ani nie roztkliwiał.

Nie zastanawiał się również, dlaczego schody tak niemiłosiernie trzeszczą pod jego trampkami. Były to przedziwne schody: kilka zbitych, przegniłych desek połączonych wytartymi poprzeczkami, odgradzonych od czeluści windy chwiejącą się barierą. Zejście z czwartego piętra wymagało znajomości akrobacji, ale Maniuś schodził tak lekko i tak beztrąsko, jakby to były ruchome schody na

Trasie W-Z.

Przedziwne te schody wisiały w przedziwnym domu. Przerąbany na pół przez bombę, stał teraz jak pszczeli plaster wyjęty z gigantycznego ula, odsłaniając przekrój zamożnej niegdyś kamienicy czynszowej. W jej wnętrzu ubodzy mieszkańcy Woli wbudowali swe prymitywne mieszkania niby gniazda gołębie.

Dla Manusia była to najzwyklejsza, najnormalniejsza w świecie kamienica. Odznaczała się jedynie tym, że przewyższała swe sąsiadki o dwa piętra, a okoliczna ludność nazywała ją - „Gołębnikiem”. Było to bardzo praktyczne. Gdy ktoś Manusia zapytał: - Gdzie mieszkasz? - nie musiał się długo zastanawiać, mówił po prostu: - W Gołębniku - i to zupełnie wystarczało.

Na czwartym piętrze gnieździły się tylko dzikie gołębie, wróble i nietoperze. Na pozostałych zbite z desek drzwi świadczyły, że tutaj mieszkają ludzie.

Maniuś zatrzymał się na chwilę. Zza parapetu wziął żelazny pręt i trzy razy uderzył nim w szynę windy. Zabrzmiało to jak uderzenie w gong. Na ten odgłos z obu stron klatki schodowej niemal równocześnie uchyliły się drzwi, a w drzwiach stanęło dwóch chłopców: jeden rosły, wysoki, z jasną, otwartą twarzą i jasnymi, kędzierzawymi włosami; drugi niski, szczupły, uczesany na jeża, o twarzy wątlej, upstrzonej piegami.

- Cześć! - przywitał ich przyjaźnie Maniuś.

- Cześć! - odpowiedzieli jak na komendę.

- Wakacje, bracie! - uśmiechnął się Boguś, ten uczesany najeża, nazywany przez chłopców „Perełką”.

Maniuś wydał wargi.

- Mnie tam wszystko jedno, czy wakacje, czy nie...

- No tak, nie chodzisz już do szkoły.

Drugi z chłopców, Felek, zwany na Górczewskiej „Mandżaro”, uważnie przyjrzał się Maniusiowi.

- Słuchaj, „Paragon”, dobrze, żeś się zjawił. Zaczynamy dziś trening. Powiedz wszystkim, żeby przyszli o czwartej na boisko. Dobra? - Głos miał suchy, niemal rozkazujący.

Maniusiowi nie spodobał się ten ton.

- To się zobaczy.

- Co się zobaczy? - zachnął się Mandżaro. - Przecież ty jeden masz czas. Maniuś skrzywił się.

- Tak ci się zdaje.

- A cóż masz do roboty?

- Ech, bracie - uśmiechnął się cierpko. - Życie nie jest bajką ani filmem. Ty wszystko legalnie masz w domu, a ja muszę organizować.

- O co chodzi?

Maniuś chciał już powiedzieć, że mu ciotka nie zostawiła śniadania, ale rozmyślił się. Trzeba przecież mieć ambicję. Nie można się skarżyć. Machnął więc ręką i rzucił kpiąco:

- Dobra jest, zrobi się, jak pan prezes rozkazuje. Mandżaro nie wyczuł kpiny.

- Pamiętaj, żebyś nie nawalił, bo to ważna sprawa. Musimy zmontować silną pakę.

- W niedzielę zagramy mecz z chłopakami z Okopowej - wtrącił Perełka i aż oczy mu zabłyśły na tę myśl.

Maniuś zmarszczył brwi.

- Z „Bazantami”?

- A jakżeś chciał?
- Oni nam wleją, zobaczycie.
- Nie wiadomo.
- Do kółka.
- Zobaczymy.
- Zobaczymy - powtórzył Maniūs i pstryknął w daszek czapki na pożegnanie.

Mandżaro przechylił się przez poręcz.

- Pamiętaj, Paragon, o czwartej na naszym boisku!

Cała sztuka zbierania pustych flaszek polegała na tym, żeby dobrze znać miejsca, w których można było je znaleźć. W tej dziedzinie Maniūs miał niemałe doświadczenie. Kiedy wyszedł z Gołębnika, od razu skierował się ku wielkiemu placowi budowy, gdzie wznoszono nowe bloki mieszkalne. Okrążył wysoki, zбитy z odpadków desek płot, ominął wielkie doły z wapnem, zbliżył się do baraków, z których dolatywało sennie stukanie biurowych maszyn. Wiedziony nieomylnym instynktem, odnalazł miejsce, gdzie wczoraj po fajerancie murarze wypróżniali butelki. Był to zaciszny kątek między dwoma barakami, osłonięty nisko spadającym dachem, który ochraniał zarówno od deszczu, jak i gorących promieni słonecznych. Chłopiec nie omylił się. Pod ścianą na podmurówce z cegieł stało pięć pustych butelek po „czystej”, ułożonych według wzrostu: na czele litrówka, potem półlitrówka, a na końcu trzy ćwiartki - szeregowo tego małego oddziału. Widać było, że ułożyła je fachowa ręka, że konsumentów ze zbieraczami łączyła jakaś nieumowna solidarność. Wszystkie butelki były calutkie i czyste. Nie trzeba było ich myć.

Maniūs gwizdnął wyrażając w ten sposób swe zadowolenie i podziw dla poczucia porządku i ładu. „Będzie »piątek« - pomyślał. - Bez pomocy ciotuni też można żyć na świecie, zwłaszcza na Woli”.

Zabrał flaszki, wrócił na Górczewską, gdzie pod numerem 105 za wystawową szybą widniał duży napis: „Skup butelek”.

- Paragon, ty znowu tutaj! - przywitała go ekspedientka. W głosie jej można było wyczuć sympatię dla chłopca.

- Pięć buteleczek, pani szefowo - Maniūs uśmiechnął się całą gębą i łobuzersko przymrużył oko. - Prosto od konsumentów. Widać, że cyrkulacja na stodwa.

- Czyste?

- Jakbym śmiał przynieść brudne, pani szefowo? Bez zmrużenia oka można napęlnić i nie stanie się krzywda zarządzeniom sanitarnym.

Gdy z kasy otrzymał banknot pięcioletowy, splunął nań, przybił dłonią.

- Dobra jest, pani szefowo. Pani zawsze mi szczęście przynosi. Dobry na dziś początek. Odpływam, bo dalsze interesy na mnie czekają. Trzeba żyć...

W jego przemówieniu tyle było dojrzałości i zarazem poczucia godności, że ekspedientka patrząc na wyrostka zadumała się na chwilę.

Maniūs załatwiwszy sprawy urzędowe, zmienił ton. Przybliżył się, rozejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje, zaczął mówić poufnym szeptem:

- Pani Kaziu, a ten brunet Zbyszek, no wie pani, znowu się o panią pytał. Gdyby pani potrzebowała jakiś liścik albo wiadomość, to ja chętnie służę. Dla pani to wszystko, panno Kaziu, tylko żeby mi pani nie kazała flaszek myć, bo tego nie lubię.

Ekspedientka szybkimi ruchami poprawiała utlenione włosy.

- A co pan Zbyszek?

- No co? Pytał się o panią: jak zdrowie, jak szanowna familia i w ogóle w ten deseń.

- I nic więcej?

- Więcej? Więcej nie pamiętam, panno Kaziu. Ale jak będzie trzeba jakiś liścik lub inną korespondencję, to do usług - uniósł dłoń do daszka i posyłając pulchnej ekspedientce najweselszy na całej Woli uśmiech, zniknął w drzwiach.

- Ach - westchnęła patrząc w puste drzwi - jaki miły chłopak z tego Paragona!

Maniś tymczasem skierował się do baru mlecznego „Pod Bitą Śmietanką”. Obliczał w myśli, co będzie mógł zjeść za pięć złotych. Po chwili doszedł do wniosku, że zafunduje sobie dużą bułkę i kubek mleka, a resztę schowa na inne wydatki.

Wychodząc z baru mlecznego czuł się tak, jak powinien czuć się chłopiec w jego wieku po spożyciu dobrego śniadania. Wsadził ręce w kieszenie i zagwizdał piosenkę, od której nie mógł się odczepić: „Nicolò, Nicolò, Nicolino...”

Szedł wesoły i beztroski. Mijał rzadkich o tej porze przechodniów, pozdrawiał znajomych.

- Jak się masz, Paragon? - witali go z daleka. A on mrużył iskrzące się oczy i odpowiadał:

- Dziękuję, nie najgorzej!

- Jak się masz, Paragon? - zatrzymała go na rogu pani Wawrzynek, właścicielka wózka z owocami, kobieta w sile wieku, której obfite kształty rozsadały obcisłą perkalową suknię.

- Dzień dobry, pani szefowo! Jak interes idzie? Czy szanowne „klapsy” staniały? - witał dobrą znajomą, z którą łączyło go moc wspólnych spraw.

- Cóż ty dzisiaj taki wesoły? - zapytała handlarka odpędzając muchy z owoców.

- Jak zwykle, pani szefowo. Cóż robić? Jak panią zobaczę, to mi się od razu humor poprawia. Fakt, nie reklama. A może i dla mnie znajdzie się jakaś robota? Jabłuszka wyglancować albo czereśnie przebrać? Wpadłoby do kieszeni kilka „kapsli”.

Pani Wawrzynek nie miała wprawdzie pilnej roboty dla przygodnego pomocnika, ale jak tu odmówić chłopcu, który przywitał ją z największą galanterią? Oj, co Wola, to Wola, ludzie tu grzeczni, dobrze ułożeni, chociaż zadziorni i nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

- No, niby roboty żadnej nie ma - odrzekła z uśmiechem na lśniącej od potu twarzy - ale możesz czereśnie przebrać, bo niektóre już zepsute i klientela nosem kręci.

„Ha - myślał Maniś przebierając lepkie i broczące sokiem owoce - ciotunia nie zostawiła śniadania, ale człowiek inteligentny i uprzejmy z głodu nie umrze. Trzeba mieć tylko w głowie dobrze umeblowane i obrotny język w gębie...”

Czereśni nie było wiele. Część z nich zawędrowała do żołądka Maniusia, część na śmietnik, a część do kosza.

- Aleś przebrał! - pani Wawrzynek załamała ręce. - Połowy z tego nie zostało.

- Trudno, pani szefowo - tłumaczył jej Maniś. - Pani to znana firma, złego towaru klienteli nie podsunie. Legalna obsługa, nie tak jak w MHD, gdzie same zgniłki przyzwoitym ludziom za świeży, prosto z drzewa owoc sprzedają.

Udobruchana pani Wawrzynek przytaknęła tylko głową, wyciągnęła z kasy dwa złote i wygładziwszy je w dłoniach, podała chłopcu.

- A jak będziesz miał czas, to przyjdź znowu. U mnie zawsze robota się znajdzie.

Maniś dotknął palcami daszka kolarki.

- Szanowanie, pani szefowo! Szanowanie najsolidniejszej firmie na Woli! Pomyślnych obrotów i

strzeż Boże od mank!

Odszedłszy na przyzwoitą odległość, wyjął z kieszeni dużą, rumianą gruszkę. Kiedy znalazła się w jego kieszeni, tego sam nie wiedział. Widocznie gruszki pani Wawrzynek mają tę właściwość, że same wskakują tam, gdzie trzeba. „No cóż - pomyślał - to premia za przebieranie czereśni”. Wbił w owoc zdrowe zęby, aż sok popłynął strużkami po brodzie. Zajadając soczystą gruszkę, chwalił w myśli panią Wawrzynek za dobry towar.

Za następnym rogiem zatrzymał się przed witryną, zza której uśmiechała się do niego gipsowa twarz uszmkowanej piękności. Była to jedyna reklama zakładu fryzjerskiego trzeciej kategorii pana Euzebiusza Sosenki. Na gipsowej głowie puszył się fantazyjnie zaczesany kok spłowiałych włosów, barwy nieczyszczonego lnu. Gdyby nieprzyklejone rzęsy, podobne do łapek chrabąszcza, i nie lekki zez w oczach, gipsowa główka przypominałaby do złudzenia pannę Kazię z MHD.

Maniuś był dziś w tak wyśmienitym humorze, że uśmiechnął się do gipsowej twarzy. Zdawało mu się, że odwzajemniła się jakimś nikłym, ledwo dostrzegalnym półuśmiechem. Zachęcony tym, pchnął drzwi i wszedł. Od razu rzucił mu się w oczy właściciel zakładu pan Sosenka, a raczej jego wielka, błyszcząca, łysa czaszka pochylona nad namydloną po białka oczu twarzą klienta.

- Szanowanie, panie szefie! - zawołał Maniuś zdejmując czapkę. - Wygrywamy, panie szefie, co?

Pan Sosenka oderwał brzytwę od sonej twarzy klienta.

- Nie przeszkadzaj! - burknął posyłając Maniusiowi karcące spojrzenie wielkich, wylupiastych oczu.

Maniuś skrzywił się. Zrozumiał, że szef jest w złym humorze. To mu się ostatnio dość często zdarzało, gdyż jego ulubiona drużyna „Polonia” przegrała pod rząd dwa mecze. Chłopiec chciał się wycofać, ale rozmyślił się. Postanowił jeszcze raz wypróbować swe zdolności i rozchmurzyć ponurego fryzjera.

- Zobaczy pan, że następny mecz wygramy - rzucił nie patrząc na szefa. - Do kółka wlejemy tym z Chodakowa, panie szefuniu.

- Do kółka! - zawołał pan Sosenka.

- Zawsze mówię, że nie ma jak „poloniści”. Grają jak z nut. A że pech...to trudno, za to nie odpowiadamy. Mnie się zdaje, że ten ostatni mecz to sędzia zawałił.

Pan Sosenka gwałtownym ruchem uniósł brzytwę, jakby chciał klientowi gardło poderznąć. Jego szeroka twarz rozjaśniła się nagle, oczy złagodniały.

- Otóż to! - zawołał zachrypniętym głosem. - Sędzia, oczywiście, że sędzia.

- Kalosz, legalny kalosz - podchwycił Maniuś.

- Jeszcze gorzej! Takich milicja powinna zamykać, jak chuliganów.

- Legalnie zamykać - przytaknął Maniuś.

Pan Sosenka przejechał brzytwą po namydlonym policzku wystraszonego klienta.

- Ja ci mówię, Paragon, że mnie ten sędzia pół życia kosztuje. Spać nie mogę, jeść nie mogę, pracować nie mogę. Sam już nie wiem, co mogę, a czego nie mogę - odsapnął ciężko.

- „Polonia” wygra, panie szefie - pocieszał go Maniuś. - Słowo panu daję, że wygra.

- Mówisz, że wygra?

- Legalnie, panie szefie.

Szef jeszcze raz odsapnął, po czym już uspokojony zabrał się do golenia. Mydląc twarz klienta, pełnym wdzięczności spojrzeniem zerkał na Maniusia.

- Ej, Paragon, z ciebie złoto, a nie chłopiec. No, na co czekasz? Zabieraj szczotkę i jazda do

roboty! Przyniesiesz wody, a potem skoczysz po papierosy i "Przegląd Sportowy".

- Już się robi, panie szefie - chłopiec złapał szczotkę i gorliwie jął zamiatać rozsiane na podłodze włosy. Wiedział, że znowu wpadnie do kieszeni kilka złotych.

Wychodząc z zakładu fryzjerskiego, jeszcze raz sprawdził swoją „kasę”. Ze śniadania zostało mu dwa złote, dwa dostał od pani Wawrzynek i trzy od fryzjera. Jednym bystrym spojrzeniem przeliczył pieniądze: zgadzało się, był posiadaczem siedmiu złotych. „Nie tak źle - pomyślał. - Będzie jeszcze na lody i na paczkę »Firmowej Mieszanki«. Kupi się ciotuni trochę kawy, żeby rano nie było niespodzianek. Niech wie, że i ja myślę o domu”.

Teraz dopiero przypomniał sobie o zleceniu Mandżaro. A więc o czwartej trening. Trzeba zawiadomić chłopaków, bo niedzielny mecz z „Bażantami” to nie żarty. „Bażanty” mają silną drużynę, a przy tym grają w niej sami starsi chłopcy. Niełatwo będzie wygrać. Maniuś przystanął. Najbliżej było do Tadka Puchalskiego. Wbił ręce w kieszenie, zagwizdał „Nicolo, Nicolo, Nicolino...” i szybkim krokiem ruszył, by zawiadomić Puchalskiego o treningu.

Mandżaro dał umówiony sygnał, trzy razy uderzył żelaznym prętem w szynę sterczącą z pustego szybu windy. Metaliczny dźwięk zapełnił na chwilę ciemną czeluść klatki schodowej. Chłopiec niecierpliwie odbijał piłkę o nagą, odrapaną z tynku ścianę. Po chwili zaskrzypiały zbite z desek drzwi i w półmroku ukazała się drobna, piegowata twarz Bogusia Perełki.

- Na ciebie, bracie, zawsze trzeba czekać - przywitał go Mandżaro niezbyt przyjaźnie. - Już czwarta dochodzi. Musimy się spieszyć.

Perełka spojrzał na niego z wyrzutem.

- Ty myślisz, że mnie tak łatwo... Naczynia musiałem zmywać po obiedzie.

- Stary w domu?

- W domu... - Perełka zająknął się. Po chwili dodał ze smutkiem: - Znowu wrócił zalany. Musiałem mu buty zdejmować.

- Oberwałeś?

- Gdzie tam... Mój stary to dobry chłop, nie bije. Za co miałby bić?

- Z pijakami nigdy nic nie wiadomo. A ten z sutereny, Piechowiak, to co? Jak sobie podgazuje, tłucze dzieci, aż piszczą. Wczoraj znów milicja u nich była.

Perełka uśmiechnął się.

- Mój stary to co innego. Jak wraca, to zawsze coś do domu przyniesie. Dobry, tylko ta wódka... - urwał nagle i ręką uczynił taki gest, jakby chciał zakończyć rozmowę. Szli w milczeniu. Mandżaro odbijał piłkę o suchy, wygrzany bruk ulicy. Myślał o niedzielnym meczu. Naraz zatrzymał się i odbiwszy mocniej piłkę, zapytał:

- Ciekawy jestem, czy Paragon wszystkich zawiadomił?

- Chyba tak... - mruknął Perełka.

- Z nim to nigdy nic nie wiadomo.

- Zobaczymy.

Mandżaro ruszył raźniejszym krokiem, jakby przypomniał sobie, że mogą się spóźnić. Starą, mocno odrapaną i pękatą w szwach piłkę przyciskał do boku. Twarz miał zatroskaną.

- Wiesz co - powiedział szybko, nie patrząc na kolegę - musimy zrobić mocną drużynę, najlepszą na Woli. Ja już to wszystko obmyśliłem. Trzeba założyć klub.

Perełka przystanął, wybałuszywszy na Felka małe, kocie oczy.

- Klub! - zawołał. - Pierwszorzędny pomysł! Ja też o tym myślałem. Mandżaro zrobił jeszcze

poważniejszą minę.

- Tak, bracie, musimy się zorganizować. Dzisiaj po treningu zrobimy zebranie. Wybierzemy kapitana drużyny, skarbnika, ułożymy plan treningów, zrobimy spis graczy. Do tej pory to wszystko było do chrzanu. Tak dalej być nie może - zakończył rzeczowo.

- Tak dalej być nie może - powtórzył Perełka i z całej siły wałnął Felka w plecy. - Dobrześ to wykombinował! Strasznie się cieszę. Będziemy mieli klub. Kupimy nową „gałę”, zrobimy sobie jednakowe spodenki. Może czerwone, co? - popatrzył na Mandżaro roziskrzonymi z podniecenia oczami.

- Nie, czarne, tak jak „Polonia”.

Argument okazał się bardzo przekonujący. „Polonia” była dla wszystkich chłopców z Górczewskiej, a przede wszystkim dla mieszkańców Gołębnika najukochańszą warszawską drużyną. Kibicowali jej zawzięcie. Gotowi byli toczyć o nią zażarte boje ze zwolennikami „CWKS-u” lub „Gwardii”. Nic więc dziwnego, że Perełka nie próbował się sprzeciwić. Zapytał tylko:

- A jak nazwiemy nasz klub?

- Już mam nazwę, tylko musimy ją wszyscy zatwierdzić.

- Powiedz, jaką? - Perełka dygotał z podniecenia. Drobiąc obok wysokiego Mandżaro, podskakiwał, zacierał dłonie, zaciskał palce. Ale Mandżaro zachował spokój, godny autora dobrego pomysłu.

- Nie powiem, dowiesz się na zebraniu. Każdy napisze na kartce swoją nazwę, a potem będziemy głosowali.

- Świetnie! - Perełka podskoczył jak konik polny. - Ja też coś wymyślę. Muszę się tylko zastanowić.

Umilkli, gdyż Perełka zaczął tak głęboko zastanawiać się nad nazwą drużyny, że w drodze do boiska nie powiedział już ani słowa.

Boiskiem nazywali chłopcy plac, na którym kopali piłkę. Był to niewielki teren wciśnięty między warszawskie gruzy, zasypyany odłamkami cegły, zarośnięty po bokach gąszczem zielska i chwastów. Dla zapalonych piłkarzy stanowił on oazę wśród wielkiego rumowiska nieuprzątniętych jeszcze gruzów. Z jednej strony odgradzała go od ulicy ślepa ściana wypalanej kilkupiętrowej kamienicy, z drugiej - rumowisko parterowego domu zarośnięte chwastami, z trzeciej - wysoki płot, za którym znajdowało się cmentarzysko starych samochodów, z czwartej zaś - ogród warzywny warszawskiego „badylarza”. Na tym nędznym placyku skupiało się życie sportowe chłopców z Górczewskiej i okolicznych ulic. Tętniło ono najmocniej w godzinach popołudniowych, kiedy chłopcy opuszczali progi szkoły. Teraz, gdy zaczynały się wakacje, było zajęte od rana do wieczora. Rozgrywano tu pasjonujące mecze, kończące się zwykle kłótniami, a nawet bójkami. Organizowano turnieje zapaśnicze. Urządzano na przedce zawody lekkoatletyczne. Często odbywały się również pokazy i zawody akrobatyczne, chodzenie na rękach, skoki i inne sztuki.

Od czasu, gdy chłopcy z Gołębnika pod wodzą Felka-Mandżaro wygrali mecz z reprezentacją Górczewskiej, plac stał się ich boiskiem, a oni jego właścicielami. Każdego intruza, który chciał im przeszkodzić w treningach, przepędzali bez pardonu, a protestujący przeciwko tym przywłaszczonym prawom niejednokrotnie musieli opuszczać boisko z podbitym okiem lub nadwierzoną szczęką.

Mandżaro i Perełka już z daleka, przez wyrwę w murze, ujrzeli na swym boisku kilku chłopców kopiących piłkę. Widok ten poderwał ich do szybkiego biegu. Któż to śmiał zająć ich boisko, i to w godzinach wyznaczonych na trening. Błyskawicznie przemknęli przez szczelinę w murze, wpadli na

wyłysiała murawę i stanęli, jakby im ktoś podciął nogi.

Na boisku, wśród uwijających się za piłką chłopców, zobaczyli bowiem „Skumbrię”, przywódcę „Bazantów” z Okopowej, kapitana drużyny, z którą mieli się zmierzyć w najbliższą niedzielę. Widok ten tak ich zaskoczył, że przez chwilę stali jak sparaliżowani, nie wiedząc, co począć w tak nieprzewidzianym wypadku. Z zupełnego osłupienia wyrwał ich dopiero Poldek Piechowiak, zwany przez chłopców z Gołębnika „Pajakiem” z powodu nikłej budowy i nieproporcjonalnie długich kończyn. Pajak należał do najpilniejszych piłkarzy, a jednocześnie był najgorszym graczem drużyny, fajtlapą i pataląchem, jakiego trudno było spotkać wśród chłopców na Górczewskiej. Nic więc dziwnego, że był przedmiotem kpin i docinków.

Teraz podszedł do chłopców, kolebiąc się na swych długich jak szczudła nogach. Był zatroskany i przybity.

- Widzisz, Mandżaro, co się dzieje? - wyszeptał zdławionym głosem. Mandżaro wyładował na nim swą pierwszą wściekłość.

- Pewno tyś ich tu wpuścił? Pajak wykrzywił płaczliwie usta.

- Ty myślisz, że oni się pytali?

- Trzeba im było powiedzieć, że to nasze boisko.

- Powiedziałem.

- I co?

- I... Skumbria wyśmiał mnie tylko. „Wasze boisko - powiedział - to posprzątaj cegły, bo my chcemy grać”.

- Och, ty lebiego, trzeba ich było przegonić.

- Spróbuj ty, bo ja nie chcę oberwać.

Mandżaro posłał Poldkowi pełne pogardy spojrzenie, po czym popatrzył na boisko. „Bazanty” kopaly na jedną bramkę. Skumbria ustawił właśnie piłkę i chciał strzelić, kiedy Mandżaro podszedł do niego i złapał go za rękaw.

- To nasze boisko - wycedził przez zęby.

Skumbria odepchnął go takim ruchem, jakim odpycha się natręta.

- Nie przeszkadzaj, nie widzisz, że gramy?

- To nasze boisko - powtórzył Mandżaro podniesionym głosem.

Skumbria spojrzał, jakby go dopiero teraz zobaczył. Wepchnął ręce w kieszenie, uniósł lekko ramiona, przymrużył zaczepnie oczy.

- Może wynająłeś od magistratu, co? - zakpił.

Mandżaro poczerwieniał aż po linie opadających na czoło włosów, wysunął do przodu szczękę, zacisnął pięści i w pozycji gotowej do skoku wpatrywał się w wykrzywioną kpiącym uśmiechem twarz Skumbrii.

- Nie wygłupiaj się, Rysiek. Radzę wam, zbierajcie manele i odpływajcie, bo my o czwartej zaczynamy trening.

- Rysiek, daj mu w ucho! - odezwał się z boku niski, wyzywający głosi w tej samej chwili zbliżył się do nich smagły, dobrze zbudowany chłopiec. Ubrany był według najświeższej mody panującej na Woli. Miał na sobie wełnianą koszulę w kratę, wąskie welwetowe spodnie z szerokimi mankietami i zamszowe buty na grubej podeszwie z podwójnym szyciem dokoła. Obcięte na jeża i starannie przyczesane włosy świadczyły o tym, że ten młody chłopiec wzoruje się na najelegantszych bikiniarzach warszawskiego śródmieścia. Twarz miał drobną, niemal dziewczęcą i tylko ciemne,

ponure oczy mówiły, że w tym małym elegancie z Woli tkwi coś niepokojąco złego. Był to Julek Wawrzusiak, zwany na Woli "Królewiczem". Gdy zbliżał się do Mandżaro, otaczający ich chłopcy rozstąpili się z respektem.

Wtedy spoza pleców Mandżaro, jak sprężynka, wyskoczył mały, zwinny Perełka.

- Wolnego, wolnego! - zawołał wysokim falsetem. - Myślicie, że się złękniemy? Poczekajcie, za chwilę przyjdzie tu cała nasza paka.

Mandżaro, czując nadchodzącą pomoc, jeszcze bardziej zacisnął szczęki i groźniej spojrzął na przeciwników.

- Liczę do dziesięciu, jeżeli stąd nie spłyniecie, to... - uniósł lekko pięści i gotowy do walki, zaczął wolno liczyć.

Nie doliczył nawet do pięciu, kiedy Skumbria jednym zwinnym kopnięciem wybił mu spod pachy piłkę. Mandżaro cofnął się pół kroku, potem błyskawicznym skokiem rzucił się na silniejszego, roślejszego przeciwnika. Zwarli się ramionami. Chwilę mocowali się, usiłując jeden drugiego przewalić na ziemię.

Chłopcy otoczyli ich zwartym kręgiem. Głośnymi okrzykami zachęcali do walki.

- O ziemię nim, Rysiek! O ziemię! - wołali chłopcy z Okopowej.

- Nie daj się, Mandżaro! Nie daj się! Pokaż mu! - starał się ich przekrzyczeć mały Perełka.

Pająk wycofał się przezornie ku wyrwie w murze, by w razie niebezpieczeństwa jak najszybciej umknąć na ulicę.

Przeciwnicy szamotali się zaciekle. Czerwoni ze złości, spoceni, zziązani z wysiłku toczyli zaciętą walkę. Raz zdawało się, że mocny i muskularny Skumbria podetnie Mandżaro i zwali go na ziemię, to znowu, że zwinny i szybki Mandżaro jakimś nieoczekiwanym chwytem obezwładni swego rywala.

- Nie baw się z nim! Zduś szczeniaka! - wołali coraz głośniej chłopcy z Okopowej.

- Dobrze, Feluś! Wal go, bracie! - darł się Perełka. Ochrypl już zupełnie, a jego cieniutki głosik ledwo przebijał się przez chór rozkrzyczanych „Bażantów”. Pająk był coraz bliżej szczeliny w murze.

Mandżaro szeroko rozstawił nogi. Zrobił gwałtowny krok do tyłu i w tej chwili ktoś niewidzialnym niemal ruchem podstawił mu nogę. Mandżaro zachwiał się. Skacząc na jednej nodze, chciał utrzymać równowagę, ale Skumbria nacisnął go silniej, uniósł do góry i przewalił całym ciałem. Runęli jak dwa podcięte drzewa. Skumbria zwałił się na przeciwnika, całym ciężarem przydusił go do ziemi. Mandżaro tracił z wolna siły. Bronił się jeszcze, ale widać było, że wnet ulegnie.

W tej chwili za ciasnym pierścieniem widzów pojawiła się nowa postać. Był to tęgi mężczyzna w granatowym kombinezonie i kaszkiecie na siwiejącej głowie. Dysząc ciężko, biegł ku chłopcom i wołał z daleka:

- A wy, łobuzy jedne, dość tego! Rozejść się, szczeniaki!

Dopadłszy tarzających się na ziemi chłopców, złapał ich za karki i próbował rozdzielić. Nie przyszło mu to łatwo. Zacietrzewieni zapaśnicy spięli się ze sobą jak dwa rozwścieczone psy, trudno ich było rozdzielić. Niespodziewany przybysz musiał długo rozplątywać im ręce, zanim rozłączył ich i postawił na nogi.

- To tak się bawicie, zakichańcy jedni? - huknął grubym, basowym głosem. - To tak gracie w piłkę nożną? To z was mają być sportowcy?

Dopiero teraz wszyscy go poznali. Był to monter Łopotek, udzielny władca sąsiadującego z

boiskiem cementarzyska starych samochodów. Chłopcy widywali go często. Nieraz zza płotu przypatrywał się meczom i udzielał graczom fachowych i bezinteresownych wskazówek. Jego dobroduszna i zawsze uśmiechnięta twarz pałała teraz gniewem.

- To tacy z was sportowcy! - powtórzył i jeszcze mocniej potrząsnął rozłączonymi zapaśnikami.

- Bo... - wystękał z trudem Mandżaro - bo oni chcieli nam zająć boisko.

- Może nie wolno? - ciskał się Rysiek-Skumbria. Przecież magistrat im tego nie przydzielił, jak mamę kocham, panie Łopotek!

- O czwartej mieliśmy mieć trening, panie Łopotek! - zawołał Perełka chcąc ratować honor i reputację swej drużyny.

- Codziennie tu grają, a nam nie chcą pozwolić! - zawołał ktoś z tyłu.

- Bo oni mają swoje boisko na Okopowej - bronił się Perełka.

- Cicho! - pan Łopotek tupnął nogą, po czym na jego szerokim obliczu pojawił się uśmiech. - I o co się tu czubić? - zapytał spokojnie. - Po co te awantury, po co zaraz brać się za łby? Nie możecie sobie uczciwie zagrać?

- My mamy mecz dopiero w niedzielę - wyjaśnił Mandżaro trąc podbite oko.

- Mecz meczem - ciągnął pan Łopotek. - Mecz to co innego, łobuziaki moje kochane, a tymczasem, proszę ja kogo, trzeba wziąć piłeczkę, wybrać dwie drużyny albo zagrać na jedną bramkę. Tak myśmy, proszę ja kogo, robili, gdyśmy byli tacy jak wy. Ale bez bijatyk, grzecznie, jak prawdziwi sportowcy. Piłka nożna to kochany sport i chuliganów nie znosi. No, kawalerzy, podajcie sobie łapy i żeby mi to ostatni raz było, bo inaczej to zamuruję dziurę i nie wpuszczę tu nikogo. No, na co czekacie?

Chłopcy patrzyli spode łba, gotowi za chwilę znowu rzucić się na siebie. Widząc ich wojownicze miny, pan Łopotek uśmiechnął się po ojcowsku.

- Nikomu krzywda się nie stała. Jeden ma podbite oko, drugi spuchnięty nos. Wynik remisowy 1:1 - zażartował i obiema rękoma przygarnął ich do siebie.

Chłopcy uśmiechnęli się niemrawo. W oczach ich żarzył się jeszcze gniew, ale pod wpływem nalegań i tłumaczeń pana Łopotka wyciągnęli ku sobie ręce. Ich dłonie spotkały się w niechętnym uścisku.

- A teraz wybierajcie - rozkazał mediator klepiąc ich po plecach. Wyjął z kieszeni złotówkę, przybił ją dłonią i zapytał: - Czyj orzeł, czyja reszka?

Mandżaro wybrał reszkę. Moneta poleciała w górę, spadła na trawę, toczyła się chwilę i odwróciła na stronę reszki. Mandżaro rozejrzał się. Wśród wyczekujących spojrzeń wskazał na małego Perełkę. Wiedział bowiem, że Boguś jest najlepszym bramkarzem spośród wszystkich chłopców na Woli, a dobry bramkarz to przecież pół zwycięstwa.

Teraz przyszła kolej na Skumbrię. Ku wielkiemu zdziwieniu chłopców Skumbria nie wybrał nikogo ze swojej drużyny, lecz wskazał na Maniusia-Paragona, który przed chwilą ukazał się na boisku. Wiadomo było, że Paragon należał do najlepszych strzelców i doskonale umiał „kiwać”.

Na boisku zjawilo się jeszcze kilku chłopców z Górczewskiej - Krzyś Słonecki, Tadek Puchalski, Ignas Paradowski. Było teraz w czym wybierać. Dwaj samozwańczy kapitanowie rozdzielili graczy między siebie, a kolejność, w jakiej ich wybierali, była świadectwem ich umiejętności piłkarskich.

Pan Łopotek stanął na środku boiska.

- Zaczynamy! - zawołał tubalnym głosem. - Ja wam dzisiaj posędziuję. Gra musi być czysta. A jak mi który zacznie „kosić”, to go wyrzucę z boiska, zrozumiano?

Chłopcy szybko wymierzyli bramki, z koszul i czapek ustawili słupki, wylosowali boiska i na gwizdek sędziego rozpoczął się mecz.

Ktoś, kto by sądził, że treningowy mecz zakończył się w normalnym, to znaczy wyznaczonym przez pana Łopotka czasie, ten myliłby się bardzo. Do tej pory bowiem nie było jeszcze na Górczewskiej takiego wypadku, żeby dwie drużyny nie pokłóciły się ze sobą.

Tym razem zaczęło się od zamszowych butów Królewicza. Elegant z Okopowej, grając jako łącznik, zamiast w piłkę kopnął w kostkę obrońcy, którym okazał się Tadek Puchalski. Tadek porządnie odczuł kopnięcie ciężkim butem. Będąc sam w trampkach, nie mógł się zrewanżować w podobny sposób, więc dał Królewiczowi mocnego sierpowego pod żebro. Ten znowu nie chciał być dłużny i wyrzwał Tadekowi w ucho. I w tym samym momencie obie drużyny zaczęły bójkę, dzieląc się znowu na „Bażantów” i „Gołębiarzy”. Stare urazy wzięły górę nad sportowym przestrzeganiem *fair play*¹ i mimo usilnych gróźb i prośb sędziego mecz został przerwany, zamieniając się w ogólną bijatykę.

Pan Łopotek, widząc klęskę swych pedagogicznych zamierzeń, musiał uciec się do innego argumentu: złapał kawał poniewierającej się na boisku gumy i wymierzając dobrze obliczone, niezbyt mocne razy, jął rozdzielać walczących.

- Łachudry jedne! - krzyczał gromkim głosem. - Z wami nikt nie dojdzie do ładu. To mają być sportowcy! Zamuruję wejście, nikogo tu nie wpuszczę. Grajcie na ulicy, jak nie umiecie zachowywać się na boisku!

Pan Łopotek rozdzielił najzadziorniejszych. Reszty dokonał nagły deszcz, który lunął gwałtownie na miasto i ugasił nadmiernie wybuchające temperamenty młodocianych piłkarzy.

W strugach lipcowego deszczu chłopcy wracali do domu, żywo rozprawiając o minionych wydarzeniach na boisku.

- Wszystkiemu winien Puchała - mówił Perełka wymachując rękami. - Po co zaczynał z Królewiczem?

- Mądryś! - zachnął się Puchalski. - Jakbyś tak oberwał w kostkę jak ja, to byś stał i patrzył, co?

- Trzeba było powiedzieć sędziemu - wtrącił Mandżaro. - Sędzia wyrzuciłby go z boiska.

- Sędzia nie widział - bronił się Puchalski. - Ja, bratku, podaję do Słoneckiego, a tu z tyłu nadbiega Królewicz i swoimi kamaszami bęc mnie w kostkę.

- Wszystko jedno - zawyrokował Mandżaro - na boisku nie można się bić.

- Ja się wcale nie biłem, tylko go pod żebro, niech się nie robi ważny.

- A szkoda - westchnął Paragon - mecz zapowiadał się na sto dwa. - ¹*FAIR PLAY (ANG)* - uczciwa gra Trzeba ułożyć regulamin - wmieszał się Ignasz Paradowski. - Musimy postanowić, że wolno grać tylko w trampkach.

O, nie, bracie - zaprotestował Krzyś Słonecki, który niedawno dostał od ojca prawdziwe buty futbolowe. - Ja się nie zgadzam, w futbolówkach też można grać.

- Jak wszyscy w trampkach, to w trampkach - powiedział mały Perełka. Mandżaro machnął tylko ręką.

- To nieważne. Grunt organizacja. Musimy założyć klub, inaczej wszystko do chrzanu. Proponuję, żebyśmy teraz poszli do Gołębnika i zrobili zebranie.

- Fajno! - klasnął w dłoń Perełka i umilkł. Nazwa nowego klubu nie dawała mu spokoju. Po chwili wszyscy zatrzymali się przed kamienicą, w której mieszkali Mandżaro, Paragon i Perełka.

- Jazda, chłopcy, idziemy na górę! - rozkazał głośno Mandżaro.

Iść na górę - znaczyło wdrapać się na piąte piętro Gołębnika. Na trzecie szło się po wyszczerbionych schodach, na czwarte - po zbitej z desek kładce, ale żeby wejść na piąte, trzeba było mieć nieco zdolności akrobatycznych. Schodów tu nie było. Należało wspiąć się po zawieszonych nad szybem windy sztabach i występach w murze. Gdy już wszyscy pokonali te trudności, stanęli na płycie betonowej osłoniętej podziurawionym stropem i przedzielonej wałącymi się resztkami ścian. Tu znajdowało się ich podniebne królestwo, miejsce potajemnych zebrań, teren zabaw w chowanego, wspaniały wybieg dla startu modeli samolotowych i zwykłych jaskółek z papieru, idealny punkt obserwacyjny, skąd można było widzieć niemal całą okolicę.

- Kto ma papier i ołówek? - zapytał Mandżaro, gdy już usadowili się pod ścianami na zaimprovizowanych z cegieł krzesłach.

Pierwszy zgłosił się Krzysztof Słonecki.

- Dobrze, będziesz pisał protokół z zebrania. - Mandżaro wstał, żeby nadać powagi słowom, chrząknął kilka razy, powiódł oczami po zebranych. - Słuchajcie - zaczął - najpierw musimy znaleźć nazwę dla naszego klubu...

- "Polonia". Niech będzie „Polonia” - wyrwał się Paragon. Mandżaro zmarszczył brwi.

- Cicho siedź. Ty zawsze musisz z czymś wyskoczyć. „Polonia” już jest. Musimy znaleźć jakąś inną nazwę.

- Mam - odezwał się piskliwy głosik Perełki. - Niech się nazywa „Nasza Wola”.

- Może „Twoja Wola” - przedrzeźniał go Tadek Puchalski. - Aleś, bracie, wymyślił!

- Cicho, koledzy! - uspokajał ich Mandżaro. - Proponuję, żeby każdy z nas napisał nazwę na kartce. A potem będziemy głosowali.

- Z ciebie biurokrata - zaśmiał się Paragon. - Wszystko byś pisał i pisał. Szkoda ołówka. Wał, bracie, jeśli masz coś mądrego. Nie krępuj się.

Mandżaro zasłonił palcami podbite oko. Zastanawiał się.

- Ja... - powiedział po chwili - ja proponuję, żeby nazwać nasz klub „Syrenka”.

- Dobra jest - huknął Paragon - po co się dłużej namyślać! „Syrenka” to takie nasze, warszawskie.

- Eee... - Tadek Puchalski skrzywił się, wyrażając w ten sposób swe niezadowolenie. - To takie proste. To nie nadaje się na nazwę klubu sportowego.

- A co byś chciał? - zaperzył się Perełka. - Ty, Puchała, zawsze jesteś niezadowolony. Tylko byś narzekał...

- Daj mu spokój - przerwał Mandżaro. - Jeżeli ma jakąś lepszą nazwę, to niech powie.

Zaciekawione spojrzenia zwróciły się teraz na Puchalskiego. Tadek siedział oparty plecami o ścianę, patrzył na swoje dłonie.

- Ja mam taką nazwę, że wam oko zbieleje.

- No mów, na co czekasz? - przynaglał go Paragon. Puchalski uniósł lekko głowę, ale nie patrzył na kolegów.

- „Tajfun” - wyszeptał z przejęciem.

- Eee... - rozległ się szmer rozczarowania. Paragon zaniósł się śmiechem.

- Może „Burza gradowa”, to by było jeszcze lepiej!

Chłopcy wykpiłi pomysł Tadka, a gdy przyszło do głosowania, wszyscy wypowiedzieli się za „Syrenką”.

- A teraz musimy wybrać kapitana drużyny - powiedział Mandżaro, kiedy trochę ucichło. - To

ważna rzecz, będziemy głosować.

Krzyś wyrwał z notesu kilka czystych kartek, poćwiartował je, rozdał chłopcom. Za chwilę wśród wyborców zaczął krążyć ołówek. Każdy wpisywał swego kandydata. Gdy już kartki były wypełnione, Paragon zebrał je do swojej kolarki. Zaczęło się obliczanie głosów. Krzyś zapisywał ilość głosów w notesie. Po dokładnym obliczeniu okazało się, że na Mandżaro padło siedem głosów, na Paragona - cztery, a na Tadka Puchalskiego - jeden.

- To on pewno sam na siebie głosował - zażartował Perełka. Błądą twarz Tadka zalał ciemny rumieniec.

- Odwołaj to! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie szarp się, przecież znam twoje pismo - Perełka zerwał się. W jego małych, kocich oczkach zamigotały złe ogniki.

- Spokój! - Mandżaro stanął pomiędzy nimi, nie chcąc dopuścić do bójki. - Spokój! - powtórzył. - To nie ulica, to porządne zebranie.

Tadek wsunął dłonie w kieszenie drelichowych szortów i spojrzał wyzywająco na Mandżaro.

- Bronisz go, bo na ciebie głosował.

- Ja nie wiem, na kogo głosował, głosowanie było tajne. - Po krótkiej przerwie dodał z przekąsem: - Ja w każdym razie nie głosowałem na siebie.

Perełka wychylił się zza wysokich ramion Mandżaro.

- Głosowałem na niego, bo dobrze gra w gałę i jest równy chłopak.

- Bo mu się podlizujesz - cedził drwiącym głosem Puchalski.

W tym momencie między ramionami trzech chłopców zjawiała się wesółą, roześmianą twarz Maniusia.

- My tu legalnie głosujemy, a wy zaczynacie rozrabiać. Dajcie spokój, bo mi się niedobrze robi. Siadajcie grzecznie, jak w szkole. Jedziemy dalej.

- Uwaga - zawołał Krzyś - kapitanem drużyny został Feliks Zahorski!

- Brawo, Mandżaro! - pisnął cichutko Pająk, który do tej pory nie powiedział słowa.

- Brawo! Niech żyje! - zapał jak młody kogut Perełka.

Puchalski opuścił głowę, uśmiechnął się cierpko i wolno usiadł na cegłach. Maniusz-Paragon uśmiechnął się łobuzersko.

- To wszystko bardzo ładnie - zaznaczył akcentem rodowitego mieszkańca Woli. - Ale po mojemu to najważniejsza jest kasa. Jak nie będziemy mieli szanownej gotówki, czyli moniaków, to legalnie leżymy. Kto nam kupi nową piłkę, pytam się? Kto nam kupi spodenki i koszulki, czyli kostiumy sportowe, pytam się? Nie możemy wyglądać jak drużyna szmaciarzy. A na to wszystko potrzebna gotówka.

- Trzeba wybrać skarbnika - przytaknął ruchem głowy Mandżaro. - Możemy jeszcze raz głosować.

- Nie trzeba - odezwał się z kąta Perełka. - Ja wam mówię, że Paragon będzie najlepszy.

- Paragon, Paragon! - Tadek Puchalski poderwał się z cegieł i wykrzyknął: - Jeden drugiego popiera. Na kapitana toście głosowali, a teraz to nie głosujecie.

- Jak chcesz, to będziemy głosowali - przerwał mu ostro Mandżaro.

Perełka miał rację, głosowanie było zupełnie zbyteczne, Paragon zdobył dziesięć głosów, Puchalski ani jednego. Po tej sromotnej klęsce usiadł w najciemniejszym kącie i do końca zebrania nie odezwał się ani słowem, tylko zawistnym spojrzeniem wodził po twarzach kolegów.

- Chłopaki - zawołał Perełka - najważniejsza jest piłka! Stara już nam się zupełnie rozłazi. Nie ma czym trenować.

Maniuś uniósł do góry rękę.

- Spokojna głowa, ja piłkę zorganizuję.

- W jaki sposób? - zapytał Mandżaro.

Nie bój się, to już moja sprawa. Ale spodenek ani koszulek to wam nie uszyję. Trzeba będzie zbierać gotówkę. Co kto może, niech sypie do kasy - klepnął się po kieszeni. - U mnie jak w PKO, pewność i zaufanie. Chłopaki, żeby nie było lipy, ja daję na początek pięć złotych. - Wyciągnął z kieszeni zmięty i wytłuszczony banknot, wygładził go w palcach, uniósł do góry i pokazał. - Będzie na tasienki do spodenek.

Do Maniusia zbliżył się Krzys Słonecki, wysoki, zgrabny blondynek o poważnej twarzy. Spośród zebranych wyróżniał się starannym ubiorem i czystością. Miał na sobie krótkie, popelinowe spodenki, koszulkę i popielaty pulower, na którym widniały okrągłe ślady, pozostawione przez obłoconą piłkę. Krzys wyjął portmonetkę, grzebał w niej chwilę, wreszcie wyciągnął dziesięciozłotówkę i wręczył ją Paragonowi.

- To ode mnie... tymczasem - powiedział z zakłopotaniem. - Dostałem od mamy na słodczyce.

- Dobra jest - mrugnął przyjaźnie Maniuś. - Kasa przyjmie. Kwit dostaniesz jutro, jak zaprowadzę buchalterię.

- Ten ładowany, może dać - szepnął Perełka do Ignasia Paradowskiego trącając go łokciem.

Krzys był synem inżyniera, mieszkał w nowych blokach, a do chłopców z Gołębnika zbliżyły go wspólne zainteresowania sportowe. Chociaż początkowo chłopcy kpili z niego, jednak po jakimś czasie zdobył sobie ich uznanie dzięki dobrej grze i silnym strzałom na bramkę. Przyłgnął do nich, zaprzyjaźnił się i stał się stałym graczem drużyny z Górczewskiej.

- Koledzy! - zabrał głos kapitan drużyny. - Musimy jeszcze omówić sprawę niedzielnego meczu.

- Z takimi „kosiarzami” nie będziemy grali! - zawołał Perełka. - Pokopią nas wszystkich.

- A z kim zagrasz? Może z dziewczętami? - odkrzyknął Ignas. - Możemy z nimi zagrać, tylko wszyscy muszą grać w trampkach.

- A my będziemy grali już jako klub sportowy „Syrenka” - wtrącił nieśmiało Pająk.

- Ty? Ty chcesz grać? - zaśmiał się Perełka. - Wybij sobie z głowy. Najpierw naucz się kopać piłkę...

Pająk skrzywił się płacząco.

- A co, może nie jestem w klubie?

- Jesteś. Będziesz podawał piłkę, jak wyleci z boiska.

- Daj mu spokój - ofuknął Perełkę Maniuś. - Widzicie go, mistrz!

- Cicho! - Mandżaro kilka razy uderzył patykiem w ścianę. Gdy się nieco uspokoiło, dodał: - A więc gramy niedzielny mecz.

Paragon uniósł do góry ramiona.

- Co robić, jak nie ma innego przeciwnika...

ROZDZIAŁ II

Maniuś wyskrobał z dna kubka żółty, rozpuszczony w kawie cukier, przełknął ostami kęs chleba ze smalcem, wytarł dłonią usta, uśmiechnął się zadowolony i syty. Sobota, ostatni dzień przed meczem, zaczynała się doskonale. Paragon mógł wyruszyć na miasto z pełnym żołądkiem i w znakomitym humorze. Zbliżył się do kranu, podstawił pod kurek głowę, puścił na szczeciniaste włosy strumień wody. Szcherbatym grzebykiem starał się niesfornym włosom nadać pozycję leżącą.

- Znowu idziesz się włóczyć? - odezwała się z kąta pokoju ciotka Mali-nowska. Była to kobieta niska, sucha, zabiedzona. Wszystko w niej było szare, przywidłe, tylko ciemne oczy błyszczały wśród zmarszczek łagodnym blaskiem.

- Przecież, ciotuniu, wszystko załatwiłem legalnie - odpowiedział po krótkim namyśle: - Przyniosłem wodę, przyniosłem węgiel, narąbałem drewna, byłem w sklepie...

- Nie mógłbyś raz w domu posiedzieć? Maniuś wzruszył ramionami.

- Ciotuniu kochana, a kto pójdzie butelki spieniężyć i inne interesy załatwić?

- Dużo masz z tego - westchnęła. - Lepiej byś się zabrał do jakiejś uczciwej roboty albo do nauki. Całe życie nie będziesz baków zbijał.

Maniuś całą tę przemowę puścił mimo uszu. Znał biadolenie ciotki na pamięć, udając więc, że nie słyszy, szukał w starym kufierku swej kolarki.

- Inni chłopcy uczą się albo chodzą do roboty, a z ciebie co wyrośnie? - ciągnęła ciotka swój zwykły monolog i coraz głośniej pobrzękiwała talerzami i garnkami, które myła w małym kociołku. - Pókim zdrowa, dzięki ci, Panie Boże, to ci chleba nie skąpię. Ale jak zachoruję, co z tobą będzie? Przrzekłam nieboszczce matce, że cię wychowam na porządnego człowieka, a ty co? Z największymi chuliganami się włóczysz.

Maniuś, nie patrząc na ciotkę, zbliżał się do drzwi. Wiedział, że dopiero za nimi nie usłyszy żalostnego głosu swej opiekunki.

Ciotka ze złością postawiła opłukany kubek na kuchennym stole.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę, słyszę - delikatnie nacisnął klamkę. - Jak ciocię kocham, że muszę. Mam kilka napiętych spraw. Sosenka kazał mi przyjść. Może coś do kasy wpadnie.

Ciotka z rezygnacją opuściła ręce.

- No idź już, idź, ale mnie się zdaje, że z tego twojego chodzenia nic dobrego nie będzie...

Maniuś nie czekał na zakończenie tego monologu. Cichutko wymknął się na klatkę schodową, potem przezornie, jak mógł najszybciej, zsunął się po trzeszczącym pomoście. A nuż ciotce coś się przypomni i zawoła go z powrotem? Nie wolno się narażać, zwłaszcza w tak ważny dzień, jak sobota przed meczem. Na podwórzu natknął się na Pajaka. Poldek, wyginając się na swych długich jak szczudła nogach, z pasją podbijał głową starą, napompowaną futbolową dętkę. Był tak zajęty, że nie zauważył Paragona. Dopiero, gdy dętka upadła na ziemię i potoczyła się pod nogi Maniusia, stanął i posłał Paragonowi niemrawy uśmiech.

- Cześć, Paragon!

- Cześć! - Maniuś pstryknął palcami w daszek. - Trenujesz?

- Co robić, trzeba trenować.

- Brawo, Pająk, może z ciebie wyrośnie legalny piłkarz. Pająk zagroził mu drogę.

- Słuchaj, Manius - powiedział szeptem i spojrzał na niego błagalnie. - Tyś dobry kolega, powiedz Felkowi, żeby mnie wstawił do składu. Widzisz, bracie, że trenuję. Już mi się osiem „główek” pod rząd udało.

- Fajno - pochwalił Paragon tonem doświadczonego trenera. - A ze strzałami jak? A z dryblingiem?

- Ze strzałami to gorzej, ale też trenuję. Popatrz - pokazał na mur, na którym kredą wyrysowana była bramka. - Miałem trzy strzały w samo „okienko”.

- A drybling?

Poldek złapał się za brodę, zmarkotniał.

- Dryblingu jeszcze nie trenowałem. Ale... jak to się robi?

- Weź, bracie, dwie cegły, ustaw je na podwórzu i niech ci się zdaje, że to gracze - tłumaczył fachowo. - Potem całym gazem prowadź piłkę i przejeżdżaj do bramki.

- Cegły? - zdziwił się Pająk.

- Coś myślał, tak trenują w „Polonii”. Dobra, legalna rzecz - gwizdnął przez zęby dla podkreślenia ważności swej rady.

- Dobrze, spróbuję, tylko ty pamiętaj, nie zapomnij powiedzieć Felkowi. Nawet nie wiesz, jak mi na tym zależy.

Paragon ogarnął Poldka badawczym spojrzeniem. Lustracja nie wypadła pocieszająco. Chudy chłopak o sztywnych ruchach, bojaźliwy, niezgrabny nie nadawał się na gracza. Ale gdy Manius popatrzył w bladoniebieskie, proszące oczy kolegi, żal mu się zrobiło.

- Dobra - powiedział - tylko nie wiem, czy z tego coś będzie. Mandżaro już wczoraj ustalił skład.

- Spróbuj. On ciebie usłucha.

- Zobaczymy - uśmiechnął się do Pajaka, jakby chciał go pocieszyć. Za chwilę znikł w bramie. Pająk z jeszcze większym zapałem zabrał się do główkowania.

Kiedy Paragon wyszedł na ulicę, ujrzał niecodzienny widok. Mandżaro z Perełką stali na chodniku zadzierając głowy, a Ignas Paradowski, wdrapawszy się na drabinę, przyklejał na murze wielki afisz.

- Patrz, człowieku - przywitał go podniecony Perełka. - Ten umie malować, co? - wskazał na chwiejącego się na drabinie Ignasia.

Manius przyjrzał się uważniej afiszowi. Na wielkim arkuszu białego papieru, wymalowany czarną farbą, widniał bramkarz w klasycznej „robinsonadzie”. Zdawało się, że zawisł na chwilę pod poprzeczką bramki. Długie ręce wyciągnął w kierunku piłki, która aż świstała w powietrzu. (Ten świst zaznaczony został kilkoma smugami czarnej farby). Nad malowidłem widniał wielki czerwony napis:

UWAGA!!

SEŻACYJNY MECZ NA BOISKU KS „SYRENKA”

HURRRAGAN - KONTRA - SYRENKA W NIEDZIELĘ O GODZINIE 5 PO POŁUDNIU BILETY W CENACH PRZYSTĘPNYCH W KASIE Paragon, urzeczony tym niezwykłym widokiem, stał chwilę jak skamieniały. Potem odsunął z czoła czapkę, wepchnął dłonie w kieszenie i długo, przeciągle gwizdnął.

- Fe-no-me-nal-ne! Arcydzieło, można powiedzieć. I to wszystko wymalował Ignas? Sam Ignas?

- A jakżeś myślał - przytaknął Perełka takim tonem, jakby część zasługi miała przypaść jemu w

udziale.

Mandżaro trącił Manusia łokciem.

- Dobrze, co? Będzie brało. Mówię wam, chłopaki, że publika nie zawiedzie. Tylko, zdaje mi się, że „huragan” pisze się przez jedno „r”.

- Dałem trzy - zawołał z góry Ignaś - żeby to lepiej brzmiało.

- Nie bawmy się w drobiazgi - splunął Paragon. - Trzy „r” legalna rzecz. Zresztą to nie klasówka w szkole tylko legalna propaganda! Brawo, Ignaś, będzie z ciebie Picasso, jak ciotkę kocham.

Ignaś skończył właśnie przyklepanie afisza. Jeszcze raz przyglądał swe dzieło dłonią, przyklepał, żeby się nie odlepiło, i zeskoczył z drabiny.

- Oko im zbieleje, jak zobaczą.

- Komu?

- A tym z Okopowej. Niech wiedzą, że u nas dobra organizacja.

Gdy już dostatecznie napatrzyli się na arcydzieło Ignasia, Paragon odciągnął na bok kapitana drużyny.

- Słuchaj, może by się znalazło miejsce dla Poldka - zaczął pojednawczo. Mandżaro wzruszył ramionami.

- Człowieku, przecież wiesz, że skład już został ustalony.

- No niby tak, ale to przecież nasz chłopak, z Gołębnika. A zresztą, idź na podwórze, to zobaczysz, jak trenuje. Osiem główek pod rząd, bracie. To nie byleco!

- Nie da się - uciął krótko kapitan drużyny - za słaby, nie wytrzyma kondycyjnie.

- To go dzisiaj trochę podkarmimy. Ja mu przyniosę chleba ze smalcem, zje, nabierze kondycji.

- I technicznie niewyszkolony. Nie możemy się zblamować. Paragon skrzywił się.

- Eee... ty do mnie jak trener państwowy, a nie jak kolega. Mandżaro spowaźniał.

To ważny mecz, człowieku. Musimy wygrać! Tu o honor chodzi. Argument ten przemówił do Manusia. Zamyślił się, jego żywe oczy przygały nieco. Naraz strzelił palcami.

- Już wiem - powiedział wesoło - żeby mu żal nie było, wsadzimy go jako rezerwowego.

- Mamy trzech, więcej nam nie trzeba.

- Eee tam... czwarty też się przyda - mrugnął okiem Paragon. - Zrozum, że jemu będzie przykro. Swój chłopak, niech się cieszy.

Teraz kapitan zamyślił się głęboko.

- Poczekaj, poczekaj, jak by to zrobić? - Z rozmachem kopnął leżący na chodniku kamień. - Wiesz co, dobrze. Wstawimy go jako rezerwowego. Masz rację, niech się chłopiec cieszy.

Paragon aż podskoczył z radości. Jego czarne oczy zaiskrzyły się wesoło.

- Feluś, wiedziałem, żeś morowy kolega. Dawaj łapę! Zobaczysz, że z naszego Pajaka będzie jeszcze piłkarz.

Uścisnęli sobie z powagą dłonie, uśmiechnęli się do siebie. Mandżaro zaczął trzeć policzek. Był to znak, że myśli o czymś bardzo usilnie. Paragon swym zwyczajem pstryknął palcami w daszek kolarki. Chciał w ten sposób zaznaczyć, że rozmowa między nimi skończona i już czas się rozstać.

- Poczekaj - zatrzymał go gwałtownym ruchem Mandżaro. - Dokąd idziesz?

- Jak to: dokąd? Propagandę robić, żeby publika na mecz przywalała.

- A co będzie z piłką? Nie możemy grać starą. Kompromitacja, bracie.

- To się rozumie.

- Więc jak?...

Paragon złapał go za ramię gimnastycznej koszulki.

- Ty, Mandżaro, nie znasz swego kolegi. Jak Maniś coś powie, to, bracie, mur. Powiedział, że będzie piłka? Powiedział. To, o co się martwisz?

- O nic... tylko chciałem ci przypomnieć...

- Bądź spokojny, zrobi się.

Maniś odszedł z poczuciem dumy. Wiedział na pewno, że nie zawiedzie kolegów. Dla własnego klubu, dla „Syrenki”, wydobędzie piłkę nawet spod ziemi.

Tak rozmyślając, pewnym krokiem, z uśmiechem na ustach przemierzał ulicę Górczewską. Szybko układał plan działania. Postanowił nie iść po butelki ani do pani Wawrzynek, ani do zakładu fryzjerskiego. Piłka była ważniejsza od jego spraw osobistych.

Z tym postanowieniem ulokował się na buforze wozu tramwajowego i gwizdząc wesoło „Nicolo, Nicolo, Nicolino...” pojechał „27” w stronę Żoliborza. Cały plan miał już obmyślony szczegółowo.

Dla młodocianych miłośników piłki nożnej z Woli, Muranowa, Żoliborza, Starego Miasta wszystkie drogi prowadzą na ulicę Konwiktorską, gdzie znajduje się stadion „Polonii”. Każdy chłopiec, który choć raz znalazł się w niedzielę na stadionie i zasmakował w oglądaniu prawdziwego meczu, do końca życia zostanie kibicem tego najpopularniejszego klubu Warszawy, a spośród jedenastu graczy wybierze sobie jednego jako swego ulubieńca.

Maniś, przejechawszy na buforze kilka przystanków, wysiadł na rogu Nowotki i Konwiktorskiej. Gwizdząc swą ulubioną piosenkę, skierował się do bramy wielkiego stadionu. Przemknął się chyłkiem, omijając wysoki amfiteatr trybun, poszedł ku bocznemu boisku treningowemu. Ucieszył się. Pierwsza drużyna już trenowała.

Piłkarze ubrani w czarne dresy wykonywali jakieś skomplikowane ćwiczenia gimnastyczne. Maniś znał ich wszystkich z imienia i nazwiska, wiedział, na jakiej grają pozycji, jakie mają wady i zalety, słowem, orientował się znakomicie, jak najlepszy znawca piłki nożnej. Nie darmo, co niedziela wykorzystywał cały swój spryt po to tylko, żeby dostać się na boisko bez biletu i oglądać swą ukochaną drużynę.

Teraz wśród znajomych twarzy szukał prawego łącznika Wacława Stefanka. Byстрыm okiem wyłowił go wśród innych graczy. Z zadowoleniem przypatrywał się jego smagłej twarzy, zgrabnej sylwetce i zwinnym ruchom. Od chwili, gdy dowiedział się, że Stefanek mieszka w nowych blokach przy Górczewskiej, gracz „Polonii” stał się jego ulubieńcem. W myślach nazywał go „swoim chłopakiem” z Woli. Imponowało mu niezwykle, że sławny „polonista” jest niemal jego sąsiadem.

Za chwilę, na gwizdek trenera, piłkarze przestali ćwiczyć gimnastykę. Zaczął się prawdziwy trening piłkarski. Na boisko wysypano cały worek pięknych, prawie nowych piłek. Było ich chyba dwanaście. Paragon nie potrafił ich zliczyć. Z zapartym tchem śledził, jak z błyskawiczną szybkością wędrują od nogi do nogi. W głowie mu się mąciło. Miał wrażenie, jak gdyby patrzył na zbiorowy popis żonglerów.

„To pierwszorzędny system treningu - pomyślał - trzeba będzie powiedzieć Mandżaro, żeby go zastosował w »Syrence«. Ale skąd wziąć tyle piłek?”

Przypomniał sobie cel swej wyprawy. Zaczęła go palić zazdrość. Tyle piłek na zwykłym treningu, a oni na jutrzejszy mecz nie mają ani jednej!

W czasie tej ni to gry, ni zabawy zdarzało się, że piłka kopnięta zbyt mocno albo niezauważona przez gracza leciała daleko poza linię autową. Wtedy Paragon, nie czekając na okrzyki graczy, biegł za nią i podawał ją, dumny i zadowolony, że może w ten sposób pomóc piłkarzom. Najczęściej piłki

wędrowały poza linię bramkową, za którą ciągnął się wysoki żywopłot.

Gdy chłopiec kilka razy z rzędu musiał przedzierać się przez żywopłot, bramkarz zawołał do niego:

- Hej, przyjacielu, zostań tam, po co masz się męczyć!

Maniś bez sprzeciwu usłuchał jego rady, zwłaszcza, że to odpowiadało jego skrytym planom. Wprawdzie zza płotu nie mógł dokładnie obserwować emocjonującej gry w dwanaście piłek i popisów najlepszych graczy, ale nie to było jego głównym celem.

Przyczaił się więc i coraz bardziej ochoczo odrzucał zabłąkane piłki. Gracze, widząc chętnego, uśmiechniętego pomocnika, głośnymi okrzykami dziękowali mu za uprzejmość, nawiązała się nić sympatii.

Chłopiec wodził dokoła bystrymi, wszystkowiedzącymi oczami. Badał teren. Wnet zauważył, że z tej strony żywopłotu znajduje się duża skrzynia na piasek, którym wysypywano boisko do siatkówki. Skrzynia zapełniona była jedynie do połowy, a wieko uchylone.

Ze wzrastającym napięciem czekał na odpowiedni moment. Kiedy dwie piłki niemal jednocześnie znalazły się za żywopłotem, Maniś złapał jedną z nich, pochylił się tak, by go nie widziano, i szybko, niepostrzeżenie wrzucił ją do skrzyni. Drugą natomiast z zupełnie obojętną miną odesłał kopnięciem na boisko.

- Hej, chłopcze, czy nie ma tam drugiej? - zawołał któryś z graczy.

- Nie ma - skłamał bez zmrużenia powieki.

- Poszukaj, może się znajdzie - usłyszał znajomy głos swego ulubieńca, Stefanka.

Już miał podbiec do skrzyni i oddać schowaną piłkę, ale na myśl o jutrzejszym meczu i o chłopcach czekających na jego powrót, zawahał się. Udał, że szuka piłki. Po chwili odkrzyknął głośno:

- Nie, nigdzie tu nie ma!

Stefanek jednym skokiem przesadził żywopłot. Kiedy indziej Maniś byłby pełen podziwu dla jego sprawności, ale teraz nogi pod nim zdrząły. Co będzie, jeśli Stefanek znajdzie w pace piłkę? Tymczasem sławny „polonista” rozglądał się wokół. Rozgarniał gąszcz żywopłotu, grzebał nogą w wysokiej trawie i kręcił z niedowierzaniem głową.

- Psiakość, przecież widziałem, że dwie piłki tu poleciały! Paragon z nienaturalną gorliwością pomagał mu w poszukiwaniu.

- Jak ciocię kocham, drugiej nie widziałem - mruknął jakby do siebie.

- No co, nie ma? - zawołał ktoś z boiska.

- Nie ma! - odkrzyknął Stefanek nie odrywając oczu od ziemi. Wtem wzrok jego, błądzący po murawie zawędrował ku wielkiej pace z piaskiem. - A może tu! - zamruczał piłkarz do siebie i kilkoma susami znalazł się przy skrzyni.

„Już po piłce” - pomyślał Maniś i zamknął oczy. Czuł, że serce podchodzi mu do gardła i zamiera ze strachu. Chwila wielkiego napięcia przeciągała się w nieskończoność. Wreszcie chłopiec odetchnął z ulgą, usłyszał bowiem zniecierpliwiony głos „polonisty”.

- Nie, nie ma... nigdzie jej nie ma.

- Wracaj! Co się tak grzebiesz! - zawołali piłkarze z boiska. Stefanek machnął ręką.

- Słuchaj - zwrócił się do Maniusia - poszukaj jeszcze, może się znajdzie. To dziwne, przecież widziałem dwie piłki.

Maniś uśmiechnął się niemrawo.

- Zrobi się, panie Wacku, jak się znajdzie, to będzie - to powiedziawszy, jął gwałtownymi ruchami rozgarniać krzewy żywopłotu i wysoką trawę. Stefanek, uspokoiony nieco życzliwością chłopca, powrócił na boisko. Wnet powietrze przeszły głośny gwizdek trenera i piłki znów zaczęły wędrować od buta do buta, jak zaczarowane.

Maniuś usiadł na trawie pod płotem, zdjął czapkę i przejechał dłonią po spoconym czole.

„Uch, alem się najadł strachu - pomyślał. Lecz wnet się pocieszył: - Widocznie piłka była przeznaczona dla »Syrenki«, skoro nawet najlepszy gracz Polonii, prawy łącznik Stefanek, nie znalazł jej w pace z piaskiem. Zresztą, cóż to dla nich jedna głupia piłka? Klub bogaty, nie zbiednieje. A jutro chłopcy z Woli rozegrają mecz prawie nowiutką piłką. Na razie trzeba będzie czekać do końca treningu, a potem, gdy gracze wrócą do szatni, wyjmie się piłkę z paki... To się dopiero Mandżaro i chłopcy ucieszą! Niech wiedzą, że jak Paragon coś powie, to mur, beton”.

Perełka zbliżył się do ojca. Skradał się na palcach, żeby go nie zbudzić. Delikatnie wyciągnął zwisający u kamizelki nikłowy łańcuszek. Na łańcuszku zadyndał staroświecki zegarek. Dochodziła trzecia. Perełka przeraził się. Stał bezradnie, opuścił ręce. O trzeciej miał być na boisku. Co teraz robić?

Ojciec wrócił przed godziną do domu. Był pijany, zataczał się, bełkotał coś niewyraźnie, a gdy Perełka zaproponował mu obiad, który sam przygotował, zwałił się na łóżko i zasnął jak nieprzytomny. Teraz leżał z rozrzuconymi szeroko rękami, chrapał, zionął gorzkim zapachem alkoholu. Perełka zdążył już przyzwyczać się do tego. Dzisiaj jednak na widok ojca żal ścisnął mu gardło. Czy musiał upić się akurat dzisiaj? Przecież chłopiec mówił mu rano, że mają mecz, że musi o trzeciej być na boisku.

Patrząc na nieprzytomną twarz ojca, na jego wpółprzymknięte oczy, doznawał uczucia straszliwego upokorzenia. Napływające łzy zapiekły go pod powiekami.

Jakie inne byłoby życie, gdyby ojciec nie pił. Nie musiałby codziennie wysłuchiwać pytań kolegów z Gołębnika: „Czy stary znowu wrócił zawiany?” Mogliby wziąć do pomocy jakąś kobietę, która prowadziłaby im dom. A tak, żyją jak Cyganie. Nie wiadomo, kiedy będą jedli, kiedy coś kupią. Przecież ojciec dobrze zarabia. Mogłoby być inaczej, lepiej.

Żyli tak już od sześciu lat, od dnia, kiedy matka umarła nagle w szpitalu. Zostali sami. Ojciec zaczął pić. Nieraz, gdy wracał w stanie zamroczenia do domu, siadał na łóżku, głowę ścisnął pięściami i opowiadał o nieżyjącej, tak jakby niedawno odeszła. Potem pieścił swego syna, płakał, przeklinał, ale pić nie przestawał.

Z pełnego rozterki i żalu zamyślenia wyrwał Perełkę przeraźliwy dźwięk żelaznej szyny.

To Mandżaro dawał sygnał, że czas już iść na boisko. Perełka rzucił szybkie spojrzenie na chrapiącego ojca, potem na drzwi. Niech się dzieje, co chce, zostawi ojca i wymknie się z mieszkania. Nie po to przecież nie przespał pół nocy rozmyślając o dzisiejszym meczu, żeby się spóźnić. Już chwycił za klamkę, gdy naraz usłyszał chrapliwy głos ojca:

- Ty... dokąd?

- Na mecz, tato - stanął przerażony. - Przecież mówiłem tacie, że dzisiaj mamy mecz.

Ojciec popatrzył na niego na wpół przymkniętymi, mętnymi oczami. Uniósł się z trudem i potrząsając głową usiadł na krawędzi trzeszczącego łóżka.

- Na mecz... Na jaki mecz?

- Mówiłem już... z „Huraganem” - chłopiec spojrzał błagalnie na ojca.

- Na żaden mecz nie pójdziesz - wybełkotał czochrając włosy placami. - Ja ci już dawno

przyszedłem, że pójdziemy dziś na karuzelę.

- To wieczorem, tato.

- Nie wieczorem, tylko teraz - powtórzył ojciec z pijackim uporem. Wyciągnął ręce, jakby chciał przygarnąć syna do siebie. Perełka uchylił się. Patrzył na ojca szeroko rozwartymi, wytrzeszczonymi oczami.

- Tato, chłopcy na mnie czekają! - krzyknął niemal. Jego spojrzenie znowu powędrowało ku drzwiom. Jakby w odpowiedzi na te słowa na klatce schodowej odezwała się znowu szyna. Tym razem głos jej brzmiał natrętnie, jak na alarm.

- Na karuzelę, synku, pójdziemy. Będziesz jeździł, ile będziesz chciał, żebyś nie mówił, że masz złego ojca.

- Dobrze, tato, ale ja gram na bramce, nikt mnie nie może zastąpić.

- To znaczy, że nie chcesz ze swoim ojcem iść na karuzelę?

- Chcę, ale później, wieczorem..

- To znaczy, że za nic masz ojca? Wolisz z kolegami, z tym Felkiem, co?

- Nie, tato, ale mecz też ważny. Cały tydzień trenowaliśmy, a teraz...

- To znaczy, mecz ważniejszy! - ryknął ojciec głosem niewróżącym nic dobrego.

Chłopiec wtulił się w kąt, między szafę a drzwi. Jego blada, piegowata twarz wykrzywiła się płaczliwym grymasem. Wargi mu drżały, oczy biegały trwożliwie.

- Niech mi tata pozwoli - wyszeptał - to naprawdę ważny mecz. Zaraz wrócę. Ja jestem bramkarzem.

Ojciec podźwignął się z trudem, chwiejnym krokiem zbliżał się do chłopca.

- Jak nie chcesz iść z ojcem, to nie pójdziesz nigdzie... nigdzie, rozumiesz? Na schodach po raz trzeci zabrzmiała szyna! Ojciec zatoczył się ku drzwiom.

Otworzył je szeroko, jednym szarpnięciem, aż powiew zmiótł ze stołu papiery.

- Boguś nigdzie nie pójdzie! Rozumiecie, szczeniaki? - ryknął w ciemną czeluść klatki schodowej. - Zmiatajcie stąd, bo was przegonię!

Perełka jeszcze głębiej wcisnął się w kąt, spoconymi dłońmi zakrył twarz. Słyszał szybkie kroki zbiegających ze schodów chłopców, a potem niemal spokojny głos Paragona:

- Dobrze, dobrze, panie Albinowski, tylko nie tak głośno, bo my nie głusi. Niech się pan dobrze wyśpi, bo pan legalnie zawiany.

Perełka załkał cicho, tłumiąc w sobie żal i upokorzenie. Wolałby, żeby go ojciec sprzął, a nie wywoływał tej awantury na schodach. „Co za wstyd! Co za wstyd!” - powtarzał w myślach. Jak trudno będzie spotkać się z kolegami, spojrzeć im prosto w oczy. Czy ojciec tego nie rozumie? Czy wciąż musi narażać go na upokorzenia?

Drzwi trzasnęły. Wyczuł, że ojciec zbliża się do niego. Nie mógł znieść ostrego, nieznośnego odoru wódki.

Skulił się w oczekiwaniu nagłego ciosu. Tymczasem ojciec pogładził go tylko po głowie.

- No, nie płacz. Pójdziesz z ojcem na karuzelę - usłyszał nad sobą bełkotliwy głos.

Żal i upokorzenie przełamało się w nim w gwałtowny gniew. Odtrącił rękę ojca, odwrócił się i z oczyma pełnymi łez zawołał:

- Nie chcę na karuzelę, nie chcę na mecz, nigdzie nie pójdę!

Chłopcy, żeby nie wiem co, to musimy wygrać! - Ignasz Paradowski powiedział to z takim zapalem, że wszyscy spojrzeli na niego. Wyrażał przecież ich najskrytsze marzenia. Wygrać z

„Huraganem” to byłby prawdziwy sukces dla nowo powstałej drużyny. Zadanie jednak nie należało do łatwych. Chłopcy z Okopowej przewyższali ich nie tylko wzrostem i wiekiem, ale również piłkarskim doświadczeniem. Już od dawna wygrywali u siebie mecze i cieszyli się sławą najlepszych piłkarzy w całej okolicy. Skumbria i Królewicz byli znani na wszystkich podwórkach i zaułkach Woli jako groźni i bramkostrzelni napastnicy. Toteż trzeźwe przypuszczenia wskazywały, że z tego pierwszego meczu „Huragan” wyjdzie zwycięsko.

Przypuszczenia przypuszczeniami, ale w sercu każdego młodego piłkarza z „Syrenki” kryła się nadzieja. „Piłka jest okrągła - myśleli chłopcy - a Mandżaro, Paragon i Tadek Puchalski też umieją grać”. Nic więc dziwnego, że w miarę zbliżania się meczu napięcie rosło jak słupek rtęci w termometrze.

- Musimy wygrać! - powtórzył Ignas patrząc na kolegów roziskrzonymi oczami.

- Bez bramkarza? - wtrącił zawsze niezadowolony i skłonny do pesymizmu Tadek Puchalski.

- Perełka może jeszcze przyjdzie - zauważył poważny, zatroskany kapitan drużyny. Na nim spoczywała główna odpowiedzialność za wynik meczu, nic więc dziwnego, że jego najbardziej niepokoiła nieobecność małego bramkarza.

- Szkoda gadać - Paragon machnął ręką z rezygnacją. - Widziałeś, że jego stary był „na perłowo”.

- Nic strasznego - odezwał się Krzysz Słonecki. - Olek Kołpik też umie bronić.

- Eee... bracie, to nie to samo co Perełka - w głosie Paragona zabrzmiała nuta prawdziwego podziwu dla młodego bramkarza.

- Trudno - przerwał dyskusję Mandżaro. - Nie wolno nam się załamywać. Poczekamy jeszcze trochę, a jeśli Perełka nie przyjdzie, zagra rezerwowi.

To powiedziawszy, rozejrzał się troskliwym okiem gospodarza po boisku. Wszystko było już przygotowane: cały placyk uprzątnięty z gruzu i śmieci, linie autowe i pola bramkowe wyznaczono wapnem, bramki ustawiono z kopczyków cegły, a w wyłomie muru - w jednej „bramie” prowadzącej na ten stadion - postawiono kasę, czyli mały stolik i krzesło. Jednym słowem, organizacja meczu była wzorowa, a boisko przygotowane należycie. Teraz pozostało tylko czekać na publiczność i na przeciwników. Z przygotowań kapitan „Syrenki” był zadowolony, ale oprócz nieobecności bramkarza, niepokoiła go jeszcze jedna sprawa: skąd Maniuś Paragon wziął tak wspaniałą piłkę? Odciągnął więc skarbnika na stronę i zapytał:

- Maniuś, powiedz prawdę, skąd skombinowałeś tę piłkę?

Przez pogodną twarz Paragona przesunął się cień chwilowego zmieszania.

- Jak to: skąd? - zachnął się nagle. - Przecież wiesz, zorganizowałem.

- Ale skąd? Taka wspaniała gała musi kosztować chyba trzy stówki. Maniuś wydał wargi.

- Zapewniam cię legalnie, że więcej.

- No więc?

Maniuś chytrze łypnął oczami.

- O co się martwisz? Niech cię głowa nie boli. Zorganizowałem, i już. Może chciałbyś zagrać szmacianką albo innym flakiem? Przecież mówiłeś, że organizacja musi być na sto dwa.

Mandżaro położył mu rękę na ramieniu.

- Słuchaj, Maniuś, żeby nie było jakiejś wsypy. Ja wiem, że ty masz czasem lepka rączkę. Nasza „Syrenka” to młody klub, nie może się skompromitować.

Na twarzy Paragona ukazał się cwaniacki uśmieszek.

- Nie wygłupiaj się. Maniuś powiedział, że będzie piła, to jest. O co ci chodzi?

- Dajesz słowo, że uczciwie zorganizowałeś?

- Jak ciotunię kocham, najlegalniej w świecie.

To uspokoiło nieco kapitana drużyny, ale z jego zatroskanej twarzy widać było, że podejrzenie nie zniknęło całkowicie. Nie miał jednak czasu na dalsze roztrząsanie sprawy, gdyż w wyłomie muru ukazały się głowy pierwszych widzów. Byli to mali chłopcy, którzy zwykle najwcześniej zjawiają się na wszystkich boiskach świata. Jeden z nich nie zważając na duży napis umieszczony przy stoliku „Wstęp dla dorosłych 2 zł, dla młodzieży 1 zł” - z beztroską miną wdarł się na boisko. Za nim podążyli inni.

- Hola, panowie - zawołał Maniūs, który jako skarbnik klubowy miał również pełnić funkcję kasjera. - To nie gra w szmaciankę, to leguralny mecz. Publika płaci, a jak nie - to jazda, bo grzecznie przegonię.

Piegowaty wyrostek, w kaszkiecie nasuniętym na oczy, splunął przez zęby.

- Ja nie na takie mecze na gapę chodziłem.

- Ja też - skwitował z humorem Maniūs. - Ale dzisiaj, kolego kochany, nie przejdiesz.

- Wpuść mnie, Maniūs - szepnął z boku piegowaty chłopiec. - Ja ciebie znam. Ja mieszkam niedaleko od Gołębnika.

- Dzisiaj nie ma protekcji! Nawet cesarz Abisynii płaci legalnie za bilet. Kasa inaczej nie wytrzyma. No, chłopaki, płacić albo zjeżdżać w płasach!

Humor i stanowcza postawa kasjera i skarbnika w jednej osobie poskutkowały. Chłopcy bez protestu wycofali się za wyłom w murze i gęsto zalegli chodnik ulicy. Kto miał złotówkę, ten podchodził do stolika i z bólem w sercu wykupywał bilet, wstydząc się, że po raz pierwszy w życiu opłaca wstęp na mecz. Kto nie miał pieniędzy, oczekiwał, aż nadarzy się okazja do wślizgnięcia się na gapę. Dla zabicia czasu roztrząsano głośno, kto wygra: „Syrenka” czy „Huragan”? Odwieczny temat rozmów kibiców przekształcał się stopniowo w wielką wrzawę, żeby wreszcie przejść w zbiorową kłótnię. Zwolennicy „Syrenki” skakali do oczu kibicom „Huraganu”. Przed bramą boiska kotłowało się i wrzało. Tradycji wielkich meczów stało się zadość.

Tymczasem przy kasie robiło się coraz tłoczniej. Schodziła się poważniejsza publika. Paragon ku wielkiej radości zobaczył słomkowy kapelusz właściciela zakładu fryzjerskiego, pana Sosenki.

- Szanowanie, panie szefie! - przywitał go z elegancją. - Pan szanowny za dwa złote? Bilecik dla dorosłych, jedna sztuka. Służę uprzejmie. - Gdy podawał bilet swemu chlebobdawcy, ściszył głos: - Panie szefie, wpuściłbym pana po znajomości za darmochę, ale kasa nie moja, rzecz społeczna.

Szeroka, obrzękła twarz pana Sosenki rozpromieniła się na widok Paragona.

- Nie trzeba, nie trzeba - śmiał się dobrodusznie. - Rzecz zrozumiała, że kasa to sprawa publiczna. Daj dwa bilety, niech stracę.

- To może pan jednego chłopaka z ulicy ze sobą wprowadzić. Ty, chodź tu - skinął na piegowatego wyrostka. - Podziękuj panu szefowi za bilet i nie oszczędzaj głosu za naszą drużyną! Doping musi być, żeby nasza wiara wygrała.

W podobny sposób witał Maniūs-Paragon swe dobre znajome z Górczewskiej: pannę Kazię ze sklepu MHD i panią Wawrzynek, właścicielkę wózka z owocami.

„Moja klientela nie zawodzi” - myślał obliczając szybko kasę. W szufladzie stolika było już chyba ponad pięćdziesiąt złotych. Wpływy kasowe zapowiadały się pomyślnie. Trapiła go jednak myśl: „Co będzie, jeśli Perelka nie przyjdzie na mecz?” Co chwila wychylał się spoza stolika i z niecierpliwością spoglądał na chodnik, gdzie gromadziła się coraz większa ciżba. Kilka razy

przybiegał rozgorączkowany Mandżaro, dopytując się, czy nie było Perelki. Nawet, gdy zjawiała się cała drużyna „Huraganu” z Ryśkiem - Skumbrią i Królewiczem na czele, Perelki wciąż jeszcze nie było. Dopiero, gdy skarbnik miał przekazać kasę swemu pomocnikowi, Frankowi Motylskiemu, wśród chłopców cisnących się na chodniku i jezdni zobaczył małego bramkarza.

- Jesteś! - zawołał triumfalnie, gdy ten zdyszany zbliżył się do kasy. - Człowieku, ileśmy się tu namartwili!

Perelka machnął ręką i dłonią otarł pot z czoła. Jego oczy błyszczały dziwnym blaskiem.

- Popatrz, Maniuś, jaka sensacyjna wiadomość - powiedział zdyszonym głosem. Wyciągnął z kieszeni kawał zmiętej gazety, rozprostował ją w dłoniach i podsunął pod sam nos. - Czytaj! - przynaglał.

Paragon tak był zdenerwowany, że litery skakały mu przed oczami. Zdołał jednak uchwycić spojrzeniem tytuł złożony tłustymi czcionkami: Wielki turniej piłkarski „dzikich” drużyn.

- I co z tego? - zapytał nie rozumiejąc, co czyta.

- Czytaj dalej, to się przekonasz.

Czytanie nie szło Maniusiowi zbyt składnie, ale wysilił całą uwagę, by nie zgubić ani jednego słowa. Krótki komunikat prasowy brzmiał następująco: *REDAKCJA „ŻYCIA WARSZAWY” ORGANIZUJE WIELKI TURNIEJ „DZIKICH” DRUŻYN PIŁKARSKICH. ZGŁOSZENIA NALEŻY SKŁADAĆ W DZIALE SPORTOWYM REDAKCJI „ŻYCIA WARSZAWY” W GODZINACH 15-19, DO DNIA 15 BM. DALSZE SZCZEGÓŁY UKAZĄ SIĘ WKRÓTCE W STOLECZNEJ PRASIE.*

Perelka trącił go łokciem.

- Rozumiesz?

- Nie bardzo...

- Fujara z ciebie. Będziemy mogli grać w turnieju.

- Z kim?

- To się jeszcze okaże. Takie drużyny jak nasza, jak „Huragan”, kapujesz, wezmą udział w tym turnieju. Będą rozgrywki. Morowa rzecz, co?

Maniusiowi dopiero teraz rozjaśniło się w głowie. W mig zrozumiał, że chodzi o rzecz niezwykle ważną. Złapał Perelkę wpół i unióśł go jak piłkę.

- Rozumiem, rozumiem! To naprawdę fantastyczna rzecz! Musimy zaraz powiedzieć Mandżaro, a jutro walimy do „Życia” i zapisujemy się, bo może miejsca zabraknąć.

- Panie Łopotek, panie Łopotek, niech nas pan ratuje! Za pięć minut mecz, a my nie mamy sędziego - zaczął Mandżaro błagalnym głosem.

Paragon odsunął go delikatnie. Stał naprzeciw montera, który ulokował się jako widz na pierwszym piętrze wypalanej kamienicy i z miną wielkiego znawcy przyglądał się kopiącym piłkę graczom.

- Panie mistrzu - zawołał z humorem - ratuj pan honor naszej drużyny! Siedemdziesiąt dwa bilety sprzedane, pełne trybuny, nastrój wielkiego spotkania międzynarodowego, a tu sędzia skrewił! Nie przyszedł, kalosz jeden! Nasz los w pańskich szanownych rękach.

Monter uśmiechnął się, potrząsnął swą bujną czupryną, zapalił papierosa.

- Nie, moi drodzy, nie dam się nabrać. Znowu weźmiecie się za czuby i co ja wtedy zrobię?

- To przecież poważne spotkanie - wtrącił mały Perelka. Monter jeszcze raz potrząsnął głową.

- Znam ja was dobrze. Dwadzieścia lat mieszkam na Woli i jeszcze moje oczy nie widziały takiego meczu, który skończyłby się, jak Pan Bóg przykazał.

- Nie możemy zawieść płatnej publiki, kochany panie Łopotek. Jak ciotunię Kocham, nie będzie żadnej draki - przekonywał Paragon, tłukąc się z całej siły w pierś. - Jak Paragon coś powie, to mur, panie mistrzu. Pan jest najlepszym sędzią, jakiego na Woli widziałem. Nie zrobi nam pan zawodu. Tu chodzi o wielką rzecz, o honor naszej drużyny.

Łopotek uśmiechnął się przyjaźnie do Maniusia.

- Ej, ty to umiesz głowę zawracać - pogroził mu palcem.

- Za stan kasy jestem odpowiedzialny. Jak meczu nie będzie, to wszyscy do mnie przyjdą. „Dawaj pieniądze” - powiedzą. Takiej kompromitacji nie może być, panie mistrzu. My pana prezesem naszego klubu zrobimy, tylko niech pan bierze gwizdek i mecz zaczyna, bo kibice już się denerwują.

Istotnie, na trybunach zaimprovizowanych ze zwalisk gruzu odzywały się już pierwsze gwizdy i okrzyki.

- Zaczynać mecz! Za cośmy płacili! Zaczynać grę!

Łopotek widząc zmartwione miny chłopców i napiętą sytuację na trybunach, uległ wreszcie. Zrzucił z siebie granatową odświętną marynarkę, rozwiązał i zdjął krawat, zarzucił na szyję sznurek od sędziowskiego gwizdka i trzy razy klasnął w dłonie.

- Zaczynamy! - zawołał do chłopców, którzy kopali piłkę pod swymi bramkami.

Na widowni ucichło. Przez tłum młodocianych kibiców przeszedł szmer. Wszystkie oczy zwróciły się na boisko, gdzie w jednym szeregu ustawiały się obie drużyny. Pierwszy wystąpił kapitan „Syrenki” Mandżaro. Dał swym chłopcom znak ręką i w tej samej chwili odezwał się gromki okrzyk:

- Cześć! Cześć! Cześć!

To gospodarze boiska witali swych przeciwników. Chłopcy z Okopowej nie zostali im dłużni. Za chwilę na komendę Skumbrii rozległo się trzykrotnie, jeszcze głośniejsze: „Czołem!”

Teraz sędzia spotkania dał graczom znak, żeby się do niego zbliżyli.

- Słuchajcie - powiedział poważnie, niemal uroczyście - jesteście sportowcami czy nie? Jeżeli jesteście sportowcami, to grajcie po sportowemu. Jak mi któryś drugiego kopnie, to go za kark wyrzucę z boiska. Ze mną nie ma żartów. Ja jestem starym piłkarzem i nie pozwolę, żeby tu zamiast meczu była jakaś kopanina. Grajcie ładnie, z zapałem, a zobaczycie, że będzie porządny mecz. Zrozumieliście? - powiódł po chłopcach surowym spojrzeniem.

- Rozumiemy, rozumiemy - odezwały się nieśmiało głosy. Królewicz, który stał obok Ryśka-Skumbrii, trącił go łokciem.

- Słyszałeś, jaki ważny?

Monter to usłyszał. Zbliżył się do Królewicza, złapał go pod brodę i łagodnie zapytał:

- A ty nie rozumiałeś, prawda?

Smagły chłopiec o żarzących się oczach odsunął się.

- Po co to długie kazanie? - powiedział uśmiechając się kpiąco. Łopotek złapał go za ramię, przyciągnął do siebie przypatrując mu się bacznie.

- Zdziorny jesteś, bracie. - Naraz wzrok jego padł na zamszowe półbuty z podwójnym obszyciem. - I elegancki - dodał z uśmiechem. - Ale w takich kamaszach nie będziesz mógł grać. Umówione było, że wszyscy zagrają w trampkach.

- Nie jestem szmaciarzem, stać mnie na buty - odpalił Królewicz bezczelnie.

Łopotek przyciągnął go jeszcze bliżej.

- I pyskaty do tego - wycedził już poważnie.

- Daj spokój, Julek - wmieszał się Skumbria. - Zdejm te buty. Tak było umówione.

Chłopiec drasnął kolegę nienawistnym spojrzeniem. Był wściekły, że tamten nie stanął po jego stronie. Gwałtownym ruchem uwolnił się spod ciężkiej łapy montera.

- Dobrze - syknął niemal - ale i tak będę „kosił”. Łopotek pogroził mu palcem.

- Za pierwszy faul wylecisz z boiska.

Królewicz wzruszył ramionami, wolnym krokiem zszedł z boiska za linię autową i nie spiesząc się, zaczął ściągać swe zamszowe półbuty.

Gracze ustawili się na swoich pozycjach. Kapitanowie drużyn losowali boiska. Mandżaro wybrał reszkę. Wyrzucona przez sędziego złotówka poszybowała nad zadarte głowy graczy. Upadła na wierzch reszką. Mandżaro wybrał boisko od strony zburzonej kamienicy. W ten sposób „Syrenka” grała nienarażona na blask słońca w oczy.

Szybko upływały ostatnie chwile przed rozpoczęciem meczu. Chłopcy byli coraz bardziej zdenerwowani. Paragon, który grał na lewym skrzydle, podbiegł do Mandżaro, kierownika ataku.

- Felek, bracie kochany, pamiętaj o swoim koledze. Podawaj na skrzydło, a ja będę centrował.

Mandżaro skinął głową.

- Dobra, tylko spokojnie i zespołowo. Grunt to celne podania od nogi do nogi. Nie bawić się z piłką, tylko do przodu i na bramkę. Krzyś - zawołał na stopera drużyny - pamiętaj, pilnuj, pilnuj, żeby, Skumbria cię nie objeżdża! A ty, Tadek - skinął na Puchalskiego, który grał jako prawy łącznik - opiekuj się Królewiczem. On szybki, żeby ci nie uciekł.

Pająk wbiegł na swych szcudłowatych nogach na boisko i wymachując z przejęciem rękami, wołał podnieconym głosem:

- Chłopcy, nie dajcie się! Pokażcie, co to „Syrenka”. Strzelcie dwie gały, a potem murować bramkę!

- Odczep się - ofuknął go Tadek Puchalski - najlepszą defensywą jest ofensywa. Całą jedenastką ciągniemy na bramkę. Tak gra „CWKS”.

Każdy zalecał własny system gry i każdy miał coś do powiedzenia. Najbardziej jednak wydzierał się Tadek, uważał się bowiem za najlepszego znawcę i teoretyka piłki nożnej w całej drużynie. Na spory nie było już czasu, gdyż pan Łopotek dał znak, że czas zacząć grę. Odezwał się ostry głos gwizdka i Skumbria lekkim kopnięciem posłał piłkę do pomocnika „Huraganu”. W tej samej chwili wśród gruzów odezwał się piekielny wrzask. To kibice „Huraganu” okrzykami zachęcali swoją drużynę do pierwszego ataku.

- Huragan”! „Huragan”! „Huragan”! - darli się wniebogłose chłopcy z Okopowej. Krzyk był tak potężny, że w oknach i na balkonach sąsiednich kamienic ukazali się przebudzeni z poobiedniej drzemki mieszkańcy.

Bojowy okrzyk zelektryzował graczy. „Huragan” jak prawdziwy huragan poderwał się do ataku. Rosły, świetnie zbudowany Skumbria podał piłkę do Królewicza, ten lekkim zwodem ciała minął Puchalskiego, wypuścił piłkę przed siebie i gnał za nią. Tuż przed nim wyrósł obrońca. Królewicz ledwo dostrzegalnym ruchem nogi oddał piłkę nadbiegającemu Skumbrii. Ten w pełnym biegu posłał ją na bramkę.

- Och!... - wyrwał się okrzyk podziwu, ale w tej samej chwili ponad ławę sunących na bramkę graczy wyskoczył jak sprężyna mały, zwinny Perełka. Jego chude ręce dosięgły piłki i ściągnęły ją jednym ruchem.

- Brawo! Brawo, Perełka! - zawołali zwolennicy „Syrenki”. Niebezpieczna akcja „Huraganu”

została zlikwidowana. Teraz piłkę otrzymał Krzys Słonecki. Rozejrzał się wokół i widząc nadbiegającego Paragona, skierował ją lekkim podaniem do skrzydłowego. Maniś ruszył do przodu jak wicher. Zdawało się, że zaczarował piłkę, toczącą się posłusznie przy jego trampkach. Minał pomocnika, potem obrońcę i na linii bramkowej posłał ją do środka. Z ciżby graczy wyrwała się smukła sylwetka Mandżaro. Jak z katapulty wyskoczył do piłki i głową skierował ją do bramki. Zasłonięty przez własnych obrońców bramkarz „Huraganu” w ostatnim momencie zauważył ją tuż przed sobą. Zdążył tylko wysunąć pięści i odbić piłkę w pole.

Zahuczało od oklasków. Jedni chwalili Mandżaro za piękną główkę. Drudzy bramkarza za przytomną obronę. Ale niebezpieczeństwo pod bramką „Huraganu” nie minęło. Zakotłowało się na polu bramkowym. Piłka, jak oszalała, plątała się w kłębowisku nóg. Wyłuskał ją Ignasz Paradowski, grający na lewym łączniku, i posłał do Paragona. Ten walnął z woleja. Plasnęło tylko i znowu z tłumy wyrwał się okrzyk podziwu. Piłka, jak błyskawica, śmignęła w kierunku bramki, ale poszybowała za wysoko. Sędzia nie uznał bramki.

Decyzja ta wywołała wśród zwolenników „Syrenki” burzę protestów. Jedni zrywając się z miejsc krzyczeli:

- Była bania! Była bania!

Drudzy gwizdali zawzięcie i pod adresem sędziego posyłali niezbyt pochlebne okrzyki:

- Sędzia kalosz! Kanarki doić! Mak liczyć!

Trudno było mieć pretensje do pana Łopotka, gdyż bramki nie miały ani słupków, ani poprzeczki. Zaimprovizowane z ceglanego gruzu, mogły stać się powodem do zatargów. Sędzia nie przejął się okrzykami, energicznym ruchem wskazał na linię bramkową i nakazał obrońcy wybić rzut autowy.

Maniś boleśnie przeżył pierwsze rozczarowanie. Był pewny, że jego strzał nie chybił. Przy przepisowej bramce piłka z pewnością zatrzepotałaby w siatce. Próbował nawet protestować, ale spokojny Mandżaro ostudził jego zapał.

- Siedź cicho - syknął. - Sędzia lepiej widzi.

To wcale go nie przekonało, ale dla spokoju ucichł. Postanowił jednak przy najbliższej sposobności przekonać wszystkich, że jego strzały są celne.

Właśnie nowy atak sunął na bramkę „Huraganu”. Tadek Puchalski, jeden z najlepszych graczy „Syrenki”, minął kilku przeciwników, podał piłkę do Mandżaro. Ten, widząc tłok pod bramką, skierował ją na lewe skrzydło do Maniusia. Paragon zgasił piłkę, podciągnął blisko pod bramkę i strzelił. Tym razem płaski, bity z ostrego kąta strzał trafił prosto w ręce bramkarza.

- Dobrze, Maniś, tylko tak dalej - pocieszył go nadbiegający Mandżaro.

- Eee... tam - skrzywił się Paragon. - Mówię ci, że pierwsza siedziała jak mur.

Gra toczyła się dalej. Raz atakował „Huragan”, to znowu „Syrenka” przeprowadzała piękne akcje pod bramką przeciwników. Minuty mijały, ale wynik wciąż był bezbramkowy.

Pod płotem, odgradzającym boisko od ogrodu warzywnego pana Forytowskiego, na murawie usadowili się starsi kibice, prawdziwi i doświadczeni znawcy sportu piłkarskiego. Wśród nich białł słomkowy kapelusz mistrza fryzjerskiego, pana Sosenki. Obok usiadł wysoki, smukły młodzieniec, w eleganckim granatowym garniturze w dyskretne białe paseczki, w nowiutkich butach zamszowych z podwójnym obszyciem, uczesany na jeża, tak jak nakazywała panująca na Woli moda. Gdyby ktoś bliżej przyjrzał się młodzieńcowi, w mig rozpoznałby w nim starszego brata Królewicza, znanego dobrze na Woli, Romka Wawrzusiaka. Smągła twarz, błyszczące oczy ocienione długimi rzęsami i przesadna elegancja w ubiorze cechowały i młodego gracza, i siedzącego pod płotem o kilka lat

starszego kibica.

Zarówno właściciel zakładu fryzjerskiego z Górczewskiej, jak i elegant z Okopowej z zapartym tchem obserwowali toczący się na boisku mecz. Z tą tylko różnicą, że pan Sosenka całym sercem był po stronie „Syrenki”, Romek Wawrzusiak zaś fanatycznie kibicował „Huraganowi”.

Zbliżał się już koniec pierwszej połowy spotkania, a wynik wciąż był bez-bramkowy. Na boisku chłopcy w zapale gry zapomnieli o wszelkich założeniach taktycznych, a drużyny jak tabuny rozigranych żrebaków uganiały za piłką. Roślejsi i starsi gracze „Huraganu” zdobywali powoli przewagę, ale zwinni malcy z Górczewskiej nie poddawali się łatwo. Gdy tylko zdarzyła się okazja, nacierali z impetem na bramkę przeciwników.

Teraz właśnie Mandzaro otrzymał podanie pomocnika i przejąwszy piłkę, ruszył do przodu. Zwodem ciała minął stopera, potem pomocnika i z wielkim impetem parł na bramkę.

- Ale gra ten środkowy! - zawołał z uznaniem pan Sosenka. - Strzelaj! Strzelaj! - Poderwał się i wywijając w powietrzu kapeluszem, okrzykami zachęcał swych pupilów do gry.

- Siadaj pan - ofuknął go flegmatyczny Romek Wawrzusiak. - Oni i tak dostaną - pokazał na graczy „Syrenki”.

- Co? „Syrenka” przegra? - zaperzył się fryzjer. - Prędzej tu mi włosy wyrosną - pokazał na swą pulchną, różową dłoń. - Moi chłopcy grają jak z nut!

- Patałachy - skwitował Wawrzusiak. - Niech pan popatrzy lepiej na mojego brata. Ten ma smykałkę do gry! Zobacz pan, co z niego wyrośnie.

Pan Sosenka otarł chustką spoconą łysinę i niezbyt pochlebny spojrzeniem ogarnął swego sąsiada.

- Patałachy, mówisz pan - poczerwieniał cały ze złości. - To wasi patałachy! Takie dryblasy i tym dzieciakom nie strzelili jeszcze ani jednej bramki. Niech się lepiej nauczą grać szmacianką, a potem kopią przyzwoitą piłkę. Wstyd! - To rzekłszy splunął wprost pod brązowe zamsze eleganta z Okopowej.

- Patrz pan, co się dzieje! - uśmiechnął się kpiąco Wawrzusiak i posłał fryzjerowi pełne pogardy spojrzenie.

W tej chwili piłkę przejęli chłopcy z „Huraganu”. Skumbria posłał ją do skrzydłowego; skrzydłowy momentalnie przerzucił do Królewicza, a ten minawszy obrońcę strzelił ostro w róg bramki. Żółta koszulka Perełki mignęła w powietrzu, jego drobne ciało wyciągnęło się w błyskawicznej robinsonadzie, a dłonie jak magnesy złapały ostrą piłkę.

Pan Sosenka podskoczył z radości.

- Bravo! Bravo! - zaklaskał w dłonie. - Widział pan - zwrócił się do sąsiada - jak on to obronił? Wy nigdy nie będziecie mieli takiego bramkarza. Fenomenalny! Fenomenalny! - powtórzył kilka razy. Ale wnet ochłonął z zachwytu, gdyż „Huragan” znowu był w ataku pod bramką „Syrenki”.

Teraz nawet flegmatyczny Romek Wawrzusiak poderwał się, otrzepał wzorowo zaprasowane spodnie i spod przymkniętych powiek patrzył, jak skrzydłowy „Huraganu” bił rzut różny. Piłka poszybowała nad głowy zebranych pod bramką graczy. Zwinny, mały Perełka wystrzelił do góry, chciał ją złapać, ale ubiegł go Królewicz. Głową posłał piłkę na lewe skrzydło. Tam, jakby spod ziemi, wyrósł nagle Skumbria, złapał piłkę i nie zwlekając, walnął ją na bramkę. Perełka nie zdążył jej odbić, piłka minęła go o centymetry. Długi gwizdek sędziego oznajmił, że padła pierwsza bramka. Wokół boiska zawrzało.

Romek Wawrzusiak strzepnął pył ze swoich spodni, rozłożył na trawie chusteczkę, usiadł i

szyderczo popatrzył na fryzjera.

- Wyrósł już panu pierwszy włoszek na szanownej dłoni? Fryzjer zasłonił rękami swe małe, niebieskie jak bławatki oczy.

- Nie mogę na to patrzeć - westchnął żałośnie. - Te nieuki zatracone, te dryblaszy strzeliły bramkę.

- Poczekaj pan - naigrawał się z niego Wawrzusiak. - Zaraz będzie następna. Poślij pan swoje dzieci do przedszkola, niech się liczyć nauczą, bo zaraz posypie się cała seria. Widział pan, jak mój Julek główkował? Pierwsza klasa! Takie główki widzi się tylko na ligowych meczach.

Fryzjer oderwał dłonie od oczu.

- Panie szanowny, mecz jeszcze nieskończony. Daję głowę, że moi chłopcy wygrają.

- Na harmonijce - uśmiechnął się Wawrzusiak. Fryzjer zaperzył się. Jego twarz zapłonęła purpurą gniewu.

- O co zakład? - spojrzał wyzywająco na sąsiada. Ten zaprzeczył tylko ruchem głowy.

- Szkoda mi pana. Włosy panu wyrosną na dłoni, głowę pan straci i jeszcze zakład pan przegra.

- Więc nie przyjmuje pan zakładu?

- Koniecznie chcesz pan przegrać?

- No to o setuchnę, zgoda?

- Zgoda.

Spojrzeli sobie w oczy jak najwięksi wrogowie. Tymczasem na boisku rozległ się gwizd. Sędzia oznajmił koniec pierwszej połowy meczu. Zmęczeni, zziębnięci gracze opuszczali boisko. Maniś miał bardzo markotną minę. Nie mógł sobie darować, że nie strzelił ani jednej bramki. Idąc ze spuszczoną głową, kącikami oczu zobaczył obok kapitana drużyny - Felka-Mandżaro.

- Włupili nam legalnie - szepnął żalnym głosem.

Mandżaro uśmiechnął się niemrawo.

- To nic - powiedział - do przerwy 0:1.

Ryk, który wydobywał się spoza murów wypalanej kamienicy, nie tylko zbudził drzemiących w sąsiednich domach mieszkańców, ale również zaniepokoił spokojnych przechodniów. Przystawali na chodnikach, zadzierali głowy i zdumieni zapytywali, co się dzieje. Sterczący pod bramą chłopcy, którym nie udało się dotąd wśliznąć na boisko, informowali z godnością, że to wielki mecz toczy się Oprymat w piłkarstwie na Woli.

Przejeżdżający przez Górczewską Stefanek zatrzymał swoją nową „jawę”

I z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się tak dobrze znanej melodii piłkarskiego meczu. Na chwilę wzrok jego spoczął na afiszu. Dzięki ekspresji rysunku i błędom ortograficznym tekstu wywołał on wyrozumiały uśmiech na twarzy znakomitego sportowca. Po krótkim namyśle Stefanek zdecydował się zajrzeć na boisko, zobaczyć, co się tam dzieje. Przypomniał sobie pierwsze kroki, jakie stawiał w piłkarstwie, zanim stał się znanym graczem. Przecież to tu, na Górczewskiej, rozegrał się pierwszy mecz szmacianą piłką, tutaj przeżywał pierwsze emocje walki o bramki, tutaj uczył się abecadła piłkarza. Zaciągnął swój motor do wypalonej bramy i już miał wejść przez wyłom w murze, gdy nagle wyrósł przed nim mały chłopiec.

- A bilecik pan ma?

Stefanek bez słowa protestu zapłacił za bilet wstępu i zatopiony we wspomnieniach, wszedł na kipiące piekielnym wrzaskiem boisko. Na widok biegających za piłką małych, obdartych, zziębniętych wyrostków znowu uśmiechnął się do siebie.

Wzruszony usiadł pod wałącym się płotem koło tęgiego jegomościa w słomkowym kapeluszu.

- Co to za mecz? - zapytał nieśmiało.

Pan Sosenka obejrzał się, obrzucił nowego przybysza ciekawym spojrzeniem.

- Nie przeszkadzaj pan, nie widzisz pan, że grają? - Potem zmiętygowawszy się nieco, dodał sucho: - Nasza „Syrenka” z „Huraganem” z Okopowej... - Ledwo wypowiedział te słowa, zerwał się, jakby siedział na mrowisku, i wywijając w powietrzu zwiniętym parasolem, jął krzyczeć na całe gardło:

- Prowadź, Paragon, prowadź!

W tej chwili Maniś-Paragon odebrał piłkę pomocnikowi i minawszy go, zaczął ciągnąć na bramkę. Przed nim wyrósł obrońca „Huraganu”. Maniś przerzucił przez niego piłkę, obtańcował go jak rutynowany gracz, dopadł piłki i zacentrował. Piłka zakreśliła łuk, upadła na linii bramkowej. Złapał ją Mandżaro, zgasił, przytrzymał i lekko podał do nadbiegającego Ignasia. Ten strzelił. Strzał był tak błyskawiczny, że bramkarz nie zdążył wyciągnąć rąk. Piłka minęła go w locie. Sędzia zagwizdał, oznajmiając zdobytą bramkę. Widownia znów zafalowała.

- Brawo, Ignaś! Brawo, Mandżaro! Brawo, Paragon! - wrzeszczeli mali chłopcy.

Gracze ściskali i całowali Ignasia. Bramkarz „Huraganu” krzyczał głośno do obrońców:

- To przez was, nie mogliście go pilnować? Staliście jak mamuty i zasłoniliście mi pole!

Pan Sosenka szalał. Wywijał parasolem, podrzucał słomkowy kapelusz, tupał, śmiał się, podskakiwał. Zachowywał się jak prawdziwy kibic na prawdziwym meczu. Gdy ochłonął nieco z pierwszej radości, dotknął końcem parasola ramienia siedzącego nieruchomo Romka Wawrzusiaka.

- No, co? Nie mówiłem, że wyrównają? Jak szanownemu panu na podniebieniu? Zakładu się panu zachciało. Płać pan z góry, bo teraz nasi pokażą, jak wygląda piłka nożna.

Elegant nawet nie spojrział na rozpromienionego fryzjera. Ze złością wycedził:

- Zobaczymy.

- Ładne było zagranie - wtrącił Stefanek, przyglądając się wojowniczemu tańcowi starszego kibica.

Pan Sosenka spojrział nań jak na intruza.

- Nie znasz się pan na piłce i zabierasz głos. To nie było ładne, to było fenomenalne. Fenomenalne, rozumiesz pan. Gdyby „poloniści” tak zagrywali, to już dawno byłiby w pierwszej lidze. Widział pan, jak mój kochany Paragon zacentrował? Widział pan, jak Mandżaro zgasił piłkę i podał? Widział pan, jak ten mały łącznik strzelił? Nie widział pan, a jakżeś pan nie widział, to lepiej cicho siedź i nie zabieraj pan głosu, bo ja na piłce nożnej zęby zjadłem.

Znakomity gracz „Polonii” w zdumieniu wysłuchał tego pełnego werwy kazania, a gdy fryzjer skończył, uśmiechnął się wyrozumiale i zapytał:

- A ten lewo skrzydłowy, co za jeden?

- To Paragon, najlepszy gracz na boisku. Za kilka lat usłyszysz pan o nim. Jago nauczyłem grać w piłkę. To mój wychowanek - odrzekł pan Sosenka i łaskawszym okiem zerknął na przybysza, który raczył zainteresować się jego pupilem.

Stefanek zastanowił się.

- Skąd ja go znam? - zapytał i naraz przypomniał sobie chłopca, który często przychodził na Konwiktorską, a ostatnio podczas treningu podawał im piłki. W tym samym momencie wzrok jego padł na toczącą się po boisku nowiutką piłkę, dziwnie podobną do tej, która zniknęła w tajemniczy sposób podczas ostatniego treningu.

- Tak, to naprawdę najlepszy gracz... - powiedział do siebie. Tymczasem walka na boisku

zaostrzała się z minuty na minutę.

Teraz atakowali zawzięcie „huraganowcy”. Za wszelką cenę chcieli zdobyć zwycięstwo. Zepchnęli „Syrenkę” pod bramkę i gnietli niemiłosiernie. Co chwila migąła w powietrzu żółta koszulka Perelki. Bramkarz dwoił się i troił. Wybiegał na przedpole, wyłuskiwał piłkę spod nóg przeciwników, bronił w beznadziejnych niemal sytuacjach. A wynik wciąż brzmiał 1:1.

- Dobrze jest, dobrze jest - szeptał do siebie Maniuś. - Żeby tylko udało się utrzymać remis. - Był już u kresu sił, słał się na nogach. Cofnął się pod własną bramkę i walczył zaciekle. Przy piłce był Skumbria. Minał Krzysia Słoneckiego, który potknął się i upadł na boisko, podał celnie do nieobstawionego Królewicza. Ten strzelił tak błyskawicznie, że Perelka zdążył tylko wyskoczyć do piłki, lecz jej nie złapał. Mały bramkarz leżąc na ziemi patrzył z przerażeniem, jak nowa żółta piłka mignęła mu przed oczyma.

- Jeeeest! - ryknęli chłopcy z Okopowej.

- Jest - odpowiedział jak echo pan Sosenka i łapiąc się za głowę, półżywy opadł na murawę.

- Dwa jeden - bąknął flegmatycznie Romek Wawrzusiak. - Mówiłem panu. Setuchna w mojej kieszeni.

Fryzjer wyjął z kamizelki zegarek.

- Jeszcze dziesięć minut do końca meczu. Jeszcze nasi mogą wygrać. - Zerwał się, zdarł kapelusz z głowy i wymachując nim, wołał potężnym głosem:

- „Syrenka”, grać! „Syrenka”, nie dać się!

- „Syrenka”, gola! - podchwycił chór małych kibiców.

Chłopcy z Górczewskiej usłyszeli ten bojowy okrzyk. Z impetem ruszyli do ataku.

Napięcie rosło z minuty na minutę. Pojedyncze okrzyki zlały się w jeden niemiłkający wrzask. Do piłki doszedł Paragon. Tchu brakowało mu w piersi, pot zalewał oczy, ale nie ustępował. Zaciśnął zęby i prowadził piłkę. Jak przez mgłę widział przed sobą nadbiegających graczy. Zwinnym zwodem ciała minął pierwszego, przez drugiego przerzucił piłkę, minął go i chwając się, zatrzymał piłkę na linii autowej. Ostatnim wysiłkiem skierował ją w stronę nadbiegających graczy. Pierwszy dosięgnął jej Ignas. Wyskoczył, posłał główką do Mandżaro, ten, widząc przed sobą mur z przeciwników, minął jednego z nich i podał piłkę Paragonowi. Maniuś podprowadził jeszcze kilka kroków. Wtem zobaczył przed sobą kraciastą koszulę bramkarza. Piłka toczyła się szybko. Kto pierwszy jej dosięgnie - bramkarz czy on? Rzucił się do przodu, czubkiem stopy pchnął piłkę. Jak zaczarowana przeleciała ponad wyskakującym bramkarzem. Maniuś potknął się. Zderzył się z bramkarzem. Upadł na ziemię i w tej chwili, jakby zza mgły, usłyszał triumfalny okrzyk kolegów: - Jeeeest!

Ktoś podniósł go z ziemi, ktoś podał mu ramię, ale Maniuś był tak zamroczony, że znowu ześliznął się na brudny piasek boiska. W uszach brzmiał mu radosny, zwycięski okrzyk: Jeeeest! A więc strzelił bramkę, a więc znowu wyrównali.

Teraz tylko trzeba utrzymać remisowy wynik i pierwszy ich mecz zakończy się pięknym sukcesem.

- Co ci jest? - usłyszał nad sobą głos Mandżaro.

- Nic, nic - uśmiechnął się po swojemu, łobuzersko, i z wielkim wysiłkiem podniósł się z ziemi.

- Możesz grać?

- Jasne - otrząsnął się z oszołomienia. Zobaczył, jak Skumbria z kwaśną miną ustawia piłkę na środku boiska. Chłopcy otoczyli Paragona ze wszystkich stron, całowali, ściskali mu dłoń. Zupełnie tak, jak na prawdziwym meczu ligowym. Maniuś wyprostował się, poczuł się tak wesoły i

szczęśliwy, że podskoczył, wyciągnął ręce i goniąc na swą pozycję, zawołał:

- Dobrze jest, wiara, gramy dalej!

Pan Sosenka z niecierpliwością spoglądał na swój duży, kieszonkowy zegarek. Minuty wlokły się niemilosiernie, czas jakby stanął w miejscu. Spokojny do tej pory Romek Wawrzusiak stracił swą flegmę. Wstał, otrzepał spodnie i wodził po boisku rozbieganymi, błyszczącymi oczami. Widać było, że nie jest zadowolony z gry swoich pupilów. Podszedł aż do linii autowej i zawołał do brata:

- Po kościach, Julek, pokaż im, jak się „kosi”! Stefanek, który uniósł się również, złapał go za rękaw.

- Jak pan może namawiać do brutalnej gry?

- A co, może mają przegrać z takimi konusami?

- Ładne rady pan im daje! Oczy eleganta błysnęły złowrogo.

- Nie mieszaj się pan w nie swoje sprawy - syknął, odwrócił się do niego plecami i jeszcze raz zawołał:

- Julek, po kościach!

Pan Sosenka tak był przejęty tym, co się działo na boisku, że nie słyszał sprzeczki. Widząc, że „Huragan” zepchnął drużynę „Syrenki” do obrony, powtarzał drżącymi wargami:

- Nie dajcie się, chłopcy, nie dajcie się, chłopcy.

Piłkę miał teraz mały Ignas i korzystając z zamieszania, wyrwał się do przodu. Za nim pobiegł Mandżaro. Akcja była tak szybka, że obrońcy, którzy zapuścili się głęboko na pole przeciwników, pozostali za atakującymi. Z widowni zerwał się przeraźliwy wrzask:

- Na bramę! Na bramę! Wal, Ignas! Przed samą bramką Ignas zawahał się.

- Strzelaj! - ryknęli kibice.

Ale Ignas tak był zaskoczony tą nieoczekiwaną sytuacją, że zamiast posłać piłkę na bramkę, podał ją biegnącemu obok Mandżaro. W tym samym momencie wybiegł bramkarz. Jednym susem rzucił się na ziemię i błyskawicznie wyłowił piłkę spod nóg nadbiegającego Mandżaro.

Ignas złapał się za głowę.

- Ale ze mnie knot! - zawołał zrozpaczony.

- Czemuś nie strzelał, fujaro? - Tadek Puchalski, rozkładając ręce gestem straszliwego wyrzutu, łajał Ignasia: - Mieliśmy mecz wygrany, ofiarno. Dlaczegoś nie walił na bramkę, ofiermo?...

- Daj mu spokój! - przerwał ostro kapitan drużyny. - Mądryś, w takiej sytuacji każdy by zbaraniał.

Sędzia odgwizdał koniec meczu.

Pan Sosenka zdjął kapelusz i dla zadokumentowania swej radości podrzucił go dwa razy do góry. Dysząc ciężko, wycierał chustką spoconą łysinę.

- Uf, alem się nadenerwował - zwrócił się do stojącego obok Romka Wawrzusiaka.

Ten stał ponury i zły. Nie patrzył na sąsiadów, tylko z wściekłością powtarzał:

- Z takimi konusami przegrali, z takimi konusami...

- A co będzie z zakładem? - zahaczył rozpromieniony fryzjer. Romek wzruszył ramionami. Pan Sosenka dotknął jego ramienia.

- Chodź pan na piwo, ja stawiam, niech stracę. Moi chłopcy grali jak z nut.

- Dobrze ci malcy grali - wtrącił stojący obok Stefanek.

- Dobrze? - fryzjer zaperzył się. - To pan się nie znasz na sporcie. Fenomenalnie, mówię panu, fenomenalnie!

Najbardziej cieszył się Paragon. Zacierając dłonie i obejmując wszystkich kolegów po kolei,

powtarzał z dumą w głosie:

- Chłopcy, pokazaliśmy tym „Bażantom”, jak się gra w piłkę. Trochę szczęścia, a wykołowałibyśmy ich na perłowo. Wynik remisowy to nie w kij dmuchał, kasa pełna, bez manka. Na drugi raz będzie jeszcze lepiej.

Podskoczył trzy razy i uśmiechnął się tak radośnie, jakby przeżył najszczęśliwszy dzień w swym życiu. Naraz jego wesoły uśmiech przygasł. Wśród pozostałych na boisku widzów zobaczył ogorzałą, spokojną twarz Stefanka. Chciał skryć się za plecy najwyższego spośród nich Mandżaro, ale Stefanek zbliżył się wolnym krokiem i, jak na złość, kierował się prosto do niego.

- Poczekaj - wyciągnął do niego rękę. - Jak się nazywasz?

Pod Paragonem ugięły się zmęczone nogi. Głos uwiązał mu w gardle, policzki oblał ciemny rumieniec.

- Ja?... Ano... Marian Tkaczyk - wykrztusił z wielkim trudem. Spokojne oblicze „polonisty” rozjaśnił przyjazny uśmiech.

- Dobrze grałeś - Stefanek ujął go za ramię. - Masz zadatki na rasowego gracza. Ta bramka, którą strzeliłeś, była pierwszej klasy.

Maniuś odetchnął z ulgą. Przymrużył cwaniacko oczy i rzucił z dumą:

- Ano gra się, panie Wacku. - I zaraz dodał: - Ja pana znam. Ja jestem na każdym meczu na Konwiktorskiej.

- I na treningi też przychodzisz?

Maniuś skurczył się, jakby mu ktoś wylał za kołnierz szklanę zimnej wody, ale nie dając poznać zmieszania, odparł zuchowato:

- Przychodzę od czasu do czasu. Podpatruję wasze „sztosy”.

Stefanek rozejrzał się. Zobaczywszy, że Ignas Paradowski trzyma w ręku nową piłkę, zwrócił się do niego:

- Ho, ho, ale piłkę macie pierwszorzędną. Pokaż no, bracie. - Oglądał ją dokładnie.

Maniusiowi ciarki przebiegły po plecach. Stopy zaczęły go piec, jakby stał na rozpalonych węglach. Najchętniej w tej chwili rozpląnąłby się w powietrzu albo zapadł pod ziemię. Poczul na sobie uważne spojrzenie Stefanka i usłyszał:

- Skąd ją macie?

Zaległo długie milczenie. Piłkarz powtórzył pytanie. Zamiast Paragona odpowiedział Mandżaro:

- Zorganizowaliśmy, proszę pana.

Ach tak? - udał zdziwienie. - A skądżeście ją zorganizowali? Maniuś, chociaż speszony, nie stracił jednak głowy. Przymrużył jedno oko, uśmiechnął się i rzucił:

- Pożyczyliśmy sobie na jeden mecz.

- A skądżeście pożyczyci?

- Z „Polonii”, panie Wacku.

Stefanek spochmurniał, szybkim ruchem złapał Manusia za ramię i przyciągnął go do siebie.

- Dlaczego kłamiesz? - zapytał ostro. Chłopak zbladł, łypnął oczyma, skrzywił się.

- A czym mieliśmy grać - wybąkał - szmacianką?

- To nie mogłeś przyjść i poprosić?

- Nie śmiałem.

- A kraść to śmiałeś?

Paragon szarpnął się. W jego kocich oczach pojawił się gniew.

- Ja nie ukradłem! Ja chciałem oddać.

- I zabrałeś wtedy z treningu bez pytania!

- Bo mecz był już bliski... i... powiedziałem kolegom, że się wystaram o piłkę.

- A mówiłem, że będzie wsypa! - jęknął stojący obok Maniusia Mandżaro. Maniusiowi łyzy

błysnęły w oczach. Uniósł głowę i patrzył prosto przed siebie.

- Oni nic o tym nie wiedzieli. Ja sam to zrobiłem.

Stefanek puścił chłopca, odbił kilka razy piłkę o ziemię i powiedział:

- Trzeba było przyjść, poprosić, to byśmy wam pożyczili. A teraz, jak to wygląda? Gracie kradzioną piłką. - Nie czekając na odpowiedź, przedarł się przez pierścień otaczających go graczy, skierował się do bramki. Gdy był już przy wyrwie w murze, odwrócił się nagle, skinął chłopcom ręką. - Przyjdźcie jutro piątej, to pogadamy.

Chłopcy stali w milczeniu, nie śmieli nawet pisnąć. Gdy Stefanek znikł w wyłomie muru, pierwszy odezwał się Perełka.

- Ludzie kochani, to przecież Stefanek, ten z „Polonii”. Przyszedł na nasz mecz. To ci niespodzianka!

Mandżaro, który uważał, że ponosi odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje w klubie, stał stropiony.

- Wiedziałem, że tak będzie - powiedział jakby do siebie. Nagle ocknął się z zadumy i zaciskając pięści, zbliżył się do Paragona.

- Widzisz, coś narobił! Pomyślą, żeśmy wszyscy tacy sami.

Maniś wbił ręce w kieszenie, obrócił się bokiem i stanął w wyczekującej pozycji. Z jego twarzy znikł uśmiech. To nie był już ten sam roześmiany Maniś. Oczy żarzyły mu się gniewnie, wargi drżały, w całej postaci było coś groźnego.

- O co ci chodzi, Mandżaro? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- O honor całej drużyny.

- Przecież mu powiedziałem, że to ja...

- Myślisz, że uwierzy?

- Mówiłem prawdę. Mandżaro splunął mu pod nogi.

- Tfu! Wstyd mi za ciebie.

Paragon sprężył się, jednym skokiem dopadł Felka i złapał go za koszulę.

- Odszczekaj, coś powiedział!

- Wstyd mi za ciebie - powtórzył drżącym głosem Mandżaro. Perełka, widząc, że zanoszą się na wymianę ciosów, wdarł się między nich.

- Dajcie spokój, nie wygłupiajcie się. Zremisowaliśmy mecz, a oni do siebie skaczą. I o co, o głupią piłkę!

Paragon cofnął się, potrząsnął wojowniczo głową.

- Wystarałem się o piłkę, a on jeszcze się ciska. Myśli, że jak go wybrali na kapitana drużyny, to mu wszystko wolno. Gdyby nie ja, toby tego meczu nie było albo szmacianką byśmy grali. Ważny...

Mandżaro nie pozostał dłużny.

- Takich jak ty nie trzeba nam w drużynie. Możesz, bracie, iść do „Bażantów”, tam byś się nadawał.

Tego już było za wiele. Maniś zmrużył swe kocie oczy, zacisnął zęby i cisnął prosto w twarz Felkowi:

- Z takimi smarkaczami jak ty nie będę grał. Gwiżdżę na ciebie. Wieczorem oddam kasę i szanowanie... - Odwrócił się na pięcie, pokazał wszystkim plecy i oddalił się wolnym, kołyszącym krokiem.

- Aleś, bracie, narobił - westchnął Ignasz Paradowski spoglądając na Mandżaro.

Ten wzruszył ramionami.

- Nie będę po nim płakał - rzekł wolno, ale widać było, że ogarnął go żal zrobiło mu się przykro. Pragnąc opanować nagle wzruszenie, kopnął ze złością kawał cegły. Potem podciągnął opadające szorty, rozejrzał się po chłopcach i powiedział twardo:

- No trudno... Dzisiaj o pół do ósmej zbiórka w Gołębniku. Mamy ważne sprawy do obgadania.

ROZDZIAŁ III

Na cmentarzysko starych samochodów, czyli do udzielnego księstwa pana Łopotka, można było wejść przez furtkę z boiska albo wprost przez bramę z ulicy Górczewskiej. Mandżaro i Perełka wybrali tę drugą drogę, uważali bowiem, że dla załatwienia tak ważnej sprawy należy wejść główną bramą, żeby było bardziej oficjalnie.

Gdy stanęli na rozległym placu, wśród dziesiątków szkieletów samochodów rozmaitych marek i rozmiarów, nie mogli dojrzeć opiekuna i gospodarza tej wielkiej rupieciarni. Dopiero po chwili zobaczyli długie nogi wystające spod wraka starej „skody”. Pan Łopotek był zajęty wykręcaniem jakiejś części z bebeczków zardzewiałego motoru. Chłopcy stanęli patrząc z respektem na nieruchome, śmiesznie rozrzucone nogi obute w ażurowe sandały. Mandżaro chrząknął dyskretnie.

- Kto tam, do stu tysięcy zgniłych pomidorów?! - odezwał się tubalny głos.

- To my, panie Łopotek - odpowiedział Mandżaro.

- Co za „my”?

- My... z „Syrenki”.

- Nie widzicie, że mam pełno roboty? Przyjdźcie później, teraz nie mam czasu.

Chłopcy spojrzeli na siebie, potem na nogi montera, wierzgające w tej chwili cudacznie. Perełka uśmiechnął się na ten widok.

- Panie Łopotek - powiedział swym cieniutkim głosem - my w bardzo ważnej sprawie.

- Co, znowu jakaś grubsza draka?

- Nie - wyjaśnił Mandżaro - my w sprawie turnieju, o którym pisali w „Życiu Warszawy”.

- Do stu tysięcy ton spleśniałej marmolady, jakiego turnieju? - zabrzmiało pod samochodem.

- No... tego turnieju „dzikich” drużyn.

Wiadomość ta zainteresowała widocznie znakomitego sędziego, gdyż za chwilę nogi wydłużyły się, a za nogami wyczołgał się cały pan Łopotek. Ogorzała twarz, siwiejące wąsy i czupryna były całe w smarze i rdzy. Przyjrzał się uważnie chłopcom, potem przeczytał wycinek z gazety, który podał mu Mandżaro.

- No dobrze, ale co wy właściwie chcecie? - zapytał kończąc czytać.

- My, proszę pana - wyjaśnił rzeczowo kapitan drużyny - chcemy wziąć udział w tym turnieju. Przyszliśmy się pana zapytać, czy to warto, czy mamy jakieś szansę?

Monter zastanawiał się długo, trąc usmarowaną dłonią zarośnięty twardą szczecina policzek, wreszcie odezwał się z powagą:

- Ten turniej, proszę ja kogo, to niezła rzecz. A jeżeli chodzi o was, to ja mam pewną radę - oderwał dłoń od policzka i spojrzął na chłopców jeszcze uważniej.

- Jaka, panie Łopotek? - wyrwał się niecierpliwie Perełka.

- Dobrzeście zagrali ten mecz, proszę ja kogo, ale u was same konusy, malcy. Gdybyście tak połączyli się z „Huraganem” i stworzyli jedną drużynę, to moglibyście daleko zajechać.

- To niemożliwe! - krzyknęli chłopcy niemal równocześnie. Pan Łopotek obruszył się.

- Jak to: niemożliwe?

- To niemożliwe - powtórzył z naciskiem Mandżaro. - Nie po to zakładaliśmy własną drużynę,

żeby się łączyć z tymi „Bazantami” z Okopowej.

- Hej, co słyszysz? - monter przymrużył jedno oko. - Zdaje wam się, że oni gorzej grają od was, proszę ja kogo? A widzieliście, jak drybluje ten elegancik w zamszakach? A widzieliście, jak zagrywa ten dryblas na środku ataku? Ja wam mówię, że gdyby znali taktykę piłkarską i grali z głową, to by wam wsunęli dziesięć do kółka albo i więcej.

- To się tylko panu tak zdaje - zaprotestował urażony Mandżaro. Łopotek złapał go za guzik od koszuli i przyciągnął do siebie.

- Ja, mój drogi, znam się na piłce nożnej. Dziewięć lat grałem w „Skrze” na lewym boku. Ty mnie, proszę ja kogo, nie będziesz uczył. Tak, jak powiedziałem, tak jest. O co ci chodzi? Jesteście wszyscy chłopcy z Woli? Jesteście. Czy Wola ma być ostatnia? Nie. No to co się namyślacie? Połączcie się, a zobaczycie, proszę ja kogo, że będziecie łać innych do kółka.

Mandżaro zamyślił się. Argumenty pana Łopotka wydały mu się przekonywające, ale sama myśl o połączeniu się z „Huraganem” wzbudzała w nim sprzeciw.

- Czy ja wiem? Może oni też nie zechcą... - powiedział wykrętnie.

- Pogadajcie z nimi. Powiedzcie im, że stworzycie razem silną drużynę, która będzie miała szansę dojść nawet do finału.

- Do finału? - Mandżaro z niedowierzaniem popatrzył na montera.

- Do finału, proszę ja kogo - podjął pan Łopotek. - Przecież macie kilku dobrych graczy.

Mandżaro uznał się za przekonanego. Dojść do finału turnieju „Życia Warszawy”, o którym pisze się w gazetach, zdobyć dla Woli sławę, to była naprawdę piękna myśl.

- No, dobrze - zająknął się, nie chcąc, by monter pomyślał, że tak łatwo dał się przekonać - ale co będzie, gdy koledzy się nie zgodzą?

- A od czego jesteś kapitanem drużyny? Przekonaj ich. Ja wam radzę, połączcie się. Nie będziecie żałować.

Chłopcy wracali od pana Łopotka pełni sprzecznych myśli. Żal im było wyrzekać się samodzielności, lecz nęciła ich możliwość dojścia do finału. Wrócili do Gołębnika, wdrapali się na piąte piętro i zaczęli rozpatrywać sprawę od początku.

Mandżaro wyjął swój kapitański notes, w którym notował skład swej drużyny, i listę członków klubu. Narysował jedenaście kółek, tak jak ustawieni byli gracze na boisku, i tłumaczył Perełce:

- To niezła myśl. Mielibyśmy naprawdę silną drużynę. Popatrz. Na bramce będziesz ty, to nie ulega wątpliwości. Obronę oni mają lepszą, damy więc Mielcika i Jędrzejczyka z „Huraganu”. Jako stoper zagra Krzyś. Nie jest znowu taki mocny, ale zawsze lepszy od ich stopera. Na prawej pomocy zagra Tadek Puchalski, a na lewej - Gienek Strojko z „Huraganu”. Atak będziemy mieli pierwszorzędnym. Spójrz, bracie: na lewym skrzydle oczywiście Paragon... - Mandżaro ugryzł się w język, bo przypomniał sobie wczorajszą kłótnię.

- He, Paragon - uśmiechnął się żałośnie Perełka. - Tak żeś postąpił z kolegą, jakby to był jakiś chuligan.

- Sam sobie winien - rzucił pośpiesznie Mandżaro, żeby jak najszybciej pozbyć się przykrego dlań tematu.

- He, to był gracz! - Perełka mlasnął językiem, jakby mówił o najulubieńszym przysmaku. - Takiego to już nie znajdziemy.

- Zdaje ci się - odparł chłodno Mandżaro. - Powiedział, że odda kasę, i dotąd się jeszcze nie zjawiał.

- Mówił mi, że ciotka zamknęła szafę i nie mógł wyjąć pieniędzy.

- On zawsze buja.

- Cóżes ty taki zawzięty? - obruszył się Perełka. - Paragon nic ci nie zrobił. To dobry kolega.

- Skompromitował całą drużynę.

- Ale piłkę przyniósł. Jak coś powie, to mur - bronił Manusia mały bramkarz, a w jego słowach

Mandżaro słyszał dużo serdeczności i przywiązania do sąsiada i kolegi z Gołębnika.

Ze złością przekreślił nazwisko Paragona, które przez nieuwagę zapisał w notesie.

- Co do ataku - powiedział głośno, chcąc skończyć tę rozmowę - to zamiast Paragona wystawimy na lewe skrzydło Skumbrię.

- Przecież on gra na środku - wtrącił nieśmiało Perełka.

- To nic nie szkodzi. Dobry gracz potrafi zagrać na każdej pozycji. Na środku zagram ja.

- Oczywiście! - Perełka uśmiechnął się kpiąco.

- Może ci się nie podoba?

- Nie, nie, tak tylko powiedziałem.

Mandżaro zmieszał się, poczerwieniał. Chcąc zatuszować niemiłe wrażenie rzucił pojednawczo:

- To wszystko jedno. Mogę też zagrać na skrzydle. A więc ja na lewym, na lewym łączniku Ignas, na środku Skumbria, na prawym łączniku Królewicz, na prawym skrzydle nasz Mietek Gralewski. No, jak ci się podoba taki atak?

- Niezły - powiedział bez przekonania Perełka - szkoda tylko, że nie ma Paragona.

Mandżaro długo się zastanawiał, zanim zdecydował się porozumieć z kapitanem „Huraganu” w sprawie połączenia obu drużyn. Po obiedzie posłał Perełkę na Okopową, żeby umówił spotkanie ze Skumbria. Mały bramkarz wrócił bardzo wzburzony.

- Z tego wszystkiego będą nici - mówił zdając sprawozdanie kapitanowi drużyny. - Oni, bracie, zadzierają nosa.

- Nieważne - przerwał mu Mandżaro. - Przyjdą na spotkanie, czy nie przyjdą?

- Przyjdą, ale...

- Ale co?

- Ale nie wiadomo, czy przyjdą. Mandżaro spojrzał uważnie na bramkarza.

- Ty, bracie, masz gorączkę? Perełka skrzywił się.

- Żebyś wiedział, jak oni ze mną gadali, to byś też powiedział, że nie wiadomo, czy przyjdą, ale powiedzieli, że przyjdą. O czwartej będą na Wolskiej, pod Pedeciakiem.

O trzeciej cała delegacja „Syrenki”: Mandżaro, Perełka i wielki znawca piłki nożnej Tadek Puchalski, stała przed głównym wejściem wielkiego Domu Towarowego. W milczeniu czekali na zjawienie się „huraganowców”. Po chwili na placu przed budynkiem ukazali się Skumbria i Królewicz. Szli wolnym krokiem, zadzierając głowy do góry i rozglądając się wokoło. W ich postaciach było wiele godności, tak jak przystało delegatom i kierownikom klubu.

Przywitali się chłodno i poważnie. Zaczął Królewicz swym znużonym głosem:

- Nie będziemy z wami gadać na ulicy. Chodźcie do „Stokrotki”. Takie sprawy warto załatwiać elegancko, przy lodach.

Chłopcom z Gołębnika wydłużyły się twarze. Nikt z nich nie miał w kieszeni ani miedziaka. Na spotkanie przyjechali na gapę, czepiając się po drodze tramwaju. Zaległa kłopotliwa cisza, którą przerwał dyplomatycznie Perełka:

- Tu nie chodzi o lody, tu chodzi o ważną rzecz. Królewicz uśmiechnął się kpiąco.

- Ja dzisiaj funduję. Zarobiłem kilka „papierków”. Stać mnie na to.

Po krótkim wahaniu weszli do pobliskiej cukierni. Zajęli stolik w ciemnym kącie małej salki. Królewicz zachowywał się jak stały bywalec. Rozsiadł się wygodnie, podciągnął nogawki nowych „farmerek” i skinął na przechodzącą kelnerkę.

- Pięć dużych, czekoladowych.

Kelnerka jednym spojrzeniem otaksowała całe towarzystwo. Widocznie wygląd obdartych i niezbyt czystych chłopców nie wzbudził w niej zbytniego zaufania, gdyż zawołała opryskliwie:

- Proszę płacić z góry!

- To ja płacę, pani szefowo - obruszył się Królewicz. Wyjął z kieszeni garść pięciozłotówek i gestem milionera rzucił zapłatę na marmurowy blat stolika.

- Skąd on ma tyle forsy? - szepnął Perełka. Mandżaro wzruszył ramionami, na znak, że te sprawy go nie obchodzą.

Skumbria chrząknął dwa razy.

- Zaczynamy - powiedział, siląc się na urzędowy ton.

Mandżaro wolnym ruchem wyciągnął z kieszeni notes, położył go na stole i spokojnie zaczął tłumaczyć, w jaki sposób należy przystąpić do połączenia obu drużyn. Używał przy tym tych samych argumentów, które rano wytoczył im pan Łopotek.

- Tu chodzi o wielką rzecz - zakończył. - Jeżeli chcemy dojść do finału, to musimy mieć silną drużynę. Wola musi wyjść z tego turnieju z honorem.

- Dobrze - odezwał się Skumbria, który z uwagą wysłuchał całego przemówienia - ale jakie są wasze warunki?

Mandżaro porozumiał się z kolegami krótkim spojrzeniem.

- Tu macie skład, jaki my proponujemy - podsunął Skumbrii swój notes, w którym obok kółeczek oznaczających poszczególne pozycje widniały wytypowane nazwiska.

Kapitan „Huraganu” przez chwilę studiował proponowany skład drużyny, po czym z niechęcią odsunął notes.

- Do kitu - orzekł krótko. - Weźmiemy od was Paragona, Perełkę i ciebie - pokazał na Mandżaro - i może jeszcze Paradowskiego. Reszta wysiadka. - Królewicz spojrzał spod swych długich rzęs i oblizując łyżeczkę z lodów, raczył przytaknąć głową.

- Szkoda gadać - wyrwał się Perełka. - A gdzie Krzyś, a gdzie Tadek?

- No właśnie - wtrącił Tadek Puchalski. - O mnie toście zapomnieli, co?

- Nasz Paweł jest lepszy - odezwał się Królewicz tonem nieznoszącym sprzeciwu i wyciągnąwszy nogi spojrzał na swe zamszowe półbuty.

- Lepszy ode mnie? - zerwał się Puchalski.

- Yhm - mruknął Królewicz.

- Dajcie spokój - starał się uspokoić ich Mandżaro - to ważna sprawa, a wy już się szarpiecie. Ja wam powiem tylko tyle, że na takie warunki nie możemy się zgodzić.

Skumbria zadzwonił łyżeczką w szklanke.

- - I my też nie. I jeszcze jedno, nowa drużyna musiałaby się nazywać „Huragan Mowy nie ma. Może „Halny Wiatr”? - zakpił Perełka.

- Albo „Trzęsienie Ziemi” - dorzucił Tadek Puchalski. Gdy tylko przekonał się, że „huraganowcy” nie chcą go wstawić do składu, stał się zajadłym wrogiem połączenia drużyn.

- Cicho, wiara! - syknął Królewicz. - Nie po to wam stawiałem lody, żebyście tutaj szurali. My

was o nic nie prosimy. Chcecie, to dobrze, nie - to nie. Ale nie strzępcie języków, bo inaczej będziemy z wami gadać.

Zapalczywy Perełka poderwał się z krzesła. Uczynił to tak gwałtownie, że czarka na lody, która przed nim stała, potoczyła się i rozprysła z hukiem na ziemi. Błada twarz bramkarza poczerwieniała, duże piegi pociemniały na czole, oczka zwięziły się w szparki.

- My nie potrzebujemy łaski! - zawołał piskliwie. - Chodź, Feluś, nie będziemy gadać z tymi oswojonymi „Bazantami”. Niech sami grają.

Mandżaro pragnął jeszcze ratować sytuację, w poczuciu odpowiedzialności za losy drużyny, ale Królewicz ożywił się, jakby się przebudził ze snu. Wyprostował swe gibkie ciało, błyskawicznym ruchem chwycił Perełkę za koszulę i jak piłkę przyciągnął go do siebie.

- Odszczekaj to, coś powiedział - zasyczał mu prosto w twarz.

- Bazant jesteś, chuligan! - parsknął Perełka jak kot.

Królewicz jednym gwałtownym uderzeniem pchnął małego bramkarza. Ten, jak kukiełka, przeleciał przez krzesło i plecami runął na blat marmurowego stołu, między niedokończone jeszcze lody. Szkło zadzwoniło jękliwie na twardym marmurze i z jazgotem potoczyło się na ziemię.

- A idziecie mi stąd, łobuzy jedne! - zawołała zrozpaczona kelnerka, łapiąc się za głowę. - Kto za szkło zapłaci?

Nikt jednak nie słuchał jej lamentów. Dźwięk tłukącego się szkła dał sygnał do ogólnej bójki. Tadek Puchalski i Mandżaro, widząc kolegę leżącego pod stołem, natarli na „huraganowców”. Mandżaro wczepił się w Skumbrię, Puchalski zaś, nie śmiąc wprost atakować zwinnego Królewicza, obtańcowywał go dookoła jak bokser na ringu.

Kelnerka wybiegła z kawiarni i wszczeła alarm.

- Ratunku! Ratunku! Chuligani się biją!

Nie upłynęła minuta, gdy w progu stanął wielki, zwalisty milicjant. Zatrzasnął szybko drzwi i rzucił się w kłębowisko szamocących się chłopców.

Pierwszy dojrzał go mały Perełka. Poznał w nim rejonowego sierżanta, którego na Woli nazywano „Baryła”. Czując respekt przed jego potężnymi barami i groźną, marsową miną, wsunął się pod stół i stamtąd obserwował pole walki.

Milicjant złapał za karki Puchalskiego i Królewicza, uniósł ich z podłogi, grzmotnął głową o głowę, żeby się opamiętali, i postawił naprzeciw siebie. Następnie to samo uczynił z Mandżaro i Skumbrią. Gdy chłopcy ochłonęli nieco, huknął na nich z góry:

- Spokój, łobuzeria, bo łby porozbijam!

- Sposobu na nich nie ma! - jęknęła za plecami przedstawiciela władzy kelnerka. - Kto mi za szkło zapłaci?

Milicjant uspokoił ją gestem.

- Niech się obywatelka nie denerwuje. Zaraz spisujemy protokół, a potem zaprowadzimy te ptaszki na komisariat. Tam sami zaśpiewają, kto będzie płacił.

Perełka słysząc, że sierżant mówi o protokole i komisariacie, zamarł na chwilę ze strachu, lecz wnet jego umysł zaczął pracować ze zdwojoną jasnością. „Trzeba jakoś się ulotnić” - pomyślał. Siedząc pod stołem, widział przed sobą pięć par nóg, które stanowiły jakby płot trudny do przebycia. Najostrożniej, jak mógł, odsunął się od szerokich rur milicyjnych spodni, zakończonych wielkimi, czarnymi buciorami, wyszukał lukę między podartymi spodniami Mandżaro a nowymi „farmerkami” Królewicza. Czekał na odpowiedni moment. Serce trzepotało mu w piersi, a w nosie wierciło od

nieszoności zapachu kurzu. Już miał kichnąć, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i w polu widzenia małego bramkarza ukazały się jakieś zgrabne damskie nogi.

- Proszę zamykać! - odezwał się szorstko głos milicjanta.

Perełka skorzystał z zamieszania. Dał nura między płataninę nóg, trzema skokami dopadł na wpół przymkniętych drzwi i za chwilę był na ulicy. Za sobą słyszał krzyk milicjanta: - Stój! Stój! - Ale nie obejrzał się, tylko sprintem przemierzył krótki odcinek ulicy, wpadł do jakiejś bramy, wbiegł na najwyższe piętro, i tam wkuliwszy się w najciemniejszy kąt, nadśluchiwał, czy ktoś go nie ściga. Mijały chwile pełne lęku i niepewności, na schodach było spokojnie. Tylko z ulicy dolatywał przytłumiony szmer odgłosów zwykłego ruchu. „Jestem uratowany - pomyślał i odsapnął z wielką ulgą. - Teraz trzeba gnać na Górczewską, zawiadomić chłopców o wysypie”.

W tym samym czasie Paragon jechał „27” w stronę Konwiktorskiej. Przepelniony o tej porze tramwaj toczył się ciężko wzdłuż rozpalonej, mgiełką kurzu i dymu zasnutej ulicy Leszno. Co jakiś czas przeraźliwie zgrzytały hamulce i cały przyczepny wóz dygotał na szynach. Ale do Maniusia nie docierały te ziemskie odgłosy. Siedząc na tylnym buforze, tak głęboko pogrążał się w myślach, że nie troszczył się o niewygodę podróży.

Głównym uczuciem ogarniającym w tej chwili lewoskrzydłowego „Syrenki” był strach. Gdyby nie kłótnia z Mandzaro, nigdy nie zdecydowałby się na ten nierozważny krok. Zdawało mu się, że jedzie prosto w paszczę lwa, a nie do znakomitego łącznika „Polonii” - Stefanka. Głównym powodem, który skłonił go do tej podróży, była mimo wszystko chęć powrotu do drużyny. Maniś bardzo żałował, że tak szybko pożegnał się z „Syrenką”, zwłaszcza, gdy obecnie, na wiadomość o wielkim turnieju „Życia Warszawy”, żyłka piłkarska wzięła górę nad żyłką włóczęgi. Chciał zostać dobrym piłkarzem, takim przynajmniej jak Stefanek.

Stefanek zabierając piłkę i odchodząc z nią z boiska, powiedział, żeby chłopcy zgłosili się po nią w poniedziałek o piątej. Czy był to podstęp, czy żart - tego nikt nie mógł wiedzieć. Dość, że ani jednemu z graczy nie przyszło do głowy narażać się na niebezpieczeństwo. Tylko Paragon postanowił zaryzykować.

„Głowy mi nie urwą - myślał. - Najwyżej usłyszę porządne kazanie i oberwę po karku”.

Kilka razy zbliżał się do bramy stadionu, ale zawsze zabrakło mu odwagi, aby ją przekroczyć. Wreszcie, gdy na zegarze przy przystanku tramwajowym zobaczył, że piąta już minęła, powiedział sobie głośno: - Raz kozie śmierć.

W bramie zatrzymał go dozorca.

- Idziesz ty stąd, łaziku jeden! To nie wiesz, że nie wolno tu wchodzić?

- Ja do pana Stefanka - uśmiechnął się Maniś.

- Nie wolno! Już raz dostałem za swoje, gdy piłka zginęła. Maniś przełknął ślinę, jeszcze raz się uśmiechnął do cerbera.

- Prezesie kochany, ja w sprawie urzędowej. Umówiłem się legalnie. Od naszej rozmowy zależy przyszłość polskiego piłkarstwa. Niech szanowny prezes się zapyta. O piątej miałem być u pana Wacka.

Dozorca, widząc rozbrajający uśmiech na twarzy chłopca, machnął z rezygnacją ręką.

- A idź, tylko pamiętaj: jakżeś zbujiał, to ci uszy oberwę!

Szanowanie... - Maniś poszedł w kierunku boiska treningowego. Tutaj dowiedział się, że trening już skończony, a gracze myją się właśnie w szatni. Chłopca opuściła odwaga. Zatrzymał się przed drzwiami szatni i poczuł, że cała jego wyprawa nie ma sensu. Stefanek nie będzie chciał z nim

rozmawiać. Gdyby przyszedł Mandżaro albo Perełka, to co innego. Ale on, sprawca całej awantury? Już miał się wycofać do bramy, gdy w drzwiach zobaczył Stefanka. Wyszedł świeży, wymyty. W ręku trzymał dużą sportową torbę z emblematem „Polonii”. Ubrany w jasne gabardynowe spodnie i sportową koszulę z wykładanym kołnierzykiem, wyglądał jak model piłkarza, uosobienie marzeń chłopców z Woli. Na widok Paragona uśmiechnął się.

- A gdzie reszta? Sam tu przyszedłeś?

Paragon stał chwilę jak niemowa. On, który słynał z ciętego języka, nie potrafił wydusić z siebie ani jednego słowa.

- Gdzie koledzy? - przerwał milczenie Stefanek.

- W domu... - wymamrotał chłopiec z trudem.

- Dlaczego nie przyszli?

- Ja nie wiem, ale tak mi się zdaje, że legalnie się bali.

- A ty?

- Ja?... Ja też się bałem.

Stefanek parsknął szczerym śmiechem. Ujął chłopca pod ramię i podprowadził do ławeczki stojącej obok boiska.

- Podobała mi się wasza gra - zaczął, gdy usiedli. - Ja też kiedyś grałem w takiej podwórzowej drużynie, tylko że nie pożyczalem sobie piłek - podkreślił z naciskiem.

Maniś oklapnął, jakby stracił już wszelką nadzieję. Oczekiwał, kiedy spadną nań gromy, ale zamiast łajania usłyszał wesoły głos Stefanka:

- I ty mi się podobałeś. Masz żyłkę do piłki. Masz talent, a to już wiele. Maniś z trudem przełknął ślinę.

- Ja... ja, proszę pana, chciałem przeprosić za tę piłkę. Jak ciocię Franię kocham, zrobiłem to dla kolegów, dla drużyny. Bez piłki to by w ogóle była kłapa.

Stefanek ostrzej spojrział na Maniusia.

- Ile masz lat?

- Czternaście... jeszcze nie skończyłem.

- Rodziców masz?

- Gdzie tam, proszę pana. W powstaniu zginęli.

- A kto się tobą opiekuje?

- Ciocia Franja, jeżeli tak można powiedzieć.

- A czym ona się zajmuje?

- W spółdzielni „Czystość” pracuje, na posługi chodzi, za godziny jej płacą, ale to deficytowe zajęcie.

- Do szkoły chodzisz?

Chodziłem, ale... - w tym miejscu Maniś potknął się. Stefanek zahaczyło niezbyt miły temat. W ogóle Maniusiowi nie podobało się to wypytywanie. Czuł się jak w komisariacie przed obliczem groźnego milicjanta. Cóż takiego piłkarza, sportowca, mogło obchodzić, kto się nim opiekuje i czy chodzi do szkoły? Może jeszcze zapyta, co jedzą na śniadanie i ile płacą miesięcznie za gaz? Chłopiec skrzywił się i nie patrząc na swego rozmówcę, dorzucił:

- Ja to najlepiej chciałbym grać w piłkę tak jak pan. - Chciał skierować rozmowę na inne tory, ale Stefanek był nieubłagany. Wlepił weń swe szare, przenikliwe oczy i jeszcze raz powtórzył:

- Więc do szkoły nie chodzisz?

- Nie chodzę...
- Dlaczego?
- Żebym to ja wiedział - odrzekł wykrętnie.
- A ile klas skończyłeś?
- Sześć.
- A teraz, co robisz?

Maniś rozdziawił jedynie usta i popatrzył na „polonistę” szeroko rozwartymi oczami.

- Obijasz się, co?
- Gdzie tam, panie Wacku. W inicjatywie prywatnej społecznie pracuję. Butelki sprzedaję, u pani Wawrzynek w owocowym interesie pomagam i czasem fryzjerski zakład sprzątam.

- A uczyć ci się nie chce?
- Nie kalkuluje się, panie Wacku.
- I na sześciu klasach chcesz skończyć?
- Do sprzedawania butelek takie wykształcenie wystarcza.
- Całe życie chcesz butelki sprzedawać?
- Jeżeli konsumpcja wzrośnie, to będzie niezły interes.
- Ach, tak... - „polonista” pokiwał głową.

Z własnego doświadczenia znał przeżycia młodego chłopca, pozbawionego rodziny, rzuconego w wir życia, pozostawionego własnej przedsiębiorczości. Poczul napływ wzruszenia, a jednocześnie coś zbliżyło go do malca, który w tej chwili grzebał nerwowo rozczłapanym trampkiem w żwirze ścieżki i spode łba spoglądał na niego.

- To znaczy - powiedział jakby do siebie - że nie chcesz zostać dobrym piłkarzem?

Maniś ocknął się z zamyślenia, zerwał się z ławki, odsunął z czoła czapkę.

- Jak ciocię Franję kocham, że chcę! - zawołał tak szczerze, że Stefanek roześmiał się.

- Dobry piłkarz nie tylko w nogach ma rozum, ale i w głowie. Kopać bezmyślnie piłkę potrafi nawet tresowana małpa. Do nowoczesnej gry w piłkę potrzebna jest inteligencja. Z sześcioma klasami nie zajdziesz daleko.

Maniś poskrobał się za uchem.

- Tak, tak - uśmiechnął się przyjaźnie Stefanek. - A teraz powiedz mi, bracie, kiedy macie następny mecz?

„No, nareszcie mówi do rzeczy” - pomyślał Maniś i z wdzięcznością spojrział na „polonistę”.

- My, proszę pana, chcemy zapisać się na ten turniej, co to w gazecie pisali. Ważna rzecz, panie Wacku, taka liga piłkarska dla nie zorganizowanej młodzieży.

- A trenujecie?

- Jeszcze jak! Pająk, to znaczy Poldek Piechowiak, dwadzieścia główek za jednym zamachem odbija, aż mu w oczach świeceki stają. Trening to dobra kondycja, a kondycja to pół wygranej - zakończył fachowo.

- No dobrze, a kiedy macie najbliższy trening?

W tej chwili Maniś przypomniał sobie, że nie jest już członkiem „Syrenki”, że Mandżaro wylał go za „zorganizowanie” piłki, ale nie chcąc się z tym zdradzić, skłamał bez zmrużenia powiek:

- W środę, o piątej, na naszym boisku.

- To powiedz chłopcom, że przyjdę. Zobaczą, jak trenujecie. A teraz poczekaj chwilę. Mam dla ciebie niespodziankę.

Maniuś został sam. Był tak zaskoczony nagłym i pomyślnym zwrotem tej przykryj rozmowy, że nie chciał uwierzyć słowom znakomitego piłkarza. Czy to możliwe, żeby najlepszy gracz „Polonii” chciał przypatrywać się ich treningowi? Żeby sławny Stefanek osobiście przyszedł na ich boisko? Paragon tarł z przejęciem czoło i zdawało mu się, że nagle coś zmieniło się na świecie. Przykry dzień minął bezpowrotnie. A gdy chłopiec ujrzał Stefanka z nowiutką piłką pod pachą, zbaraniał do reszty.

- Rozmawiałem z kierownikiem naszej sekcji - powiedział Stefanek zbliżając się do chłopca - opowiedziałem mu o waszym meczu, o wszystkim. Kierownik zgodził się pożyczyć wam piłkę, ale pod tym warunkiem, że będziecie ją szanowali i nie będziecie się bić na boisku...

- To się rozumie, panie Wacku! - zawołał chłopiec i pełnym zachwytu spojrzeniem ogarnął nową, piękną piłkę.

- Powtórz to kolegom, a w środę przyjdę do was zobaczyć, jak gracie. Gdy Maniuś został sam, długo nie mógł zrozumieć, co się stało. Zdawało mu się, że to wszystko, o czym przed chwilą usłyszał, to jakiś piękny sen. Dopiero, gdy rozejrzał się wokół, gdy zobaczył betonowy zrąb trybun, wejście do szatni, w której znikł Stefanek, i przyprószoną łagodnym światłem murawę treningowego boiska, podskoczył kilka razy, ucałował piłkę i pognął do bramy, żeby jak najszybciej podzielić się z kolegami radosną nowiną.

Zbliżając się do Gołębnika, z daleka zobaczył Perełkę.

„Dobra jest - pomyślał - z Bogusiem będzie można spokojnie pogadać”.

Ale gdy podszedł jeszcze bliżej, zauważył, że Perełka stoi tak przybity i smutny, jakby go spotkało jakieś wielkie nieszczęście. Mały bramkarz na widok Paragona wyciągnął ku niemu swe chude ręce.

- Człowieku - zawołał stłumionym głosem - okropna wsypa! Mandżaro i Tadek siedzą zamknięci na komisariacie. Wpadli razem ze Skumbrią i Królewiczem. Co robić? Zahorska już mnie pytała, gdzie Felek. Powiedziałem jej, że poszedł do Ignasia płoszyć gołębie. Ale co dalej? Mówię ci, koniec świata, beznadziejna sytuacja i w ogóle... - terkotał bez składu i ładu jak karabin maszynowy i tak był przejęty, że nawet nie spostrzegł piłki, którą Paragon podsunął mu pod sam nos.

- Wolnego, Perełka - Maniuś zahamował potok beładnych słów. - Mów wszystko legalnie, po kolei, bo ja nic z tego nie rozumiem.

Mały bramkarz nabrał w piersi sporą porcję powietrza i zaczął opowiadanie od początku, ale jeszcze bardziej chaotycznie. Maniuś przerwał mu w połowie:

- Formalnie o co chodzi?

- O to chodzi, że siedzą w pace.

- Chcieli się połączyć ze Skumbrią, to się połączyli - stwierdził poważnie Paragon. - A ja tymczasem piłkę dostałem i zorganizowałem trenera dla naszego klubu. No, co się gapisz! Jak ci się to podoba?

Perełka spojrział na niego z wyrzutem.

- Tu koledzy siedzą w pace, a ty opowiadasz głodne kawałki. Trzeba ich ratować, rozumiesz?

- Rozumiem, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić. Perełka popatrzył na niego błagalnie.

- Człowieku, wykombinuj coś, ty przecież zawsze masz jakieś pomysły.

- Pomysły są dobre na butelki, na tłok w Pedeciaku i inne instytucje, ale na władzę ludową to ja pomysłów nie znam. Zresztą powiem ci legalnie: Mandżaro za dużo szurał, a teraz ja mam go ratować?

- Miał rację, po coś tę piłkę podiwaniał?

- Po to, żeby ją z powrotem legalnie zorganizować.

- Takiś kolega - jęknął bliski płaczu Perełka. - Gdybyś ty był na ich miejscu, to Mandżaro na pewno coś by wykombinował. Pomyśl, człowieku, co to będzie, jak się dowiedzą, że kapitan „Syrenki” siedzi na komisariacie.

Paragon swoim zwyczajem nasunął czapkę na czoło, potem na tył głowy, i po-skrobał się za uchem.

- Trudna sprawa - powiedział jakby do siebie - ale to poważna wsypa, trzeba coś wykombinować! - To rzekłszy zamyślił się głęboko, a Perełka pytającymi oczami wodził po jego zadumanej twarzy, jak gdyby chciał śledzić tok jego myśli. Naraz Paragon odbił piłkę o ziemię i świsnął przez zaciśnięte zęby.

- Już mam, bracie. Tu nie ma żadnych kombinacji, tu trzeba iść na komisariat i wyreklamować cały zarząd z kapitanem na czele, rozumiesz?

Perełka wybałuszył na niego oczy.

- A kto ma iść?

Maniś wskazał na siebie palcem.

- Ja, we własnej osobie. A jak mnie zamkną, to powiedz ferajnie, że w środę Opiątej jest trening, na który przyjdzie... no zgadnij kto? Nie zgadniesz. Sam Stefanek, najlepszy gracz „Polonii” przyjdzie i będzie nas trenował. A teraz chodź ze mną, poczekasz pod komisariatem i potrzywasz piłkę.

Ruszyli różnym krokiem. W miarę zbliżania się do komisariatu opuszczała ich odwaga, szli coraz wolniej, jakby podeszwy mieli nasmarowane klejem. Perełka patrząc niepewnie na kolegę zagadnął:

- Nic lepszego nie mogłeś wykombinować? Paragon westchnął ciężko.

Na rogu zatrzymali się na chwilę. Maniś doznał takiego uczucia, jakby nogi wrastały mu w chodnik. Ale nie wypadało się cofać.

- Trzymaj się, Paragon! - szepnął Perełka.

- Bądź spokojny - Maniś gwizdnął przez zęby i ruszył krokiem, który wcale nie świadczył o tym, że idzie bez obawy.

Gdy znalazł się w ciemnej sieni, przeżegnał się szybko na wszelki wypadek. Pchnął drzwi, wszedł do obszernej sali, przedzielonej pośrodku drewnianą balustradą, za którą przy stole siedział dyżurny milicjant. Przelknąwszy z trudem ślinę łoponowawszy drżenie nóg, zbliżył się na palcach do dyżurnego.

- Szanowanie... - pstryknął w daszek czapki. Dyżurny uniósł wzrok znad rozłożonych papierów.

- Czego chcesz? - zapytał oschle.

- Ja, za pozwoleniem, do pana sierżanta Nogajskiego, tego, co jest rejonowym...

Milicjant przyjrzał mu się nieufnie.

- W jakiej sprawie?

- W ważnej, panie poruczniku.

Dyżurny nie mógł powstrzymać uśmiechu cisnącego się na usta.

- Ja plutonowy, a nie porucznik - sprostował.

- To nie szkodzi, następny awans i będzie gwiazdka, panie plutonowy - skwitował chłopiec.

Tym razem dyżurny roześmiał się głośno i już łaskawszym okiem spojrzał na Paragona.

- O obywatela sierżanta ci chodzi, o Nogajskiego?

- Tak jest, panie plutonowy!

Dyżurny uniósł słuchawkę i nakręcił numer na tarczy.

- Jak się nazywasz? - zapytał, czekając na połączenie.

- Marian Tkaczyk, ale niech pan powie, że tu czeka Paragon, tak będzie lepiej.

Gdy dyżurny odłożył słuchawkę, zwrócił się do Manusia:

- Poczekaj chwilę, zaraz tu będzie.

- Nie mówiłem? - wtrącił chłopiec z dumą. - Paragona tu znają...

Są rozmaite chwile, ale ta trwała chyba z pół godziny. Maniusiowi zdawało się, że to najdłuższa chwila w jego życiu. Ogarniało go zwątpienie. Czy warto czekać na Baryłę? Przecież i tak nic nie wskóra. Lepiej ulotnić się z komisariatu i powiedzieć Perełce, że nie chcieli z nim rozmawiać. A może jednak poczekać? Nic mu tutaj nie grozi. Przecież to nie on wywracał w „Stokrotce” stoliki, tłukł szkło i wywołał tak zwane zakłócenie spokoju publicznego. A jednak Baryle mogą się przypomnieć rozmaite dawne sprawy, jak na przykład wybicie szyby w sklepie WSS na Oboźnej albo wywrócenie straganu z owocami przy kinie „W-Z”. To wprawdzie było dawno, na wiosnę, i do tej pory mali chuligani przysporzyli niejednego nowego kłopotu przedstawicielowi ludowej władzy, ale lepiej nie pokazywać się rejonowemu na oczy.

Tak rozmyślając, Maniś popadł w nastrój nerwowego podniecenia i wzmagającej się niepewności. Z tego nastroju wyrwała go potężna postać sierżanta wtaczającego się z hukiem i z sapaniem przez oszklone drzwi. Maniś poderwał się, stanął na baczność i zdarł czapkę z głowy.

- Obywatelu sierżancie - zaczął chrząkając dla dodania sobie odwagi. - Ja tu w imieniu zespołu, czyli „Syrenki”. Mamy zaszczyt zaprosić szanownego pana obywatela na mecz, który odbędzie się w niedzielę o godzinie piątej na naszym boisku. - Skąd mu nagle wpadł ten pomysł, skąd wziął się mecz, o którym nawet wróble na Lesznie nie ćwierkały, tego nie wiedział. Widocznie pomysły rodzą się w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Tym razem sprawił on na przedstawicielu władzy dość duże wrażenie, obywatel sierżant Nogajski sam niegdyś grywał w piłkę nożną, a obecnie był zapalonym kibicem warszawskiej „Gwardii”.

- Ech, wy drapichrusty jedne - huknął sierżant, łypiąc zabawnie małymi, niebieskimi oczkami - znowu jakąś większą awanturę wywołacie. Ja już znam się na waszych meczach. - Po tym wstępie, niezwiastującym nic dobrego, dodał jednak z zaciekawieniem: - A z kim gracie w niedzielę?

- Z „Huraganem”, panie sierżancie. Mecz rewanżowy. Ostatnio zremisowaliśmy z nimi 2:2.

Sierżant spoglądając na plutonowego, który przysłuchiwał się rozmowie, zrozumiał, że jego powaga została narażona na szwank. Poprawił więc pas, przybrał urzędową minę i znowu huknął:

- To po toś mnie tu ściągał i głowę zawracał? Maniś uśmiechnął się chytrze.

- Znam dobrze zamiłowania pana sierżanta, więc chciałem legalnie zawiadomić. Mecz będzie na sto dwa. Sensacja pierwszej klasy...

- No to przyjdę, jeżeli będę miał czas - przerwał mu rejonowy.

Maniś przygasł nagle i tak posmutniał, że sierżant zdziwił się, patrząc na niego.

- No tak - wybełkotał chłopiec - ale nie wiadomo, czy ten mecz się odbędzie.

- Dlaczego nie wiadomo?

- To wszystko od szanownego obywatela pana sierżanta zależy.

- Ode mnie? - milicjant wybałuszył oczy.

- Legalnie od pana sierżanta, bo nam pan sierżant osłabił drużynę.

W tej chwili sierżant Nogajski pojął całą grę Paragona. Przypomniał sobie czterech chłopców, którzy siedzieli teraz zamknięci za awanturę w „Stokrotce”. Złapał Manusia za ramię i potrząsnął nim jak grzechotką.

- Nie wypuszczę ich, gagatku, zanim tu rodzina nie przyjdzie. Nie mam litości dla chuliganów.

- To najlepsi gracze - wtrącił nieśmiało Maniś.

To łobuzy, awanturnicy! - grzmiał przedstawiciel władzy. - Nie chcę Onich słyszeć!

Maniś pociągnął głośno nosem, skrzywił się, jakby za chwilę miał zapłakać.

- To znaczy, że w niedzielę meczu nie będzie.

- Nie będzie! - sierżant walnął pięścią w balustradę.

- To znaczy, że panu sierżantowi nie zależy...

- Nie zależy! - rozległo się drugie walnięcie.

- To znaczy, że z piłką nożną na Woli zupełna kłapa.

Rejonowy miał na języku słowa „zupełna kłapa”, ale połknął je z powrotem. I pełen zdziwienia zapytał:

- Dlaczego kłapa?

- Bo władza ludowa nie dba o rozwój sportu. Widząc, że rejonowy mięknie, zagrał pokrzywdzonego.

- Kłapa na całej linii. Drużyna się rozleci. Chłopcy zamiast grać w piłkę będą włóczyć się po ulicach. Imprez sportowych nie będzie. W ogóle katastrofa. Panie sierżancie... Ostatni raz... Niech ich pan wypuści. Za Zahorskiego i Puchalskie-go ręczę własnym honorem. Jak pan nie wierzy, to niech się pan zapyta Wacka Stefanka, tego z „Polonii”, on się nami opiekuje.

Nazwisko najlepszego gracza „Polonii” wywarło na rejonowym wrażenie. Po chwili namysłu rzekł:

- Tych dwóch zwolnię, ale dam znać o nich do komitetu blokowego, a po tamtych niech się zgłoszą rodzice.

- Nasi są niewinni, oni nie zaczęli! - zawołał Paragon nie mogąc opanować radości. Gdyby mógł, rzuciłby się przedstawicielowi władzy na szyję.

Stojący na rogu Perełka stracił już nadzieję ujrzenia Paragona. Był pewny, że i jego zatrzymali w komisariacie. Już zamierzał odejść do domu, gdy w bramie zobaczył trzech chłopców. Oniemiał na chwilę z radości, potem pędem rzucił się na spotkanie.

- No jak, udało się? Maniś przymrużył oko.

- Legalnie, bracie. Jak Paragon coś powie, to mur.

Perełka spojrział na dwóch pozostałych, na których widać było oznaki ostatnich przejść. Byli bladzi, zdenerwowani. Tadek Puchalski miał po walce ze Skumbrią podbite oko, Mandżaro zaś zadrapane czoło. Tylko oczy błyszczały im radośnie. Cieszyli się, że zajście w „Stokrotce” skończyło się tak szczęśliwie.

Perełka podszedł do Mandżaro, z całej siły klepnął go w ramię.

- Człowieku, ale mieliście szczęście! A mówiłem ci, że Paragon to morowy kolega.

Mandżaro uśmiechnął się jakoś niemrawo. Nie odparł ani słowa, tylko ujął rękę Paragona i uścisnął ją niezgrabnie.

Tak więc sprawa połączenia „Syrenki” z „Huraganem” zakończyła się niefortunnie.

Wbrew teoriom pana Łopotka i pragnieniom Mandżaro większość członków „Syrenki” cieszyła się z tego rozwiązania. „Sami damy sobie radę” - myśleli. Połączenie z „Huraganem” nie wróżyło nic dobrego, mogło jedynie przysporzyć kłopotów i waśni.

We wtorek rano, na naradzie całej drużyny, wybrano delegację, która miała pojechać na Marszałkowską do redakcji „Życia Warszawy”. W skład delegacji weszli: Mandżaro, Paragon i

Krzyś Słonecki. Tadek Puchalski znowu obraził się, że jego - znakomitego znawcę piłki nożnej - pominięto, chłopcy jednak wytłumaczyli mu, że wszyscy do redakcji nie mogą pojechać.

Za piętnaście piąta byli już przed wejściem do gmachu „Życia Warszawy”. Na dole zatrzymał ich portier.

- Wy dokąd? - zapytał patrząc podejrzliwie na wytarte spodnie Maniusia i wystrzępioną na łokciach koszulę Mandżaro.

- Szanowanie! - przywitał uprzejmy i uśmiechnięty jak zawsze Paragon. - My w sprawie sportowej... Chcemy zapisać się do turnieju.

- Drugie piętro, pokój dwadzieścia trzy - poinformował ich portier. Chłopcy wbiegli na drugie piętro i stanęli zdumieni. W szerokim korytarzu wrzało i kłębiło się jak przed bramami stadionu podczas międzynarodowego spotkania.

- Mówiłem wam, żebyście się spieszyli - denerwował się Krzyś Słonecki. Paragon podrapał się za uchem.

- Leżymy, wiara! Większa kolejka niż po rąbanek na Wolskiej. Trzeba się dowiedzieć, czy numerków nie dają. - Nasunął czapkę na oczy, podciągnął opadające spodnie i torując sobie łokciem drogę, dał nura w kłębiącą się ciżbę.

- Nie puszczać go! - odezwały się groźne okrzyki.

- Stój w kolejce, bo po uszach dostaniesz! - ostrzegł go rosły chłopak w pływackim czepku na głowie.

Maniś uśmiechnął się do wszystkich przyjaźnie i filuternie.

- Spokój, wiara, ja tylko po informację i poradę.

- Nie puścić go! - wrzasnął ktoś na końcu korytarza. Ale Paragon był już blisko upragnionych drzwi. Za matową szybą, na której widniał napis „Dział Sportowy” poruszały się cienie. Tuż obok siebie zobaczył obojętną na wszystko twarz Królewicza i szerokie bary Skumbrii.

- Cześć! - przywitał ich kpiącym uśmieszkiem. - Jak tam po urlopie?

Królewicz skrzywił się. Niedostrzegalnym ruchem uniósł ramiona, by zaznaczyć swój niezachwiany spokój wobec zajść, które go spotkały. Skumbria drasnął Paragona pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Wy też? - rzucił drwiąco.

- My też - zaśmiał mu się w oczy.

- Nie zapiszą takich konusów - mruknął Królewicz do Skumbrii. Ten roześmiał się.

- Przydadzą się, będą nam piłkę podawali.

- Jak będziecie ją wyciągać z bramki - dociął mu Maniś i zachichotał wesoło. Zawtórowało mu kilku wyrostków. Spodobała im się roześmiana gęba Maniusia, jego mądre oczy i cięty język.

- Ty skąd, z jakiej drużyny? - zapytał wysoki dryblas trącając go łokciem.

- Ja z Woli, z Górczewskiej. Klub nasz nazywa się „Syrenka”. Zapamiętaj sobie, będziesz jeszcze nieraz o nim słyszał.

- A ja z Żoliborza. Mamy silną pakę - pochwalił się dryblas.

Maniś nie chciał pozostać mu dłużny. Zrobił ważną minę i rzucił mimochodem:

- U nas też wiara zgrana. Mamy dobrego trenera...W oczach dryblasa zapalił się błysk zainteresowania.

- Kogo?

- Stefanka, Wacka Stefanka...

- Tego z „Polonii”? Niemożliwe! - zawołał dryblas i spojrział na Maniusia z respektem.

- Buja - wtrącił Skumbria. - Stefanek nie ma nic do roboty, tylko konusów trenować.

Maniś przymrużył swe kocie oczy.

- Nie wierzysz, to przyjdź w środę o piątej na boisko. Przekonasz się.

- Buja - powtórzył Skumbria. - Podiwaniał mu piłkę, a teraz zrobił z niego trenera.

Maniś zachnął się, jakby chciał zabierać się do bójk. Denerwowało go, że Skumbria wtrąca się do rozmowy, a jednocześnie czuł, że przesadził, mówiąc o trenerze. Wprawdzie Stefanek zapowiedział, że przyjdzie na boisko, ale o tym, że chce ich trenować, nie wspomniał ani słowem. To on awansował go w własnej wyobraźni na trenera „Syrenki”. Trudno, trzeba było podjąć rzuconą rękawicę.

- Co ty możesz wiedzieć - zawołał do Skumbrii - jakżeś dwa dni siedział w mamrze, Stefanek dał nam piłkę i powiedział, że będzie naszym trenerem.

- I tak wam nic nie pomoże - uśmiechnął się drwiąco Królewicz. Maniś miał już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale drzwi z matowym szkłem otwarły się szeroko, a w progu stanął wysoki, barczysty mężczyzna.

- Pięciu następnych! - zawołał. Jego silny głos przedarł się przez gwar. Za chwilę przed drzwiami zakotłowało się tak, że ani jeden z chłopców nie mógł wcisnąć się do środka.

- Powoli, chłopcy, powoli! - uspokajał ich stojący w drzwiach łysawy dziennikarz. - Nie pchajcie się, bo wstrzymamy zapisy. Proszę wchodzić po kolei.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że groźby i prośby dziennikarza poskutkowały. Rozkrzyczana zgraja ławą garnęła się do zatarasowanych drzwi. Temperamenty młodocianych piłkarzy zagórowały nad rozsądkiem. Powstało zamieszanie godne najbardziej gorących sytuacji podbramkowych z meczów na przedmieściach Warszawy. Gdyby nie trzeźwy umysł i spokój dziennikarza, tabun adeptów sztuki piłkarskiej rozniósłby korytarz z taflami oszklonych drzwi.

Redaktor Chudyński zagroził swą rozłożystą postacią wejście do pokoju, a z kotłowaniny wydarł pięciu rozwrzeszczanych chłopców. Wśród nich znalazł się również Paragon. Cieszył się, że udało mu się tak szybko wdrzeć za drzwi z matowymi szybami, ale jednocześnie z przerażeniem spoglądał za siebie, szukając reszty delegacji. Wkrótce jednak uspokoił się. „Czy jestem analfabetą żebym nie umiał zapisać drużyny do turnieju?” - pomyślał i mnąc czapkę w spoconych dłoniach czekał na swoją kolej.

Gdy stanął przed szerokim, gładko wygolonym obliczem redaktora Chudyńskiego, strzelił przepisowo obcasami, chrząknął dwa razy i uśmiechnąwszy się po swojemu - grzecznie i łobuzersko - wyrecytował:

- My, panie szefie, z Woli, z Górczewskiej. Chcielibyśmy... legalnie... do tego turnieju „dzikich”. Ale my wcale nie dzicy... założyliśmy drużynę, która nazywa się „Syrenka”.

Redaktor, lekko uniósłszy krzaczaste brwi, przyjrzał mu się uważnie.

- A ile ty masz lat, przyjacielu? - zagadnął.

- Ja?... - zająknął się. - Czternaście z hakiem. - To z „hakiem” miało świadczyć o jego dojrzałości.

Redaktor uśmiechnął się łagodnie.

- A twoi koledzy?

- Koledzy?... Koledzy leguralnie starsi - skłamał, wyczuwając, że w pytaniach redaktora kryje się jakieś niebezpieczeństwo.

Dziennikarz odsunął się, by mieć lepszą perspektywę, i jeszcze raz przyjrzał się uważnie chłopcu.

- Coś mi się wydaje, że czternastu lat to ty nie masz. A my poniżej czternastu nie dopuszczamy do turnieju.

- Ja nie mam czternastu lat! - Maniś udawał oburzenie. - Żeby tak za każdy dzień ponad czternaście złotych dostał - walnął się z całej siły w piersi.

- To pokaż legitymację szkolną.

Maniś zmarkotniał, ale nie chcąc pokazać zmieszania, jeszcze raz walnął się w piersi, aż zadudniło.

- Jak ciocię Franię kocham, że czternaście skończyłem. A jak pan redaktor nie wierzy, to proszę się cioci Frani zapytać.

- Pokaż legitymację, to się przekonamy - dziennikarz wyciągnął rękę, patrzył na chłopca z przekornym uśmiechem na szerokiej, smagłej twarzy.

- Ja do szkoły nie chodzę, a innych dowodów przy sobie nie mam - chłopiec odsunął się od wyciągniętej ręki.

- Żal mi cię, przyjacielu, ale niestety nie mogę was zapisać. Za młody jesteś. Maniś miał uczucie, jakby mu ktoś podciął nogi. Zawirowało mu wszystko w oczach. Łzy cisnęły się do gardła.

- Panie redaktorze - zawołał - jak mnie pan nie zapisze, to mnie z drużyny wyleją! Chłopcy tylko o tym turnieju mówią. Trenują, starają się, a tu szanowny pan redaktor przyszłość nam przekreśla.

Z ust dziennikarza znikł przekorny uśmieszek. W oczach ukazało się zainteresowanie.

- Graliście już jakiś mecz?

- To się wie, panie redaktorze. W niedzielę zremisowaliśmy z „Huraganem”. U nas zgrana paka, kopać chłopaki umieją i do gry zacięcie mają. Ale jak się dowiedzą, że do turnieju ich nie dopuścili, to kłapa. Klub się rozleci, gracze do innych drużyn przejdą, na Woli zamiast w piłkę nożną w palanta albo w klasy zaczną grać. W ogóle żałobna perspektywa... czyli pogrzeb życia sportowego.

Dziennikarz roześmiał się głośno.

- Ho, ho, gdybyś tak grał, jak umiesz się bronić, to dobrze by było.

- Niech pan redaktor przyjdzie w środę o piątej na trening, to się pan redaktor przekona, że to nie propaganda, tylko fakt - podchwycił Maniś widząc, że sprawa jeszcze nieprzeigrana. Chciał dodać, że trenuje ich sam Stefanek, najlepszy gracz „Polonii”, ale ugryzł się w język.

W tym wypadku nie wolno było ryzykować.

Dziennikarz długą chwilę tarł gładko wygolony policzek, wreszcie machnął ręką.

- No dobrze. Jak się nazywa ta wasza drużyna?

- „Syrenka”, panie redaktorze.

Dziennikarz wciągnął drużynę na listę turniejową, zanotował adres boiska, a na pożegnanie dorzucił:

- Zajrzę do was, ale jak się przekonam, że to wszystko bujda, to skreślę was bez pardonu.

- Bez pardonu! - zawołał uradowany Maniś, szurnał z gracją rozczłapanymi trampkami i jak pocisk wyleciał z pokoju.

Pod drzwiami czekali już Mandżaro i Krzyś. Z ich niezadowolonych min widać było, że są obrażeni na kolegę.

- No i co? - złapał go pierwszy Mandżaro. Maniś mrugnął wesołym oczkiem.

- W porządku... Alem się spocił.

- Dlaczegoś na nas nie poczekał? Maniś wzruszył ramionami.

- Dziękuj Bogu, żeś tam nie był. Ale się spocił - powtórzył i kilka razy odetchnął. - Redaktor nie chciał nas zapisać. Mówił, żeśmy za młodzi.

- I co? - wtrącił Krzyś. Maniuś trącił go w ramię.

- Nie znasz Paragona. Po zmartwieniu, legalnie załatwione. Jeszczem wam propagandę zorganizował.

Dwaj chłopcy spojrzeli najpierw na Paragona, potem na siebie.

- Propagandę?... Co ty gadasz?

- No tak, redaktor przychodzi w środę na trening. Pewno coś o nas napisze.

ROZDZIAŁ IV

Królewicz skręcił w rozwaloną bramę, przeszedł przez ciemne, zaśmieczone podwórze, zatrzymał się przy wejściu do oficyn. W zakamarkach ruin krył się stęchły mrok. Tylko szczyby pokruszonych murów jarzyły się jeszcze bladym blaskiem zachodzącego słońca. Chłopiec wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił. Po pierwszym zaciągnięciu się zakaszłał sucho, ale wnet się przemógł i mimo że dym gryzł go i dławił, nie odrzucił papierosa.

Po chwili włożył w usta dwa palce i głośno zagwizdał.

W ciemnym wejściu odezwał się głos:

- To ty, Julek?

- Ja! - odkrzyknął Królewicz. - Spiesz się, bo się spóźnimy.

Czekając na Skumbrię, wodził apatycznym wzrokiem po ruinach. „I tutaj jeszcze ludzie mieszkają - pomyślał patrząc na mdłe światło przebijające się przez zakurzone okienko suterenu. - Jak szczury”. - Splunął z obrzydzeniem.

Z ciemnego wylotu bramy odezwał się głos inny, suchy, zniecierpliwiony:

- Czego go wyciągasz, ty włóczykiju! Znowu was milicja przymknie. Dzisiaj znowu był sierżant. Pytał, jak się sprawujecie.

Królewicz poznał głos matki Skumbrii. Odruchowo schował papierosa za siebie i cofnął się o krok. Nic nie odpowiedział.

- Mama da spokój - odezwał się z głębi wylotu Skumbria. - Nie widzi mama, że załatwiamy interes.

- Wy tak zawsze... zawsze - kobieta podniosła głos. - Jeszczeście na to za młodzi, żeby po nocach się włóczyć.

- Zaraz wrócę - uspokajał ją Skumbria.

- Znalazłeś sobie odpowiednie towarzystwo - jazgotała nadal - samych chuliganów, łobuzów, włóczykijów!

- Nie tak ostro, pani Pakorska - rzucił niemal spokojnie Królewicz.

- Ty smarku, nie odzywaj się. Cicho siedź, jak starszy do ciebie mówi. Jakie to przemądrzałe!

Z sieni wyłonił się Skumbria.

- Chodź, bo nas jeszcze zatrzyma - szepnął i mrugnął porozumiewawczo. Ścigał ich piskliwy głos:

- Pamiętaj, Rysiek, wracaj wcześniej, bo ci lanie sprawię. Gdy wyszli na ulicę, Skumbria przystanął.

- Codziennie te same hece - powiedział z rozzaleniem. - Odkąd ten Baryła tu był, matka nie daje mi spokoju.

- Przejmujesz się? - uśmiechnął się cierpko Królewicz.

- Ale skąd! Tylko obrzydło mi to wszystko - chwycił Królewicza za rękaw. - Powiedz, byłeś tam?

- Byłem!

- I co?

Królewicz machnął ręką.

- Leżymy, bracie.

- Jak to: leżymy?

- Normalnie. Paragon wcale nie bujał. Idę ja na boisko, patrzę, a tam Stefanek z nimi trenuje.

Ustawili się w koło i jeden drugiemu gałę podaje jak na Konwiktorskiej, żebyśmy skonał... - splunął, wyciągnął papierosy. - Pal, to „amerykany”, od brata dostałem.

Skumbria wyciągnął rękę, ale cofnął ją natychmiast.

- Stefanek, mówisz?

- Jakbyś zgadł.

- Skąd go wytrzasnęli? Królewicz wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? Paragon chwali się, że to on go zorganizował. Palisz? - jeszcze raz podsunął paczkę „chesterfieldów”.

- Nie. Prawdziwy gracz nie pali. Królewicz uśmiechnął się kpiąco.

- I co będzie? - zapytał nagle Skumbria.

- Jeżeli nie wykombinujemy jakiegoś trenera, to nam wleją jak złoto.

Chwilę szli w milczeniu. Zatrzymali się przed jasno oświetloną wystawą lokalu III kategorii „Pod Śledzikiem”. Za zakurzoną szybą w rozplywającej się galarecie tkwiło kilka kawałków faszerowanej ryby - reklama podmiejskiej knajpy.

- Romek czeka na nas z szefem - szepnął Królewicz. Skumbria zawahał się.

- Może ja tu zaczekam. Królewicz pociągnął go za sobą.

- Chodź! Czego się boisz?

Minęli pierwszą izbę przepelnioną tłoczącymi się przy bufecie mężczyznami, połyskującą rzędami ustawionych na półkach butelek. Owionął ich gorzkawy zapach piwa i ostra woń potu. Gdy przeszli za welwetową kotarę, znaleźli się w obszernej sali zastawionej stolikami. W kącie zobaczyli czarną, na jeża przyciętą czuprynę starszego Wawrzusiaka. Siedział z roslym, barczystym mężczyzną o czerwonej i lśniacej od potu twarzy.

- Jesteś - przywitał Julka starszy brat. - Siadajcie, chłopaki.

- My tylko na chwilę... - zająknął się Skumbria, rozglądając się dokoła. Nieswojo czuł się w lokalu, w którym przebywali przeważnie starsi, i do tego dobrze podchmieleni mężczyźni.

- Siadaj, Skumbria - starszy Wawrzusiak walnął go mocno w plecy i siłą posadził na wolnym krześle.

- Nie bój się. Jesteście pod opieką. Nic wam nie grozi.

Siedzący naprzeciw mężczyzna, którego Królewicz nazwał przedtem szefem, uśmiechnął się do Skumbrii mętnymi już oczyma.

- To kapitan waszej drużyny? - zapytał Królewicza.

- Tak - odrzekł chłopiec krótko.

- Pani Stasiu! - zawołał szef na przechodzącą obok kelnerkę. - Dwie słodkie wiśniówki dla młodych obywateli.

Skumbria popatrzył ze zdumieniem na Królewicza.

- Ja nie piję teraz... - wykrztusił cicho.

- Prawdziwy sportowiec - zaśmiał się szef. - No, to napij się ciemnego piwa. Piwo słodowe mogą pić nawet oseski. Pani Stasiu, dwa duże ciemne.

- Cóż macie takie smętne miny? - zwrócił się do nich Romek Wawrzusiak. Język już mu się plątał i głowa kiwała na zgrabnej, ogorzałej szyi. Po wypróżnionej półlitrowce, która stała wśród odpadków jedzenia i kieliszków, można było wywnioskować, że kolacja trwała już dość długo.

- My? - skrzywił się Królewicz mrużąc swe ładne oczy.

- Mamy zmartwienie - podjął Skumbria.

- No, co takiego? - zaciekawiał się Wawrzusiak.

- Leżymy z tym turniejem - powiedział spokojnie Królewicz. - Te konusy z Gołębnika mają prawdziwego trenera. Stefanka z „Polonii”.

- Stefanka? Tego łącznika z pierwszej drużyny? - zapytał szef, a jego mętne oczy spojrzały jakby trzeźwiej.

Uniósł do góry dłoń i walnął w stół, aż kieliszki podskoczyły.

- Wy też będziecie mieli! - zawołał zachrypniętym głosem. Okrzyk był tak gwałtowny, że ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach popatrzyli na nich. Ale szef, nie zwracając na nic uwagi, krzychał:

- Nie pozwolę, żeby moi chłopcy z Okopowej byli gorsi od tych „Gołębiarzy”. Będziecie mieli trenera, żebym skonał. Będziecie mieli wszystko. Kupię wam buty, kostiumy, piłkę, getry. Stać mnie na to. Niech moi chłopcy wyglądają jak prawdziwa drużyna. Pani Stasiu, jeszcze pół litra na to konto - huknął w stronę kelnerki, która właśnie zbliżała się z dwoma kuflami pieniącego się piwa.

Skumbria skulił się na myśl, że szef każe im pić na konto swego nieoczekiwanego pomysłu. Byłby nawet gotów ponieść tę ofiarę, gdyż pomysł wydawał mu się cudowny. Przed „Huraganem” otwierały się nagle wspaniałe perspektywy: będą mieli nową piłkę, nowe kostiumy, nowe futbolówki. O tym nie śniło mu się nawet w najskrytszych marzeniach. Odetchnął z ulgą, gdy korpulentna kelnerka naląła wódkę tylko do dwóch opróżnionych kieliszków. Spojrzał na Królewicza, który siedział niewzruszony.

- A trener? - zapytał nagle Królewicz, jakby obudził się z drzemki.

- Trener też będzie! - ryknął szef i jeszcze raz plasnął dłonią w mokrą ceratę.

- Kto?

- Łobodowicz - szef wybałuszył oczy w oczekiwaniu na wrażenie, jakie to nazwisko miało wywrzeć na młodych piłkarzach.

Ale Królewicz i Skumbria niemal równocześnie wzruszyli ramionami. Nie słyszeli o takim piłkarzu.

- Dobry pomysł - wtrącił Romek Wawrzusiak. - To był pierwszorzędny piłkarz. Pamiętam, jak po wojnie zagrywał w „Legii”.

- Fenomenalny! - podchwycił uradowany szef. - Teraz trochę zszedł na psy, ale to nic. O piłce nożnej jeszcze nie zapomniał.

Twarze chłopców wydłużyły się. Byli przekonani, że dostaną jako trenera jakąś znakomitość piłkarską z „Polonii”, a tymczasem obiecano im weterana, o którym nigdy nie słyszeli.

- Mówię wam, chłopcy - podjął szef - zmontujemy taką drużynę, że mucha nie siada. Ja się znam na piłce. Ja też przed wojną w „Marymoncie” zagrywałem. Teraz będę waszym prezesem - zaśmiał się rubasznie. - Prezesem, niech mnie kule biją!

Romek Wawrzusiak zerknął na zegarek. Przejechał palcami po lśniących włosach i skinął głową

w stronę chłopców.

- Czas już na was. Królewicz ocknął się.

- Jedziemy, co?

- Jedziecie - powiedział szef zmienionym głosem. - My tu poczekamy. - Wyjął z kieszeni garść zmiętych banknotów, wyszukał pięćdziesiąt złotych i wręczył je Królewiczowi. - Weźmiecie taksówkę. Pojedziecie na Grochów, tam będą już czekali w garażu. Zabierzecie paczkę i zawieziecie ją do mnie. Reszty nie musisz zwracać, to dla was. Kapujesz?

Królewicz skinął głową.

- Kapuję.

- Tylko piorunem, bo to ważna sprawa! Gdy wychodzili, Skumbria trącił go łokciem.

- Te, co to za paczka?

Królewicz zachnął się.

- A co mnie to obchodzi? Grunt, że zarobimy. Taksówka nie wybiję więcej jak trzydziestaka.

Dwadzieścia dla nas.

- Po dziesiątce - wtrącił Skumbria.

- Zwariowałeś! Jak dostaniesz piątkę, to też podziękujesz. Skumbrii było wszystko jedno. Myślał w tej chwili o „Huraganie”.

- To klawo - powiedział jakby do siebie. - Teraz będziemy mieli prawdziwą drużynę.

Maniuś wspominał ten dzień, zdawało mu się, że przeżywa jakiś barwny, radosny film. Zebrali się wszyscy przed piątą. Nikt jednak nie śmiał kopnąć piłki. Wszyscy ze wzrastającym zniecierpliwieniem czekali na sławnego Stefanka. Najbardziej niepokoił się Maniuś. Cóż by to była za kompromitacja, gdyby Stefanek nie przyszedł na trening. Wyśmialiby go wszyscy i powiedzieliby, że buja. Ale na szczęście punktualnie o piątej zahuczał na ulicy motor, a za chwilę w wyłomie muru zjawił się Stefanek, pchając piękną, czerwoną „jawę”.

Maniuś chciał skakać z radości. Uczucie niepokoju ustąpiło wielkiej dumie. To przecież on sprawił, że sławny łącznik „Polonii” zaszczycił swą obecnością trening „Syrenki”. To dzięki niemu wszyscy chłopcy gapią się z niedowierzaniem na swego ulubieńca.

Otoczyli Stefanka i jego maszynę, pomogli mu ustawić motor pod murem i czekali, co nastąpi. Tymczasem sławny „polonista” tak się zachowywał, jakby ich znał od dawna. Przywitał się ze wszystkimi, każdemu uściśnął rękę, wreszcie stanął na środku boiska i z uśmiechem zapytał:

- Ciekawy jestem, co umiecie?

A potem rozpoczął się trening. Prawdziwy, poważny trening, tak jak na Konwiktorskiej z piłkarzami ligowej drużyny.

- Podstawą gry w piłkę nożną - tłumaczył im Stefanek - jest technika. Jeżeli gracz nie ma opanowanej techniki, to nie może pokazać się na boisku. Podstawa techniki piłkarskiej to stopowanie, prowadzenie, podanie i strzał.

Takie to wszystko wydawało się proste, że chłopcy patrzyli na „polonistę” z rozczarowaniem. Dopiero, gdy im pokazał kilka zasadniczych sztuczek i musieli je powtórzyć, zrozumieli, że są początkującymi piłkarzami.

- Piłka nożna to piękna, ale trudna gra - śmiał się Stefanek, gdy któryś z chłopców sknocił podanie albo źle odbił piłkę. - Trzeba się uczyć, uczyć i uczyć.

Piłkarz „Polonii” tak ciekawie prowadził trening, że chłopcy nie spostrzegli, kiedy zaczął zapadać zmrok.

- Dość już na dziś - zakończył Stefanek. - Jeżeli będziecie przez te dwa tygodnie pilnie trenowali, to możecie zająć w turnieju dobre miejsce.

Tego dnia czekała ich jeszcze jedna niespodzianka. Na boisko przyszedł redaktor Chudyński z „Życia Warszawy”. Rozmawiał z nimi długo, o wszystko się wypytywał i na zakończenie przyrzekł, że umieści w gazecie notatkę o drużynie i o przygotowaniach do turnieju.

Chłopcom okropnie to zaimponowało. „Syrenka” liczy dopiero kilka dni, a już będzie o niej w gazecie.

- Tylko niech pan o mnie nie zapomni napisać. O mnie też. I o mnie - atakowali redaktora.

A Chudyński uśmiechał się dobrodusznie i rozdawał czekoladowe cukierki.

I jak tu o takim dniu nie marzyć, nie przeżywać go po kilka razy!

Teraz Maniuś leży jeszcze w łóżku. Przymknął oczy i zdaje mu się, że to film.

- Maniuś, trzeba wstawać - usłyszał głos cioci Frani.

- Zaraz, ciociu... - bąknął pod nosem i jeszcze silniej zacisnął powieki, żeby piękny film wczorajszego dnia nie urwał się nagle.

Przypomniawszy sobie, że musi wstać, przygotować śniadanie. Biedna ciotka od kilku dni skarżyła się na bóle w krzyżu, a wczoraj wcześniej wróciła z pracy i położyła się na dobre.

- Oberwałam się - powiedziała. - Przesuwałam ciężką szafę u tego mecenasa na Krakowskim Przedmieściu i jak mnie schwyciło, to się nie mogłam wyprostować.

Wieczorem był lekarz rejonowy, zbadał, opukał, pokiwał głową i powiedział, że jak się nie polepszy, to trzeba będzie iść do szpitala.

Biedna ciocia Frania... czy nie mogła poczekać, aż się turniej skończy? Pan Bóg chyba po to ją stworzył, żeby zsyłać na nią nieszczęścia. Oj, nie ma lekkiego życia. Codziennie rano zrywa się o świcie i biegnie do Spółdzielni Pracy „Czystość”, potem czeka, jaką jej robotę przydzielą. To wcale nie musi być przyjemne zamiatać czyjeś kąty i prać cudze brudy, zwłaszcza za takie psie pieniądze, z których nie można wyżyć. A teraz jeszcze ta choroba...

Skończył się barwny film, nastąpiła szara codzienna rzeczywistość. Trzeba wstać i zabrać się do pracy, bo nie ma krasnoludków, które by przyniosły wody, zapaliły w piecu i ugotowały śniadanie.

Maniuś, ziewając i czochrając włosy, zwał się z łóżka. Dzień nie zapowiadał się radośnie. Chłopiec zapomniał nawet zagwizdać swą ulubioną piosenkę „Nicolo, Nicolo, Nicolino...”

Kiedy mył się pod kranem, ktoś zapukał do drzwi. Perełka wsadził w szparę swą piegowatą twarz i zawołał:

- Te, Paragon, zejdź na dół. Mandżaro robi naradę kapitanatu. Krzysiek już przyszedł i Tadek Puchała.

- To niech poczekają - odburknął Maniuś. - Nie widzisz, że dom w charakterze szpitala?

- Nie.

- No to się przypatrz. Ciotunia zachorowała. Ciotka poruszyła się na łóżku.

- Dajcie mu choć dzisiaj spokój - jęknęła.

- Niech się ciotunia nie martwi - pocieszył ją Maniuś. - Już ja wiem, codo mnie legalnie należy. -

A do Perełki prychnął: - Na co czekasz? Powiedz im, że później przyjdę.

- Z tobą zawsze tak... - zamruczał niezadowolony bramkarz.

- A tak... Czy ja jestem winien, że ciotunia się oberwała? Reklamuj w Spółdzielni „Czystość”.

- Dobrze już, dobrze - powiedział pojednawczo Perełka. - Powiem im...tylko przyjdź na pewno, bo ważne sprawy.

Maniuś skrupulatnie wypełnił wszystkie polecenia ciotki, a gdy wychodził, oświadczył z dumą:

- Chyba ciotunia zadowolona z obsługi. Takiej to nawet w „Bristolu” nie ma. Kobieta uśmiechnęła się blado.

- Po drodze zejdź jeszcze do pani Zahorskiej. Poproś, żeby do mnie przyszła.

- Zrobi się - rzekł zadowolony ze spełnionych obowiązków. Ale kiedy schodził z trzeszczącego pomostu, opanował go nagle smutek. „Jak to okropnie, że nie mam ani ojca, ani matki - myślał. - Innym życie leci spokojnie, bez niespodzianek i zmartwień. Starzy za nich myślą, męczą się i trapią. A ja?...”

Na podwórzu zobaczył kolegów. Mandżaro z daleka już wołał:

- Na ciebie zawsze trzeba czekać!

Paragon miał już na końcu języka jakieś kąśliwe słówko, ale dał spokój. Pomyślał, że nie warto zaczynać kłótni.

- Bo co? - zapytał.

- Ustalamy skład na pierwszy mecz. Przecież wiesz, że już w niedzielę gramy.

- Nie mogliście ułożyć beze mnie?

- Nie - odpowiedział Krzyś Słonecki. - Przecież należysz do kapitanatu. Kapitanat, który wybrali po pierwszym treningu ze Stefankiem, składał się z trzech członków. Mandżaro, Paragon i Krzyś mieli decydować o składzie drużyny na każdy mecz.

- A pytaliście Stefanka?

- Tak - wyjaśnił Mandżaro. - Powiedział, żebyśmy sami ułożyli. On nie chce się do tego mieszać. Gdy ułożymy, to mu pokażemy, niech zatwierdzi.

- Chodźcie do mnie, to porozmawiamy spokojnie - zaproponował Krzyś Słonecki.

- Dobrze - zgodził się Mandżaro.

- Czy ja mogę iść z wami? - zapytał Tadek Puchalski. Do tej pory stał nadąsany i nie brał udziału w rozmowie.

- Czyś ty, bracie, zwariował?! - zawołał Perełka. - Jak kapitanat, to kapitanat.

Tadek skrzywił się.

- Do chrzanu z taką drużyną. Gdzie indziej pracują kolektywnie, a u nas wciąż tylko Mandżaro i Paragon. Czyja się nie znam na piłce?

Maniuś uśmiechnął się kpiąco.

- Nie podoba ci się, co?

- Pewnie, że nie. W „Huraganie” jest inaczej. Oni już mają nowe kostiumy. Wiadomość ta zrobiła piorunujące wrażenie. Chłopcy zamilkli na chwilę i z niedowierzaniem patrzyli na Puchalskiego.

- Skąd wiesz? - zapytał Mandżaro.

- Byłem dzisiaj na Okopowej. Widziałem, jak trenowali. Trenera też mają...

- Trenera! - zawołali chórem.

- A jakże. Łobodowicza, byłego gracza „Legii”. A kostiumy nowiutkie, pierwszorzędne. I getry czarne w białe pasy. Wyglądają jak prawdziwa drużyna, a nie jak szmaciarze. Królewicz mówił mi, że będą mieli futbolówki. Wszystko nowe.

Perełka gwizdnał przez zęby.

- Skąd mają tyle forsy?

- Bogatego prezesa mają. Umieją się urządzać. A my co? Nawet na jednakowe spodenki nas nie stać.

Paragon zmrużył oczy.

- Imponują ci, co?

- Nie... tylko... to porządna drużyna. Starają się o graczy. A u nas? Mandżaro zbliżył się do Puchalskiego.

- Widzę, że tobie nic się u nas nie podoba.

Puchalski cofnął się o krok. Wargi lekko mu drgały, oczy biegały niespokojnie.

- Nie chcecie mnie w kapitanacie, to mam być zadowolony, co?

- Nie wybrali cię, to nie nasza wina.

- Wy, z Gołębnika, zawsze trzymacie razem.

- Tobie nigdy nic się nie podoba - pisnął Perełka. - Pokrzywdzony! Puchalski obrzucił bramkarza zawistnym spojrzeniem.

- Jak nie chcecie, to nie... nie muszę - odwrócił się i odszedł wolnym krokiem.

Chłopcy patrzyli za nim. Gdy znikł w bramie, Krzyś Słonecki pokiwał głową.

- Jeżeli mu tak bardzo zależy, to ja mogę się zrzec. Niech on wejdzie na moje miejsce.

- Daj spokój - uśmiechnął się Paragon. - Jemu nikt nie dogodzi. Zachowuje się jak gwiazda...

Poszli w stronę nowych bloków. Za zakrętem ulicy, gdzie kończyły się gruzy, rudery, stare płoty, otwierał się jakby nowy świat. Słońce jakoś łaskawiej prószło na wystrzyżone trawniki i weselej odbijało się w dużych czystych oknach nowego osiedla mieszkaniowego. Nawet płat błękitu nad osnutymi pajęczyną drutów dachami wydawał się przychylniejszy dla ludzi. W piaskownicy, na środku skweru, bawiły się czyste, dobrze ubrane dzieci.

Paragon rozejrzał się ciekawie. Już nieraz tu zachodził, ale nigdy dotąd nie odczuł tak boleśnie tej różnicy. Przykre wrażenie spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy weszli do mieszkania Krzysia.

- Ale ty mieszkasz, bracie, jak maharadża hinduski - powiedział rozglądając się onieśmielony ładem, czystością i zamożnością mieszkania. Parkietowa posadzka lśniła, odbijając sylwetki chłopców. Wszędzie dywany, kilimy, kwiaty.

- Wytrzyjcie dobrze buty, żeby mama się nie gniewała - poprosił Krzyś.

- Człowieku - rzekł cicho Paragon - tu trzeba latać na helikopterach, żeby nie zawalać podłogi.

Gdy usiedli, Mandżaro wyjął z kieszeni nowy notes. Rozłożył go na kolanach, przyglądał kartki dłonią i zaczął bardzo poważnie:

- Ja już mam pewne propozycje. Patrzcie, jak sobie wyobrażam skład. Chłopcy cisnęli się wokół niego. Na kartce widniał plan nowego składu.

PEREŁKA FRANEK MOTYLSKI - KRZYŚ SŁONECKI - KAZEK PIGŁO ROMEK MARMOL - FELEK RINGER TADEK PUCHALSKI - IGNAŚ PARADOWSKI MIITEK GRALEWSKI - MANDŻARO - PARAGON Mandżaro spojrział na kolegów pytająco.

- Jak wam się podoba? Paragon pokręcił głową.

- Niezły, można powiedzieć, tylko gdzieś podział Pajaka?

- Poldka Piechowiaka? On będzie rezerwowym.

- Człowieku - zawołał Manius - przecież on leguralnie dwadzieścia główek za jednym zamachem robi! Tego to nawet ja nie potrafię.

Kapitan „Syrenki” był wyraźnie niezadowolony, że Paragon odważył się wprowadzić poprawki do jego skrupulatnie ułożonego składu.

- Poldek jest słaby. Nie wytrzyma kondycyjnie - zauważył. - A zresztą...na czyje miejsce byś go wsadził?

Maniuś jeszcze raz uważnie przyjrzał się kartce.

- Za Felka Ringera - rzucił po chwili. - On na ostatnim meczu był najsłabszy.

- A ty? - Mandżaro spojrział na Krzysia.

- Ja?... Mnie się zdaje, że Paragon ma rację.

- Więc dobrze - Mandżaro przekreślił Felka, a nad nim wpisał niechętnie Poldka Piechowiaka. -

A teraz trzeba się zastanowić, w jakich kostiumach wystąpimy na meczu? Ja proponuję, żeby za forszę, którą mamy w kasie, kupić materiał na czarne spodenki...

- Nie wystarczy... - przerwał mu skarbnik. - Za tę forszę każdy mógłby mieć tylko jedną nogawkę.

- A ile jest w kasie?

- Sto siedemdziesiąt pięć złotych i pięćdziesiąt groszy - wyrąbał bez zająknięcia Paragon. - Tak wykazało ostatnie saldo. Na buchalterii znam się legalnie i rachunki mam w porządeczku. W każdej chwili mogę je przedstawić. U mnie manka nie będzie.

- Dobra - Mandżaro zamyślił się. - Więc przynieś dzisiaj kasę na trening. O tej sprawie musimy pogadać ze wszystkimi.

- Pierwszorzędny obiad, ciotuniu - powiedział Maniuś odnosząc talerz na kredens. - Po takim obiedzie i kondycja będzie na niedzielny mecz. Tylko z myciem garnków gorzej, bo tłuste.

Wlał do kociołka trochę ciepłej wody. Myjąc talerze myślał o zjedzonym niedawno obiedzie. Dziwiło go niezmiernie, skąd wzięło się tak wystawne jadło! W zwykły powszedni dzień przywykł do barszczu z ziemniakami, do kaszy jaglanej na mleku albo klusek z sosem cebulowym. A tu dzisiaj pani Zahorska przygotowała im świetny rosół i sztukę mięsa z chrzanowym sosem. Takie dania zdarzały się najwyżej raz w miesiącu, i to przeważnie z okazji jakiegoś święta. Domyślał się, że to choroba cioci Frani stała się powodem tych luksusów. Prosta sprawa, ciocia powinna dobrze jeść, żeby jak najszybciej wyzdrowieć.

Po dobrym obiedzie poprawił mu się humor, zwłaszcza że czekał go popołudniowy trening. Im bliższy był termin turnieju, tym bardziej rosło napięcie wśród młodych piłkarzy, a każdy trening sprawiał im coraz większą przyjemność.

Maniuś wytarł umyte talerze, postawił je w kredensie, zamiótł podłogę, a gdy ukończył wszystkie czynności, spojrział na stojący na komodzie budzik. Za pół godziny zaczynał się trening. Wprawdzie dzisiaj nie będzie Stefanka, ale mieli przerabiać ćwiczenia wskazane przez niego: drybling między cegłami, strzał z rogu, główkowanie, podanie z woleja.

Gdy miał już wychodzić, przypomniał sobie, że Mandżaro prosił go, by przyniósł kasę. Pieniądze trzymał w albumie ze znaczkami pocztowymi. Wyciągnął szufladę, wyjął album i nagle zrobiło mu się gorąco. W albumie nie było pieniędzy. Jeszcze raz gorączkowo przerzucił wszystkie kartki, lecz znalazł tylko świstek, na którym prowadził rachunki. Ręce trzymające kurczowo stary album zadrżały, w oczach mu pociemniało, w głowie czuł zamęt.

- Co ty tam szukasz? - usłyszał cichy głos ciotki. Odwrócił się. Ciotka patrzyła na niego zaleknionymi oczami.

- Gdzie pieniądze? - zapytał drżącym głosem.

Ciotka wolno odwróciła oczy. Patrzyła teraz na swe chude, leżące na kołdrze ręce.

- Gdzie pieniądze? - powtórzył płacząco.

- Jakie pieniądze?

- Te z albumu.

- Ach, te... - ciotka udała zdziwienie. - Właśnie... zapomniałam ci powiedzieć... Przyszła pani

Zahorska... Chciałam, żeby coś kupiła, bo nic w domu nie ma...

Chłopiec patrzył na ciotkę szeroko rozwartymi, błędnymi oczami.

- Przecież to nie moje! - wrzasnął niemal. - To klubowe!... - uniósł album i cisnął nim o ziemię. -

Ale mnie ciotunia urządziła! Co ja teraz zrobię?

Kobieta usiadła na łóżku.

- A ja myślałam, że to twoje... uzbierane za flaszki.

- Ech! - jęknął zaciskając pięści. Naraz złapał się za głowę. - Co ja teraz zrobię? Co ja zrobię?

Trening miał się zacząć o pół do piątej. Dochodziła już piąta, a brakowało jeszcze kilku graczy.

Mandżaro odbijał nerwowo piłkę o ziemię. Był naburmuszony, zły. Co chwila spoglądał na wyłom w murze.

- U nas zawsze takie porządki! - powiedział do stojącego obok Perełki. - Już tyle razy tłumaczyłem, że w drużynie musi być dyscyplina. Jeżeli tak dalej pójdzie, to daleko nie zajdziemy.

Mały bramkarz z lękiem patrzył na kapitana drużyny. Nie lubił, gdy Mandżaro się złościł.

- Poczekajmy jeszcze trochę, może przyjdą - wtrącił nieśmiało. Mandżaro rzucił z wściekłością piłkę.

- Do chrzanu z taką organizacją! Gdzie Paragon? Gdzie Puchała? Gdzie Romek Marmol? Gdzie Ignas?

W tej samej chwili, jak gdyby przyciągnięty myślami kapitana drużyny, w wyłomie zjawił się Ignas Paradowski. Ujrawszy chłopców, zerwał się i dobiegł do nich zdyszany.

- A to granda! - zawołał.

- Co się stało? - zapytał najbardziej wścibski Perełka.

- Wyobraźcie sobie, Puchałę skaperował „Huragan”!

Chłopcy zamilkli. Stali osłupiali i tylko oczami wodzili po sobie. Wiadomość tak ich zaskoczyła, że długo nie mogli wydusić słowa. Pierwszy odezwał się Mandżaro.

- To nie-moż-li-we - wyjąkał z oburzeniem. - To przecież zdrada! Ignas walnął się pięścią w pierś.

- Daję słowo. Widziałem na własne oczy.

- Bujasz! - pisnął Perełka. Sama myśl, że ktoś mógł opuścić „Syrenkę”, wydała mu się nieprawdopodobna.

Ignas widząc, że stał się ośrodkiem zainteresowania, opowiadał z zapalem:

- To fakt. Miałem jeszcze trochę czasu, więc myślę sobie, zobaczę, co się dzieje na Okopowej. Idę, patrzę, a tu „Bażanty” piłkę kopią. Ciekawy byłem, jak oni trenują, więc zbliżyłem się, a tu widzę, że z nimi Puchała.

- Może tylko tak, dla hecy - wtrącił Kazek Pigło.

- Nie przerywaj - zachnął się Ignas. - Dla hecy? Gdzież tam dla hecy. Gdy mnie zobaczył, to chciał zwiewać, ale Królewicz złapał go za portki i powiedział:” Czego się wstydzisz? Czy źle ci u nas?” A potem do mnie: „Ty, mały, może byś u nas zagrał. Dostaniesz nowy kostium, futbolówki i jeszcze na lody”.

- A ty co na to? - zapytał Mandżaro.

- Ja?... Powiedziałem im, że w nosie mam ich kostiumy i futbolówki. Że ja się nie dam przekupić. Mówię wam, Puchała blady był jak papier. Nie patrzył na mnie, tylko powiedział do Skumbrii: „On z Gołębnika. Jego nie da się skaperować”. A potem do mnie: „Powiedz swoim, że ja przeszedłem do »Huraganu«,,.

- A to świnia! - wyrwał się Perełka.

Mandżaro zmarszczył brwi. Zachował jednak niezmałony spokój, jak na kapitana drużyny przystało.

- Wiedziałem, że tak będzie. Dzisiaj po treningu zrobimy zebranie. Skreślimy go z klubu. Nie potrzeba nam takich zdrajców.

- Szkoda - szepnął jakby do siebie Perełka. - Jednak Tadek to dobry gracz. Mandżaro wyjął swój notes. Rozłożył kartkę, na której miał ułożony skład drużyny.

- To jest poważne osłabienie linii ataku. Ale trudno. Zamiast niego wstawimy Felka Ringera, a na pomocy zagra Pająk.

- Nie będzie tak źle, wiara - Pająk podskoczył na swych chudych nogach. - Felek też dobrze kiwa, a ja na pomocy dam sobie radę.

Gdy chłopcy rozprawiali o nowych kłopotach, na boisku zjawiał się Paragon. Szedł wolno, jakby bał się zbliżyć do nich. Zdawało się, że to inny chłopiec, a nieuśmiechnięty, zawsze pewny siebie Maniuś. Nawet ruchy miał jakieś inne, ślamazarne, niepewne.

Perełka podbiegł do przyjaciela.

- Słyszałeś, że Tadek skaperowali do „Huraganu”?

Paragon skwitował tę sensacyjną wiadomość jednym, dosadnym słowem:

- Szmaciarz!

- A ty musiałeś się spóźnić - przywitał go zaczepnie Mandżaro. Paragon zacisnął tylko usta.

- Przecież wiesz, że ciotka chora.

- A pieniądze przyniosłeś?

Maniuś pobladał lekko, ale starał się panować nad sobą. Myślał, że kapitan drużyny zahaczy go o pieniądze dopiero po treningu. Spojrzał wyzywająco na Mandżaro i powiedział z naciskiem:

- Co ci się tak spieszy! U mnie jak w banku. Mandżaro rozłożył ręce.

- Mówiłem ci, żebyś przyniósł.

- Z taką forszą po ulicy chodzić? - skrzywił się Maniuś. - Dam ci wieczorem.

- Już od tygodnia proszę cię o rozliczenie. Maniuś uśmiechnął się cierpko.

- Nawet z banku wcześniej byś nie dostał.

- A ty sobie kpisz ze mnie. Powiedz, może nie masz tej forsy?

- Bądź spokojny.

- To dlaczego kręcisz?

Paragon uniósł głowę i błysnął oczami.

- O co ci, Feluś, chodzi? - zapytał ostro.

Mandżaro zawahał się, ale nie mógł opanować wzburzenia. Cisnął Paragonowi prosto w twarz:

- Z tą forszą to może tak, jak z tą piłką?

W oczach Maniusia zapaliły się złe ogniki. Zacisnął mocno szczęki, głowę wysunął do przodu i zasyczał:

- Posądzasz mnie?

Mandżaro uśmiechnął się zjadliwie.

- Nie posądzam, tylko... tylko chciałbym widzieć te klubowe pieniądze.

- Dobrze, to je jeszcze dzisiaj zobaczysz! - odwrócił się i odszedł wolnym, niepewnym krokiem, jakby dźwigał jakiś ciężar.

- Maniuś! Maniuś, dokąd idziesz?! - zawołał za nim Perełka. Ale Maniuś nie obejrzał się.

Przeciął wyłysiałe boisko i zniknął za włotem muru.

Ulica tonęła w falach jasnego światła. W powietrzu wirował delikatny pył, wzbijany przez przejeżdżające samochody. Przez szczeliny w zburzonych domach przesączały się drżące smugi słońca. Kładły się na chodniku ciepłymi plamami. Huczał rozpędzony tramwaj, a z pobliskiego domu przez otwarte okno rozbrzmiewała muzyka z głośnika radiowego. Jakiś męski wysoki głos ciągnął wesołą piosenkę: „Nicolo, Nicolo, Nicolino...” Ale Maniuś jej nie słyszał. Wbił pięści w kieszenie, zwiesił głowę i szorując rozczłapanymi trampkami wygrzane płyty chodnika, szedł zatopiony w przykrych myślach.

„Niech ten Felek Mandzaro nie będzie taki ważny. Niech się nie szarpie. Pieniądze będzie miał, to fakt. Żeby nawet miał spod ziemi wygrzebać. Ale skąd je wziąć? Dziesięć, dwadzieścia złotych można by łatwo wykombinować, ale sto siedemdziesiąt pięć złotych i pięćdziesiąt groszy to już trudniejsza sprawa. Trzeba było im powiedzieć całą prawdę... Nie, na to mógł się zdobyć tylko szczeniak bez ambicji. Cóż obchodziło członków »Syrenki«, że ciotka nagle zachorowała i zachciało się jej lepszemu obiadu? To przecież prywatne sprawy. Nie można się kompromitować”.

Zamyślił się tak głęboko, że nie spostrzegł, kiedy minął sklep spożywczy MHD. Musiał więc cofnąć się kilkanaście kroków.

- Cóż ty dzisiaj taki pochmurny? - zapytała panna Kazia.

- Ma się swoje zmartwienia, panno Kaziu - odpowiedział minorowo.

- Dlaczego nie przyniosłeś rano butelek? Chłopiec westchnął jak dorosły, przybity mężczyzna.

- Ech, szkoda gadać. Życie nie jest kolorowym filmem. - Potem dodał szybko: - Ciotka zachorowała, występuję w charakterze pielęgniarce. - Rozejrzał się, czy ktoś nie przysłuchuje się ich rozmowie, przybliżył się do ekspedientki i przyciszonym głosem ciągnął: - Panno Kaziu, ja do pani z dyskretną sprawą. Potrzebna mi gotówka.

- Ho, ho, komu dzisiaj nie potrzebna gotówka - zażartowała ekspedientka patrząc ze zdziwieniem na niezwykle poważną twarz chłopca.

- Ja mam pewną propozycję - podjął Maniuś. - Będę cały miesiąc przynosił flaszki gratis, na mój rachunek. Czy mogłaby mi pani pożyczyć trochę gotówki?

- A ile ci trzeba?

- Niewiele, panno Kaziu, sto siedemdziesiąt złociszków. Co to dla pani, przy takich obrotach.

Okrągła twarz ekspedientki stężała. Jej wielkie oczy znieruchomiały. Chłopiec wpatrywał się w nie z wzrastającym niepokojem i z nadzieją jednocześnie.

- Sto siedemdziesiąt złotych? - rzekła po chwili. - Skąd ja ci wezmę tyle forsy?

- Z tej kasy za butelki, panno Kaziu. Ze mnie solidna firma, zwrócę wszystko w towarze.

- Masz pecha, Paragon. Jutro właśnie rozliczamy się za flaszki. Gdybyś przyszedł wcześniej...

Chłopiec skrzywił się płaczliwie.

- Nic się nie da zrobić? Ekspedientka wzruszyła ramionami.

Uniósł dłoń do czoła, jakby chciał odpędzić przykrą myśl.

- Ha, to trudno. Trzeba będzie szukać gdzie indziej.

Gdy wyszedł ze sklepu, jeszcze niżej opuścił głowę i jeszcze wolniej stawiał kroki. Wiedział, że ekspedientka skłamała. Rozliczenie sporządzała zawsze pod koniec miesiąca. Widocznie nie ma do niego zaufania. Boi się o te sto siedemdziesiąt złotych. Nie gniewał się, czuł tylko ogromny żal.

Idąc swą codzienną drogą, zobaczył w dali wózek z owocami, a za nim zwałistą, tęgą, zalaną potem panią Wawrzynek. Przystanął na chwilę. Nie chciał pokazywać się ze skwaszoną miną i nosem

na kwintę. „Trzymaj się” - szepnął do siebie i przyspieszywszy zaczął zbliżać się do wózka.

- Uszanowanie pani szefowej! Jak leci interes ogrodniczo-warzywniczy? - wykrztusił z wysiłkiem, siląc się na uśmiech.

Handlarka w odpowiedzi rozłożyła ręce.

- Codziennie niespodzianki, Paragon. Patrz, jakie mi dzisiaj przywieźli jabłka. Pół tego świństwa trzeba na śmietnik wyrzucić.

- Albo domowym sposobem na marmoladę przerobić - zauważył bystro chłopiec.

- Marmolada marmoladą, ale koszty się nie kalkulują.

- Pani za dobry fachowiec, żeby manka robić - podjął przymilnie. - A że hurt knoci, to przecież nie pani wina. Ja bym im to wszystko zwrócił, niech sami marmoladę produkują.

- Oj, tak, tak, chłopcze, stale tylko zmartwienia.

- Zmartwienia - podchwycił gorliwie - żeby pani wiedziała, jakie ja mam zmartwienie... - Przesunął czapkę na czubek głowy i posmutniał.

- Co znowu? - małe oczka handlarki ożywiły się.

- Leżę, pani szefowo... formalnie leżę. Ciotka się oberwała, a ja za jedyne go żywiciela domu zostałem.

Handlarka załamała pulchne ręce, z politowaniem pokiwała głową.

- Tak, tak, biednemu zawsze wiatr w oczy wieje.

Maniuś, korzystając z nastroju pełnego współczucia, postanowił działać natychmiast.

- Potrzebna mi gotówka, pani szefowo. Niewiele, sto, sto siedemdziesiąt złotych. Zwracam za tydzień, jak ciocia wyzdrowieje.

Pełna, dobrodusznna twarz pani Wawrzynek zmieniła się tak nagle, że Maniuś pomyślał: „Jakie to dziwne. Wspomnisz tylko o pożyczce, a ludzie cierpną, jakby ich coś ukąsiło”.

- Sto złotych - handlarka wymówiła te słowa z wielkim nabożeństwem. - Skądże ty, chłopcze, pożyczysz sto złotych?

- Myślałem, że od szanownej firmy pożyczę - spojrział na nią z ukosa, nieomal zalotnie.

- W imię Ojca i Syna - przeżegnała się gwałtownie. - Nie widzisz, że mi towar gnije? Pięćdziesięciu jeszcze nie utargowałam. Zostań na chwilę, przebierz mi te świńskie jabłka, to piątaka dostaniesz.

Paragon patrzył na dekolt pani Wawrzynek i widział za rąbkiem perkalowej sukni nabity pieniędzmi woreczek. Czuł, jak krew odpływa mu z głowy, a nogi stają się ciężkie jak z ołowiu. „Nie udało się - pomyślał. - Ta też nie chce ryzykować”.

- Dziękuję - powiedział wolno, zmienionym głosem - dzisiaj na taką delikatną robotę nie mam czasu. - Skinął głową i ruszył przed siebie. Słyszał jeszcze gniewny głos handlarki.

- A to smark, pięć złotych to dla niego nie pieniądź!

Chciał jej zuchowato odkrzyknąć, ale nie miał siły, przygnębiło go niepowodzenie. Pozostała jeszcze ostatnia deska ratunku - pan Sosenka. Jeśli on mu nie pożyczy, to nie ma po co pokazywać się w Gołębniku.

Stanął przed zakładem fryzjerskim i patrzył bezmyślnie na wystawę. Zdawało mu się, że blada piękność też ma dzisiaj smętną minę. Po krótkim wahaniu wszedł do środka. Pan Sosenka otulał właśnie białą, brudną już pelerynką jakiegoś klienta. Z ponurego spojrzenia, jakie posłał chłopcu na przywitanie, nie można było wnioskować nic dobrego.

- Jak ci się to podoba, Paragon? „Polonia” znów dostała łupnia - zaczął pierwszy.

- Kiedy?! - wykrztusił zaskoczony chłopiec.

- Widzę, że nie śledzisz życia sportowego. Dzisiaj. Wyobraź sobie, że dzisiaj. Grali mecz towarzyski z „Goplaną” i przegrali. Ja już nie wiem, co robić.

- Pewno sędzia zawałił? - wtrącił chłopiec nieśmiało.

- Gdzie tam! Mówię ci, że na psy schodzimy. Jak tak dalej pójdzie, to dostanę rozstroju nerwowego.

Paragon, patrząc na ponurą minę fryzjera, zrozumiał, że przyszedł na próżno. W takich okolicznościach nie można było marzyć o pożyczce. Zaryzykował jednak.

- Panie szefie - szepnął - mam do pana mały interes.

- Co takiego? - pan Sosenka łypnął niechętnie małymi oczkami.

- Gotówka mi potrzebna... niewiele, jakieś sto złotych... Niebieskie oczka fryzjera stały się jeszcze mniejsze.

- Czyś ty oszalał?! - prychnął. - Skąd mam wziąć akurat dzisiaj sto złotych?

- Odrobię to, panie szefie, albo oddam za kilka dni, jak się u mnie poprawi.

- Idź do kasy - wskazał na stolik, w którym trzymał pieniądze. - Zobacz, że same śmieci. To zaraza, nie interes. Wolałbym szympansa w zoo strzyc!

Klient, który oczekiwał swej kolejki, spojrzął na fryzjera z odrazą. Ten, widząc jego zniecierpliwienie, chwycił Maniusia za ramię i pchnął go w stronę drzwi.

- Przyjdź kiedy indziej, teraz nie mam czasu.

Chłopcu nabiegły łzy do oczu. Wyszedł, dusząc w sobie żal.

„I co teraz? - pomyślał, gdy znalazł się na ulicy. Przypomniał sobie, co mówił Mandżaro: »Z tą forszą to może tak, jak z tą piłką...«, a potem zabrzmiały mu w uszach własne słowa: »Posądzasz mnie? Dobrze, to ją jeszcze dzisiaj zobaczysz!...« Tak, Mandżaro jeszcze dzisiaj musi dostać te pieniądze. Ale skąd?» Szedł, nie wiedząc, dokąd idzie, zamyślony i przybity.

Nie spostrzegł nawet, kiedy znalazł się pod Wolskim PDT. O tej porze przed bramami Domu Towarowego zbierali się chłopcy z całej Woli. „Pedet” był ostatnio najmodniejszym miejscem spotkań. Tutaj załatwiano najrozmaitsze interesy. Tutaj mieściła się giełda znaczków pocztowych. Tutaj na chodnikach grano w guziki. Mali chłopcy uczyli się pić wódkę i palić papierosy. Starsi, którzy przeszli już szkołę ulicznego życia, wszczynali awantury, zaczepiali dziewczęta, węszyli, gdzie można by coś zwędzić.

Maniuś, uniesiony prądem przechodniów, zatrzymał się przed główną bramą. Przez chwilę obserwował, jak grupa uliczników rozgrywała konkurs, kto dalej napluje. Nie widział sensu w tej rozrywce. Wzruszył ramionami i poszedł dalej ku bocznej bramie.

Naraz usłyszał za sobą znajomy głos:

- Te, Paragon!

Obejrzał się. Zobaczył Królewicza. Młody Wawrzusiak był, jak zwykle, ubrany z przesadną elegancją. Normalny jego ubiór - zamszowe buty, spodnie „farmerki” - uświetniała nowa amerykańska koszula w przedziwne fantastyczne wzory. Była na niej nieomal cała menażeria wśród palm. Jednym słowem, ostatni krzyk mody, zakupiony na ciuchach.

- Co tu robisz? - zapytał Królewicz ściskając dłoń Paragona.

- Nic... A ty?

- Nic. Tak sobie...

- To dobrze.

Po tym krótkim przywitaniu obejrzeni się badawczym wzrokiem: Paragon Królewicza z podziwem; Królewicz Paragona z lekką pogardą w swych ładnych oczach. Po chwili milczenia młody Wawrzusiak odezwał się pierwszy:

- Straszliwy upał, chodź ze mną na lody.

Paragon zgodził się. Był tak zaseponiony, że nie zastanawiał się nad tym, co robi. Przeszli na tył budynku, gdzie pod parasolami ustawiono kilka stolików i sprzedawano lody. Usiedli. Królewicz z obojętną miną zamówił dwie duże porcje czekoladowych.

- Słyszałeś? - zapytał. - Puchalski przeszedł do nas.

- Skaperowaliście go.

- Nie. Sam przyszedł.

- To szmaciarz.

- Ale nieźle gra.

Paragon wzruszył ramionami, jakby chciał zaznaczyć, że go to nic nie obchodzi. Królewicz zmrużył swe ciemne, aksamitne oczy.

- Montujemy silną drużynę.

- To się zobaczy.

- Nie wierzysz?

- Zagracie, to się zobaczy - powtórzył Maniuś. Rozmowa nie kleiła się, utrudniała ją nieufność, jaką żywili do siebie. Pochodzili przecież z dwóch wrogich obozów „Gołębiarzy” i „Bażantów”. Królewicz zapłacił rachunek. Takim gestem wyjął z kieszeni garść zmiętych banknotów, jakby pieniądze nie miały dlań wartości.

- Skąd masz tyle forsy? - zapytał Maniuś.

- Zarabia się.

- Na flaszках?

Królewicz uśmiechnął się z politowaniem.

- Grubsze interesy z bratem, rozumiesz.

W tej chwili Maniusia opętała myśl: „Może on mi pożyczy?” Odsunął ją początkowo ze wstrętem. „Pożyczać od »Bażanta«?” Ale powróciła z uporem: „Przecież mu zwrócę, gdy tylko się wystaram”.

- Słuchaj - rzekł zdławionym głosem - potrzebuję trochę forsy, ciotka zachorowała. Nie mógłbyś mi pożyczyć?

- Ja?... - zdziwił się Królewicz. Widać było, że jest zaskoczony. Nie spodziewał się, by Paragon, ten hardy chłopiec z Gołębnika, zwracał się do niego z prośbą.

- Oddam ci za kilka dni.

- A ile?

- Sto pięćdziesiąt... - wybąkał. - A może trochę więcej. Królewicz rozsypał pieniądze na stoliku i szybko przeliczył.

- Sześćdziesiąt pięć z groszami - powiedział niedbale. - To cię nie urządza.

Paragon patrzył na pieniądze roziskrzonymi oczami.

- Daj, resztę jakoś wykombinuję. Królewicz zgarnął banknoty.

- To cię nie urządza - powtórzył. - Przyjdź wieczorem do mnie, to wykombinujemy.

- Skąd?

- Romek mi doda...

- To wy nieźle zarabiacie. Na czym, ciekawy jestem?
- Handluje się. Grubsza robota. Prezes zawsze da zarobić.
- Kto?
- Nie znasz króla ciuchów, Darczaka?
- Nie.

- To nasz prezes. On nam zafundował nowe kostiumy i trenera. Morowy facet, mówię ci. Forsy ma jak lodu. Gdybyś był u nas, to byś też zarabiał... - urwał nagle i spojrzał na Maniusia wyczekująco.

Paragon uśmiechnął się cierpko.

- Ja, bracie, nie jestem Puchalski. Mnie nie skaperujecie.

Królewicz spochmurniał. W jego oczach ukazały się złe błyski. Wstał, przeciągnął się i rzucił niedbale:

- Namyśl się. A jak będziesz chciał forsy, to przyjdź wieczorem. Pogadamy.

Już zmrok zapadał, gdy Maniś wracał do domu. Szedł wolnym krokiem, żeby jak najbardziej oddalić moment powrotu. Był zmęczony, przybity. Spotkanie z Królewiczem przygnębiło go jeszcze bardziej. Wiedział, do czego zmierza młody Wawrzusiak. Ale myli się. Paragon nie zdradzi swej drużyny. Raczej naje się wstydu, niż pójdzie do „Huraganu”.

Gdy zbliżył się do Gołębnika, w ponurych betonowych gruzach jarzyły się w oknach pierwsze światła. Brama była pusta i ciemna. Na podwórzu ktoś głośno dzwonił próżnymi wiadrami. W czeluści klatki schodowej suchotniczym światłem mżyła zakurzona żarówka. Zdawało mu się, że na drugim piętrze ktoś stoi w ciemnym załomie korytarza. Przystanął.

- To ty, Paragon? - usłyszał głos Mandżaro.

- Ja, a co?

- Czekałem na ciebie - Mandżaro zbliżył się do niego. Jego jasne włosy połyskiwały w mętym refleksie mdłego światła.

Maniś zachnął się.

- Boisz się o forszę?

- Nie... tylko chciałem z tobą pogadać.

- Nie bój się, zaraz ci przyniosę - słowa te dyktowała mu przekorna zawziętość. Zdawało mu się, że to nie on je wypowiada, lecz ktoś inny, obcy.

- Dobrze - powiedział spokojnie Mandżaro. - Ja tu poczekam, przyniesiesz rachunki, a potem pogadamy.

Dopiero teraz Maniś uzmysłowił sobie, jakie głupstwo strześlił. Dlaczego dał się ponieść ambicji? Przecież jeszcze przed chwilą był skłonny wyznać wszystko kolegom.

- W porządku - rzekł nieswoim głosem i w tej samej chwili powziął postanowienie. Wspiął się szybko na czwarte piętro, przeszedł na drugą stronę korytarza, gdzie w dół prowadziły zapasowe schody. Na wysokości trzeciego piętra były one całkowicie zerwane, tworząc w tym miejscu głęboką czeluść. Paragon znał jednak zejście po gzymsach i wyłomach muru. W dzień nie stanowiło ono dla chłopca trudności. Teraz, gdy panował mrok. Maniś musiał dobrze uważać, by nie pośliznąć się i nie spaść na sterczący na dole betonowy podest.

Zsuwał się wolno, ostrożnie, jak czujny kot. Gdy nogami dosięgnął podestu, odsapnął z ulgą. Pomyślał o Mandżaro, który czekał na niego po drugiej stronie korytarza. „Czekaj, bracie, będziesz miał pieniądze!”

Szybko zbiegł na podwórze, przemknął przez bramę i biegiem pognął na Okopową.

Wawrzusiakowie mieszkali w parterowym domku otoczonym małym ogródkiem, ukrytym wśród dwóch skrzydeł wielkiej kamienicy. Maniuś zatrzymał się przy płocie, zagwizdał na palcach.

Po chwili drzwi zaskrzypiały i w ogródku ukazał się jakiś cień.

- Julek! - zawołał Paragon. Królewicz zbliżył się do płotu.

- To ty, Paragon? Namyśliłeś się?

- Muszę mieć te pieniądze. Królewicz skinął głową.

- Chodź do środka. Jest Romek. Pogadamy.

W pokoju zastali starszego Wawrzusiaka. Stał przed lustrem z namydloną twarzą. Golił się.

- To Paragon - przedstawił Maniusia Julek.

Romek Wawrzusiak odwrócił namydloną twarz. Ciemne oczy i opalona cera odbijały od białej piany.

- Słyszałem, że jesteś w kłopotcie - zwrócił się do Paragona.

- Różnie bywa - uśmiechnął się cierpko. - Potrzebna mi gotówka. Oddam za kilka dni.

- Po co masz oddawać? Zresztą skąd zarobisz?

- Uzbieram, jak się będę starał.

- Cwaniak z ciebie, hm? Jak się dobrze zastanowisz, to dostaniesz. - Uniósł maszynkę do golenia i przejechał po policzku, zostawiając wśród gęstej piany ciemną pręgę.

Królewicz klepnął Maniusia w plecy.

- Siadaj! Co masz taką bojową minę? Mówiłem już z Romkiem - wskazał ruchem głowy na brata.

- Da się zrobić, tylko... no wiesz... potrzeba nam dobrego skrzydłowego. Dostaniesz forszę i wszyscy będziemy zadowoleni.

Maniuś spojrzał na niego prawie nienawistnie.

- A bez tego... bez tego nie pożyczysz? Romek roześmiał się głośno.

- Cwaniak jesteś. Podobasz mi się, tylko kto ci dzisiaj prawie dwie stowy na gębę pożyczysz?

- Czego się boisz - wtrącił Królewicz. - Nawet w ligowych drużynach gracze zmieniają klubowe barwy.

Maniuś skurczył się jak pod uderzeniem. Czas naglił. Mandżaro czeka na pieniądze. Wawrzusiakowie nalegają, a w nim coś skowyczy z żalu.

- Dobrze - wyszeptał tak cicho, że ledwie sam dosłyszał. Królewiczowi rozjaśniły się oczy. Romek znieruchomiał na chwilę. Maniuś wbił wzrok w podłogę i aż do bólu zaciskał zęby.

- Daj mu, Romek - odezwał się Królewicz.

- Zaraz, zaraz - uśmiechnął się tamten do lustra. - Najpierw musi podpisać zgłoszenie. Weź papier, to ci podyktuję.

- Po co to? - zachnął się Maniuś.

- Nie denerwuj się, to tylko formalność. Podpiszesz i dostaniesz gotówkę. Pisz, Julek. Jak się nazywasz? - zwrócił się do Paragona. A gdy ten podał swe nazwisko ciągnął dalej: *JA, MARIAN Tkaczyk, zgłaszam się dobrowolnie do Klubu Sportowego „HURAGAN” I ZOBOWIĄZUJĘ SIĘ GRAĆ W NIM do końca roku. A teraz podpisz* - skinął na Maniusia.

Gdy podpisywał, ręka mu drgnęła i na papierze pozostał wielki kleks. Królewicz szybkim ruchem wydarł mu kartkę. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Coś się tak zastanawiał? Będziemy mieli silną pakę. Zobaczysz, że wygramy turniej.

Maniuś nic nie odpowiedział. Czekał na pieniądze. Gdy mu starszy Wawrzusiak wyliczył żadaną

sumę, schował pieniądze do kieszeni.

- Już muszę iść. Ciotka na mnie czeka - usprawiedliwił się.

- A jeśli będziesz chciał coś zarobić - powiedział Romek - to przychodź do nas. U nas zawsze znajdzie się robota.

Królewicz odprowadził go do sieni.

- Pamiętaj, jutro o dziesiątej trening - przypomniał mu, gdy się żegnali.

- Dobrze, dobrze - wyszeptał Maniūs bezwiednie i ruszył biegiem. Zatrzymał się dopiero przed Gołębnikiem. Przystanął na chwilę, żeby nieco odsapnąć, potem wbiegł na drugie piętro. Schwycił pręt i uderzył lekko o szynę.

Mandżaro wyszedł już rozebrany. Spod krótkiej koszuli wystawały opalone nogi.

- Człowieku, coś ty tak długo robił? Rozpłynąłeś się czy co, do diabła? Ja tu czekam i czekam...

- To nieważne - przerwał mu sucho Maniūs. - Masz tu forszę, kwity i rozliczenie.

- Przecież mogłeś przynieść rano.

- Powiedziałem, że dziś, to dziś. Mandżaro przyjrzał mu się uważnie.

- Bracie, coś ty taki dziwny?

- A nic. Masz kasę - krzyknął niemal Maniūs - ja już nie będę skarbnikiem!

Mandżaro schwycił go za ramię, ale Maniūs odepchnął jego rękę.

- Co ci się stało?

- Nic. Zresztą, co cię to obchodzi!

- Czyś ty chory?

- Nie. I nie martw się o mnie. Ja sobie dam radę.

To powiedziawszy odwrócił się i ruszył na górę. Gdy był już na trzecim piętrze, usłyszał głos Mandżaro:

- Maniūs, słuchaj, zapomniałem ci powiedzieć. Ciotkę zabrali do szpitala. Chłopiec zatrzymał się nagle, jakby mu zabrakło sił. Ogarnęła go taka gorycz, tak bolesny żal, że czuł jak wielkie, gorące łyżki pęcznią mu pod powiekami. Ścisnął dłońią drewnianą, wyslizganą poręcz, aż do bólu. Stał długo, nie śmiąc się ruszyć. Dopiero na odgłos kroków zerwał się spłoszony i pobiegł na górę. Klucz był pod wycieraczką. Otworzył drzwi, wszedł do środka. Nie zapalał nawet światła. Rzucił się na łóżko, ukrył twarz w spoconych dłoniach i długo, długo płakał.

ROZDZIAŁ V

Motor grał równo i ze świstem sunął przez zalaną słońcem ulicę. Stefanek pochylił się nad kierownicą. Przymrużonymi od prądu powietrza oczami śledził taśmę asfaltu. Był w doskonałym humorze. Cieszył się, że będzie mógł oznajmić chłopcom radosną nowinę.

Jechał na Górczewską i powtarzał w myśli: „Ale się moi chłopcy ucieszą... Ale się ucieszą!”

Gdy wprowadził swą „jawę” na boisko, zobaczył ze zdumieniem, że chłopcy zamiast kopać piłkę, zbili się w jednym kącie i rozprawiają o czymś z wielkim ożywieniem. W wianuszku rozczochranych głów kapitan drużyny Mandżaro i bramkarz Perełka skakali sobie do oczu.

- To twoja wina! - piał cienko Perełka. - To przez ciebie. Tyś zawsze taki ważny. Teraz, bracie, szukaj takiego lewoskrzydłowego.

Mandżaro stał z rękami w kieszeniach i z góry patrzył na małego bramkarza.

- A ja ci mówię, że on zrobił świństwo. Zgłośzę wniosek, żeby go wylać z drużyny.

- Ty byś wszystkich od razu wylewał!

- Będziemy głosowali.

- W nosie mam twoje głosowanie. Co nam z tego przyjdzie? W niedzielę mecz, a my bez Paragona.

Zacietrzewieni nie spostrzegli zbliżającego się do nich Stefanka.

- Co się stało, chłopcy?

Wszyscy zwrócili ku niemu głowy. Trwali chwilę w milczeniu, niepokojąco zażenowani. Pierwszy odezwał się Mandżaro:

- Paragona do „Huraganu” skaperowali, proszę pana.

- To jeszcze niepewne - wyskoczył Perełka.

- Niestety, pewne - powiedział ponuro Ignas Paradowski.

- Ja w to nie wierzę - piłkarz wypowiedział te słowa z taką mocą, że chłopcy zamilkli.

Stefanek wodził wzrokiem po ich zatroskanych twarzach. Chciał z nich wyczytać prawdę. Wiadomość tak go zaskoczyła, że nie mógł pozbierać rozproszonych myśli. „Czyżby to było możliwe, żeby Paragon przeszedł do »Huraganu«? Ten sam Paragon, który z takim poświęceniem bronił swego klubu, odnosił się do niego z takim przywiązaniem?”

Ignas Paradowski wykonał rozpaczliwy gest ręką.

- Szkoda gadać, proszę pana, Paragon podpisał do nich zgłoszenie.

- Jakie zgłoszenie?

- Ano... Julek Wawrzusiak pokazywał mi. Widziałem.

- Może tylko się chwalił - starał się bronić Perełka. - U nich wszystko możliwe.

- Jak Boga kocham, że widziałem - powiedział Ignas smutno.

- Najlepszy dowód, że nie przyszedł na trening - wtrącił Mandżaro.

- Bo mu ciotka zachorowała i leży w szpitalu - wyjaśnił Perełka, drasnąwszy kapitana złym spojrzeniem.

Stefanek uniósł do góry rękę.

- Uspokójcie się, chłopcy. Najlepiej będzie, jeśli z nim osobiście porozmawiamy. Trzeba

wszystko wyjaśnić. Jeżeli Paragon przeniósł się do „Huraganu”, tonie postąpił jak prawdziwy sportowiec. Ale jeżeli to jest nieprawda, to nie można go oskarżać. Po treningu pójdziemy do niego. A teraz... - powiódł po nich weselszym spojrzeniem - powiem wam radosną nowinę. „Polonia” zaopiekowała się wami... Uważamy, że wyrosńecie na dobrych piłkarzy. Podjąłem się zrobić z was dobrą, zdyscyplinowaną drużynę, a kierownik zgodził się na wszystko.

Wiadomość ta podziałała uspokajająco na wzburzonych piłkarzy, lecz nie wywołała takiego wrażenia, jakiego spodziewał się Stefanek. Posypały się pytania: Jak to będzie? Czy drużyna będzie należała do „Polonii”? Czy będą mieli tę samą nazwę?

Stefanek wyjaśnił spokojnie:

- Będziecie mieli nadal swoją „Syrenkę”, ale „Polonia” zaopiekuje się wami. Dostaniecie kostiumy, piłki, buty. Będziecie przychodzili na Konwiktorską na trening. A potem kto będzie pilnie trenował i dobrze się sprawował, zagra w przyszłości w drużynie juniorów.

- Hurrra! - zawołał Pająk podskakując na swych chudych nogach. - Ja, proszę pana, robię już dwadzieścia cztery „główki”!

Perełka westchnął żałośnie:

- Ech, szkoda, że nie ma Paragona. Ten by się dopiero ucieszył... Trener podniósł piłkę, odbił ją kilka razy o ziemię.

- A teraz do roboty, chłopcy. Musicie dobrze potrenować. W niedzielę przecież pierwszy mecz.

Nikt nie wiedział, co się stało z Paragonem. Kiedy po treningu przyszli do Gołębnika i cała niemal drużyna ze Stefankiem weszła na czwarte piętro, zastali drzwi zamknięte. Długo stukali myśląc, że im ktoś otworzy, ale w kamienicy odzywały się tylko głucho echa.

- Przecież mówiłem, że od rana nie ma go w domu - wyjaśnił Perełka. Trener miał zawiedzioną minę. Przypuszczał, że sprawę Paragona da się szybko wyjaśnić i odrzucić wszelkie podejrzenia.

- Trudno - rzekł - trzeba będzie poczekać do jutra. Niech ktoś z was przypilnuje go i powie mu, żeby do mnie przyszedł - zwrócił się do chłopców. - Chciałbym z nim porozmawiać.

- Może ja - zgłosił się na ochotnika Perełka. - To mój najlepszy kolega.

Uzgodnili więc, że Perełka postara się złapać Maniusia i przekazać mu wszystkie polecenia. Mały bramkarz na próżno jednak czekał na Paragona. Maniuś nie zjawił się tego dnia w Gołębniku.

Do późnego wieczora Perełka i Pająk siedzieli na schodach, zrywając się na każdy odgłos kroków dudniących w klatce schodowej. Dłużący się czas skracali sobie rozmową o nadchodzącym turnieju.

Studiowali wynik losowania szesnastu drużyn zgłoszonych do „Życia Warszawy”. Turniej miał być rozegrany systemem pucharowym. Wylosowano numery i według nich rozstawiono drużyny. Przegrywająca drużyna odpadała z turnieju. Wygrywająca przechodziła do następnej tury. Schemat rozgrywek, który pilnie studiowali obaj chłopcy, wyglądał następująco: „PIONIER” - Ochota „SZAROTKA” - MARYMONT „WARSZAWIANKA” - ŚRÓDMIEŚCIE „ZUCH” - SASKA KĘPA „STARÓWKA” - Stare MIASTO „AMBROZJANA” - PRAGA „ATOM” - WIERZBNO „KROKODYL” - OKĘCIE „TATRY” - Śródmieście „HURAGAN” - WOLA „WARTA” - ŻERAŃ „STOLICA” - GROCHÓW „ANTYLOPA” - MIRÓW „SYRENKA” - WOLA „POGOŃ” - PRAGA „RUCH” - WILANÓW Pająk z nieukrywanym zakłopotaniem przyglądał się schematowi.

- Nic z tego, bracie, nie kapuję - powiedział trąc dłonią policzek.

- Patrz - objaśniał mu Perełka - myśmy wylosowali czternastkę i będziemy grali z trzynastką, to znaczy z „Antylopą” z Mirowa. Jeżeli ten mecz wygramy, to wejdziemy do ćwierćfinału...

- I co? - zapytał Pająk wlepiwszy oczy w wykres.

- I będziemy grali ze zwycięzcą meczu „Pogoń” - „Ruch”. Przypuśćmy, że wygra „Pogoń”, więc będziemy grali z „Pogonią”.

- A jeśli wygramy z „Pogonią”?

- To wejdziemy do półfinału i tu możemy spotkać się z „Huraganem”, jeśli oni wygrają dwa mecze, rozumiesz?

- Ach, tak - uśmiechnął się Pająk. Jego jajowata głowa pochyliła się nad kartką. - A która drużyna będzie najsilniejsza?

- A, bracie, cała rzecz w tym, że nikt tego nie wie. To przecież pierwszy turniej. Każda drużyna myśli, że wejdzie do finału. Wyobrażasz sobie, jaka będzie walka?

- To klawo - wyszeptał Pająk.

- Nie tak klawo, bratku, bo my wystąpimy w osłabionym składzie, bez Paragona i Puchały. Atak to była nasza najsilniejsza linia. A teraz co? Na miejscu Puchały gra Felek Ringer. Można powiedzieć: do luftu. A na lewym skrzydle zamiast Paragona rezerwowego bramkarz, Oleś Kołpik. Ciekawy jestem, co będzie, jeśli mnie sfaulują. Skrzydłowy będzie musiał pójść na bramkę.

Pająk wytrzeszczył swe wodnistoniebieskie oczy.

- To znaczy nieklawo. A co będzie, jak przegramy?

- Może nie przegramy. W każdym razie nie jest różowo.

- Oj, nie! - westchnął Pająk. Perełka zerknął przez poręcz na schody.

- Ej, bracie, gdyby tak ten Paragon przyszedł. Mówię ci, że jak myślę o nim, to mi się chce płakać. Ale zrobił kawał, co?

Pająk zamrugał bezrzęsymi powiekami.

- Ty myślisz, że oni go naprawdę skaperowali?

- Chciałbym nie myśleć, ale co? Przecież Ignas przysięga, że widział zgłoszenie. Czarne na białym, braciszku.

- Ale dzisiaj nie był u nich na treningu.

- No właśnie. - Perełka zamyślił się na chwilę, potem powiedział szeptem: - To jest jakaś tajemnicza sprawa.

W tej chwili obaj zerwali się. Na dole zadudniły czyjeś kroki.

- Może to on - wyszeptał Pająk z odcieniem nadziei.

- Może.

Stali w milczeniu, nasłuchując i wpatrując się w czeluść windy, za którą widać było zygzak wspinających się do góry schodów. Naraz Perełka trącił mocno Pajaka.

- Te, widzisz, kto idzie?

- Królewicz - wyszeptał ze zdumieniem Pająk.

Czekali jeszcze chwilę, wreszcie na podeście trzeciego piętra ukazały się w półmroku dwie postacie. Królewicz nie był sam. Szedł ze swoim starszym bratem. Gdy zobaczyli dwóch „Gołębiarzy”, zatrzymali się nagle.

- Ty do Maniusia? - zapytał Perełka patrząc na Królewicza nienawistnie zmrużonymi oczami.

- Na spacer idę, nie widzisz? - rzucił kpiąco młodszy Wawrzusiak i ruszył odpychając małego bramkarza.

Ten przytrzymał się kurczowo poręczy.

- Toś źle trafił - powiedział napiętym ze złości głosem. - Nie ma go w domu. Nie wrócił jeszcze.

Królewicz uśmiechnął się kpiąco.

- Zobaczymy - skinął na starszego brata i wolno, z godnością ruszyli dalej schodami na górę.

Chłopcy patrzyli za nimi z wzrastającym zdziwieniem.

- Widzisz - szepnął Pająk - w tym coś musi być. Przyszli po niego.

- Może go dopiero kaperują?

- Może - odparł Pająk z odcieniem nadziei w głosie.

Tymczasem na górze zatrzeszczał pomost i rozległo się głośnie pukanie. Po chwili pukanie powtórzyło się, jeszcze głośniejsze i natarczywsze. Wreszcie odezwał się głos Romka Wawrzusiaka:

- Nie ma szczeniaka, szkoda czekać.

Gdy schodzili, dwaj mali chłopcy rozsunęli się, by ich przepuścić. Starszy Wawrzusiak zatrzymał się na chwilę. Chwycił Perełkę za ramię, przyciągnął go do siebie.

- Powiedz mu - wycedził - żeśmy tu u niego byli i drugi raz już nie przyjdziemy. I że... - tu głos jego przeszedł w syczący szept - że ja mu radzę, żeby jak najszybciej do nas się zgłosił, bo wie dobrze, że z nami nie ma żartów.

Perełka skulił się pod spojrzeniem ciemnych, iskrzących się złością oczu. Pomyślał, że Maniuś jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Wawrzusiakowie zeszli już na dół. Odgłos ich kroków utonął w wielkiej, dzwoniącej ciszy, ale chłopcy długą chwilę milczeli. Wreszcie Perełka ocknął się.

- To ci dopiero heca! - powiedział poważnie.

Pająk usiadł na schodach. Ogarnął rękami chude, kościste kolana, oparł o nie brodę i rzekł, jakby do siebie:

- To poważna rzecz. Musimy czekać na Paragona. Czekali długo, ale na próżno.

Maniuś spał nerwowo. Rzuczał się, wykrzykiwał coś niewyraźnie, łkał cicho. Napadły go niedobre, niepokojące sny, które rwały się, ginęły i znów powracały z jakiejś niewymiernej, bezkresnej czeluści. Najpierw śniło mu się, że jest na boisku „Syrenki”. Chłopcy z Gołębnika grają w piłkę. On stoi na boku i patrzy na nich z zazdrością. Gdy tylko chce podbiegnąć i kopnąć piłkę, staje przed nim któryś z kolegów i z pogardą mówi: „Zdrajca”.

Potem sen nagle się zmienia. Zamiast kolegów zjawia się Stefanek. Ma na sobie sportowy dres, jakby wrócił niedawno z treningu. Maniuś chce się do niego zbliżyć, ale gdy tylko odległość zmniejsza się do kilku kroków, postać Stefanka znika i ukazuje się w innym miejscu. Maniuś woła płaczkliwym głosem: „Proszę pana! Proszę pana...”

- Panie Wacku! Panie Wacku! - załkał chłopiec, zerwał się i usiadł. Przez chwilę wodził wokół nieprzytomnymi oczami. Nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Dopiero, gdy pierzchły resztki dręczącego snu, przypomniał sobie, że wczoraj zakopał się w stogu słomy, na polach, między Saską Kępą a Grochowem. Dlaczego właśnie tutaj szukał schronienia, nie wiedział. Pamiętał jedynie, że był straszliwie znużony całodzienną włóczęgą i ledwo dowłókł się do stogu.

Potem powoli zaczął sobie uprzytamniać, w jakiej znalazł się sytuacji.

Kiedy obudził się rano poprzedniego dnia, był sam w mieszkaniu na Górczewskiej. Pokój był pusty, niesprzątnięty. Leżał nierozebrany na łóżku. Uświadomił sobie, że ciotka Frania jest w szpitalu. Nie płakał, tylko stał długo przy zakurzoną oknie i patrzył na ślepy mur zburzonej kamienicy. Było mu strasznie ciężko. A gdy przypomniał sobie, że wieczorem podpisał zgłoszenie do „Huraganu”, łzy zaczęły spływać bezwolnie po brudnych, umorusanych policzkach. Zrozumiał, że nie może pokazać się kolegom z „Syrenki”. Nie zniósłby pełnego wyższości i pogardy spojrzenia

Mandżaro, nie mógłby popatrzeć w oczy uczciwemu Perelce ani przemówić do ambitnego Pająka.

Co robić? Grać w „Huraganie”? Na samą myśl o tym wstrząsnął nim dreszcz. Nie, tego nigdy nie zrobi. Tadek Puchalski mógł się na to zgodzić, bo to szmaciarz, niemający ani krzty ambicji, ale on, Paragon, lewo skrzydłowy „Syrenki” i podpora całej drużyny, wolałby umrzeć niż tak się zhańbić.

Co robić? Co robić?

Wyjął z kredensu kawałek suchego chleba, wsadził go w kieszeń i wyszedł. Spuścił się bocznymi schodami, żeby go nikt nie zauważył. Było jeszcze bardzo wcześnie. Gołębnik tonął w porannej ciszy. Gdzieś daleko wyły fabryczne syreny. Przemknął się przez puste, zaśmiecone podwórze, minął bramę i znalazł się na ulicy. Myśl, że może spotkać kolegów, gnała go coraz dalej. Jako skrupulatny zbieracz butelek, nie zapomniał jednak o baraku. Tym razem plon był skąpy. Dwie „ćwiartki”, jak dwie biedne sieroty, stały na gzymsie skromne i jakby zawstydzone.

„Jak pech, to pech” - pomyślał. Wałęsał się wśród wysypisk i śmietników. Wstyd mu było pójść do panny Kazi z dwiema „ćwiartkami”. Znalazł jeszcze trzy butelki po winie, wypłukał je pod studnią - i z tą zdobyczą udał się do sklepu.

Nie uśmiechnął się do ekspedientki. Okłamała go wczoraj, nie chciała mu pożyczyć pieniędzy, to niech wie, że Paragon jest honorowy. Nie będzie się mizdrzył. Załatwi sprawę urzędowo i pożegna sklep chłodno, jak obojętny na wszystko interesant.

Do pani Wawrzynek i do mistrza Sosenki czuł jeszcze większą urazę. Postanowił nie zaszczyścić ich swymi odwiedzinami. Wypił w barze mlecznym mleko, zagryzł suchym chlebem, a za resztę pieniędzy kupił torebkę cukierków.

„To będzie dla cioci” - myślał. Z kartki, którą ciotka zostawiła na stole, dowiedział się, że zabrano chorą do szpitala na Płocką. Długo czekał, zanim jakaś litościwa pielęgniarka zaprowadziła go do wielkiej sali; pełnej mdlącego zapachu lekarstw. Ciotka przyjęła go z radosnym zdumieniem i zakłopotaniem.

- Co ty teraz, biedaku, będziesz beze mnie robił? Takie nieszczęście, takie nieszczęście! - powtórzyła kilka razy.

- Niech się ciotunia nie martwi - pocieszał ją uśmiechając się niemrawo. - Dam sobie radę.

- Prosiłam panią Zahorską, żeby się tobą zaopiekowała. W kredensie jest jeszcze kasza, mąka, cukier. Za oknem kawałek mięsa... Tylko żeby się nie zepsuło. Pani Zahorską ugotuje ci... I paczka kawy jest na półce za piecem...

Maniuś nie słuchał tych troskliwych poleceń. Wiedział, że nie wróci na Górczewską.

- Eeee... tam - uśmiechnął się, jakby w ten sposób chciał pocieszyć chorą. - Ja nie zginę, niech się ciotunia nie martwi.

Gdy wręczył jej torebkę z cukierkami, rozczuliła się.

- Mój Boże - wyszeptała dławiąc płacz - taki dobry z ciebie chłopak, a ja ci te pieniądze zabrałam. Ale nie wiedziałam, Maniuś, Bóg mi świadkiem, myślałam, że to twoje.

- Eee... - przerwał jej - głupstwo, ciotuniu. Niech tylko ciotunia wyzdrowieje, bo to musi być strasznie nudno leżeć w tym szpitalu. - Rozejrzał się po sali i rzędach białych łóżek, po bladych, naznaczonych cierpieniem twarzach i westchnął żałośnie: - Fakt, że tu nie lokal rozrywkowy...

- Niech cię Pan Bóg strzeże - pogładziła go po brudnym policzku. - I pamiętaj, że kawa jest na półce za piecem.

Przyrzekł, że wpadnie do niej wkrótce. Wśród błogosławieństw chorej kobiety wyszedł z sali szpitalnej.

Cały dzień włóczył się nad Wisłą. Przyglądał się piaskarzom usypującym mozolnie przymy złotego piasku. Patrzył, jak kolej elektryczna z łoskotem przebiega przez most Średnicowy. Zawędrował aż na Saską Kępę, gdzie wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego rozłożyły się barwne przystanie. Leżał wśród wiklin, ręce założył pod głowę i spod opuszczonych powiek śledził białe trójkątki żagli, przesuwane jak skrawki papieru po miedzianej od słońca tafli rzeki.

Gdy poczuł głód, przelazł przez kolczasty płot na ludną plażę miejską, gdzie spodziewał się znaleźć kilka butelek. Nie szukał długo. W krzakach znalazł kilka „ćwiartek”, a na plaży patentowe butelki po lemoniadzie i piwie.

„Jakoś to będzie - pomyślał, oddając je w sklepie spożywczym. - Dobrzy ludzie zostawiają flaszki na plaży, dbają o to, żeby były handlowe obroty”.

Pokrzepiony tą myślą, wszedł znów do baru mlecznego. Duża bułka i kubek mleka posiliły go na tyle, że przez całe popołudnie wałęsał się nad Wisłą. Dopiero, gdy nadszedł wieczór, a tafla wody zmatowiała, ogarnęło go wielkie zmęczenie. Wtedy właśnie bocznymi ulicami Saskiej Kępy wy dostał się na pola i znalazł stóg zeszłorocznej słomy.

Palcami wyczesywał z włosów źdźbła słomy. Przez mały otwór wyżłobiony w stogu patrzył na zamglone pola. Deszcz monotonnie bębnił i szumiał, przysłaniając szarą zasłoną dalekie dachy miasta. W powietrzu wisiała wilgoć przenikająca aż do wnętrza stogu. Maniś rzucił się w wygrzane legowisko i przymknął oczy.

Powrócił w myślach na Górczewską, do Gołębnika. Przypomnił sobie, że jutro rozpoczyna się turniej. Jutro „Syrenka” zagra pierwszy mecz, a on nie stanie na lewym skrzydle ataku. Im dłużej myślał, tym większy ogarniał go smutek. Monotonny szum deszczu spletał się z jego myślami, wszystko wydawało mu się nagle smętne, pozbawione sensu.

Nie wiadomo, jak długo leżałby w stogu, gdyby nie głód, który odezwał się burczeniem w brzuchu. Wyczołgał się z dziury, oczyścił ubranie ze słomy, a potem, skuliwszy się poszedł w kierunku przystani.

Było zimno. Zmoczona koszula kleiła się do ciała. W rozczłapanych trampkach bulgotała woda. W taki dzień nie było widoków na beztroską włóczęgę. Usiadł pod daszkiem hangaru kajakowego i tępy wzrokiem śledził przejeżdżający właśnie statek.

„Ech, gdyby tak być teraz na tym statku i popłynąć daleko, daleko, hen do morza...” - myślał drżąc z zimna.

Naraz zobaczył, że ktoś skrada się do hangaru. Był to chłopiec jego wzrostu, chudy, przygarbiony, ubrany tak jak on w niezbyt eleganckie łachy. Na koszulę narzuconą miał podartą wiatrówkę. Gdy zobaczył Maniusia, przystanął, chciał się wycofać, ale nie spostrzegłszy z jego strony wrogich zamiarów, kilkoma susami skrył się pod daszkiem.

- Ty też po kajak? - zapytał patrząc nieufnie na Paragona.

- Ja?... - zdziwił się Maniś. - Ja legalnie czekam, aż się warunki atmosferyczne zmienią.

- Eeee... - w głosie chłopca zadźwięczała nuta rozczarowania. - Myślałem, że po kajak. Ja to, bracie, zawsze przychodzę, jak deszcz pada. Można ściągnąć kajak na wodę i popływać trochę. Wiosła mam schowane w krzakach...

W oczach Maniusia pojawiło się zainteresowanie. „To musi być jakiś morowy pętaś, skoro ma takie pomysły” - pomyślał. Przyjrzał mu się dokładnie. Zauważył, że był garbaty, a spod starej czapki wymykały się rude kosmyki włosów.

- Na taką pogodę nie warto - powiedział splunawszy. - Reumatyzmu można dostać. - Po chwili

zagadnął szybko: - Toś ty, bracie, kajakowiec, co?

- A jakżeś myślał? - odrzekł z dumą rudy chłopiec. - A ty?

- Ja też jestem sportowcem, piłkarzem, bracie. To przynajmniej morowy sport. Jak się nazywasz?

- Milek. A ty?

- Maniek, ale w klubie nazywają mnie Paragon. Milek parsknął śmiechem.

- Paragon? To strasznie śmieszne! Maniuś wydał wargi.

- To wcale nie śmieszne. Kiedyś w szkole pani pytała mnie z rachunków.” Wchodzisz do sklepu i prosisz o dwie bułki po osiemdziesiąt groszy, dajesz kasjerce dwa złote, ile kasjerka wyda ci reszty?” A ja na to: „Proszę pani, kasjerka wyda mi paragon”. No i od tego czasu nazywają mnie Paragon. Morowo, co?

- Morowo - Milek uśmiechnął się przyjaźnie.

- Z tymi przezwiskami różnie bywa - ciągnął poważnie Maniuś. - Mamy w drużynie takiego chłopca, co się nazywa Boguś Albinowski. Bramkarz, bracie. Wszyscy wołali na niego Boguś. Ale raz, bracie, jego ojciec się zalał i wołał na niego „Perełko moja najdroższa!” Od tego czasu nikt nie powie na niego inaczej jak Perełka.

- A mnie nazywają Rudy Milek - wtrącił z zażenowaniem amator kajakarstwa.

- No tak, to rzecz naturalna, bo z ciebie legalny rudzielec, bracie.

Rudy Milek uśmiechnął się kwaśno. Widocznie nie lubił swego przydomka. Chwilę patrzył na Maniusia. Potem nagle ożywił się.

- Te - szepnął - tyś widać morowy chłopak, może byśmy zorganizowali razem podróż?

Maniuś świsnął przez zęby.

- Niezła rzecz, tylko dokąd, człowieku?

- Weźmiemy kajak i popłyniemy do morza, a potem może nam się uda dostać na jakiś okręt. Ja czytałem książkę... O takich dwóch chłopcach, którzy zamelinowali się na statku angielskim i popłynęli na Madagaskar...

Maniuś fachowo strzyknął śliną przez zęby.

- Dobra rzecz - powiedział przeciągle - tylko nie teraz. Teraz mam ważniejsze sprawy, turniej, mój bracie.

- Turniej „dzikich” drużyn? Będziesz grał?

Pytanie to zbiło nieco z tropu dzielnego lewoskrzydłowego „Syrenki”. Długo się namyślał, wreszcie wypalił:

- To, bracie, najgorsze, że mogę grać, a właściwie nie mogę - i w barwnych słowach opowiedział Rudemu Milkowi swoją tragedię.

Milek słuchał z otwartymi ustami. Zdawało mu się, że ktoś opowiada mu o pełnej przygodzie książce. A gdy Maniuś zakończył słowami: „Tak już jest, bracie. Życie nie jest kolorowym filmem” - zawołał dygocąc z podniecenia:

- Nie przejmuj się! Jakoś damy sobie radę. Maniuś przyjął ten okrzyk bardzo chłodno.

- Łatwo ci tak mówić. Jutro pierwszy mecz. Nasi chłopcy będą się męczyć, a ja co? Mówię ci, że jak o tym myślę, to mi się legalnie nie chce żyć. - W jego słowach było tyle gorczy, że obaj na chwilę zamilkli.

Deszcz bębnił o daszek hangaru. Drobnutkie krople rozpryskiwały się na srebrzystą mgiełkę, za którą sunęła mętna, ziemista rzeka. Na wodzie przy brzegu ścigały się bańki. Gdzieś daleko we mgle tkwiło czółno rybackie, a jeszcze dalej widać było zamazaną linię lewego brzegu Wisły.

- I co teraz zrobisz? - zapytał Rudy Milek. Maniuś z rezygnacją uniósł ramiona.

- A bo ja wiem...

Milek chwycił go za ramiona.

- Słuchaj, nie martw się. Pójdiesz do mnie. Powiem dziadkowi, żeś mój kolega.

- Niezła myśl - Paragon jakoś łaskawiej spojrział na Rudego Milka. - Trudności mieszkaniowe rozwiązane, ale co będzie z wyżywieniem? Ja nie chcę za darmochę.

- To głupstwo. Ja też, bratku, zarabiam. Po południu sprzedaję „Express”.

- O! - zdziwił się Maniuś. - Ciekawe, ile na tym można zarobić.

- Jak polecą. „Express” kosztuje pięćdziesiąt groszy. Ale porządni goście nie dadzą ci mniej jak złocisz. A jak facet podchmielony, to i piątaka wyjmie. Niezły interes.

Maniuś przeciągłym gwizdnięciem zaznaczył swe zadowolenie.

- To znaczy, że będziemy pracować w propagandzie.

„Ekspress Wieczorny”!... „Expreee... Wieee!...” Maniuś w mig podchwycił melodię okrzyku zachęcającego do kupna gazety. Dzięki wrodzonej inteligencji i sprytowi ulicznika szybko opanował nieskomplikowane umiejętności warszawskich „majdaniarzy”. Fach ten wymagał dużej siły głosu, umiejętności wyboru rejonu i stosownego podejścia do kupującego. Krótko mówiąc, należało krzyczeć głośno i melodyjnie, wiedzieć, gdzie sprzedawać gazetę i komu ją podsunąć. Maciusiowi, mającemu żyłkę handlarską, nie przyszło to trudno. Już po pierwszym rejsie przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście prześcignął w tych umiejętnościach Rudego Milka.

- Mamy jedną kasę - powiedział Paragon przed wyruszeniem na miasto. - Jak zrobimy saldo, to podzielimy się równo.

Rudy Milek początkowo nie chciał się na to zgodzić, bojąc się, że straci, ale gdy zobaczył Paragona w akcji, zrozumiał, że zarobki jego wzrosną. Paragon przeciwnie: widząc, że Milek niezbyt fachowo podchodzi do sprawy, zrozumiał, że na tej spółce nie wyjdzie najlepiej. Nie wypadało jednak się wycofać. Trudno, Rudy Milek wciągnął go do pracy, więc trzeba być solidarnym.

- ”Expreeess Wieczooo... Expreeess”... - woła Paragon wymachując białą płachtą gazety przed oczami przechodniów. - Najświeższe wiadomooo!... Sensacyjne wiadomooo... Expreeess!

Zobaczył wielkie szyby eleganckiej kawiarni. Pchnął drzwi i wpadł z okrzykiem do hallu.

- Cicho będziesz, ty szczeniaku! - zatrzymał go szatniarz, tkwiący wśród nagich o tej porze roku wieszaków. - Wynoś mi się, bo cię przepędzę!

Maniuś nie zraził się tym przywitaniem. Wyciągnawszy z pliku gazet pachnący świeżą farbą egzemplarz, wywijał nim jak proporcem.

- Dla szanownego pana najciekawsze wiadomości sportowe. Wielkie zwycięstwo Sidły... Chromik bije rekord Polski! „Polonia” znowu przegrywa! Sto tysięcy złotych wygrane w „Totka” przez oseska z Katowic.

Szatniarz, oszołomiony potokiem sensacyjnych wiadomości, skinął na chłopca i wyciągnął z szuflady złotówkę.

- Dawaj - powiedział udobruchany.

- Dla pana szefa gratis, egzemplarz okazowy - mrugnął Maniuś porozumiewawczo i położył przed szatniarzem gazetę. Stracił pięćdziesiąt groszy, ale wiedział, że mu się to opłaci. W kawiarni siedzi najlepsza klientela, która z nadwyżką wyrówna poniesioną stratę. A zjednanie sobie szatniarza to pierwszy warunek pomyślnych obrotów w przyszłości.

Paragon wpadł do obszernej sali kawiarnianej zapchanej do ostatniego miejsca. Wydał swój

propagandowy okrzyk i zbliżył się do samotnie siedzącej, elegancko ubranej pani.

- Najnowsze wiadomości towarzyskie - szepnął niemal intymnie. - Przepis na niezawodną urodę... Reportaż z Paryża: „Jak ubiera się księżna Monaco?” - podsunął gazetę. W zamian otrzymał dwuzłotowy papierek i dziękczynny uśmiech.

Teraz wzrok jego padł na łysawego pana bębniącego z nudów kościstymi palcami w szklany blat kawiarnianego stolika.

- Sensacyjne zniknięcie kasjerki w Białymstoku - szepnął panu do ucha. - Rewelacja doby atomowej, rekord światowy amerykańskiego odrzutowca!...

Tym razem otrzymał tylko złotówkę, ale niezrażony, przeciskał się coraz głębiej w szumiący tłum. Gdy ujrzał przy stoliku młodą parę, inaczej zareklamował gazetę:

- Rock and roli, najnowszy taniec szaleje w Ameryce. Łamanie krzeseł na sali tanecznej. „Świat tylko dla zakochanych” - najnowsza powieść w odcinkach...

Tym razem oddalił się z pięciozłotówką w kieszeni. Krążył tak między stolikami, zabawiając ludzi fantazją i humorem. Gruby plik gazet topniał pod jego ramieniem, a kieszeń w podartych spodniach wypełniała się bilonem i szeleszczącymi papierkami. Gdy był już na drugim końcu sali, zauważył znajomą twarz. Szperał przez chwilę w pamięci i nagle przypomniał sobie: to był redaktor „Życia Warszawy” Chudyński.

- Uszanowanie, panie redaktorze! - przywitał go. - Czy raczy pan „Expresiaka”? To wprawdzie gazeta konkurencyjna, ale...

Dziennikarz na widok chłopca zerwał się.

- Czekaj! - zawołał. - Ja cię przecież znam. Ty jesteś z klubu „Syrenka”.

- Jakby pan zgadł, panie redaktorze - mruknął Paragon i obdarzył dziennikarza najmiłym uśmiechem, na jaki było go stać.

- Ty się nazywasz Paragon?

- Zgadza się, panie redaktorze!

- Siadaj - chwycił chłopca za ramię i usadowił obok siebie. Przyjrzał mu się uważnie, marszcząc krzaczaste brwi. - Co ty, smyku, wyrabiasz? - zapytał nagle.

- Ja?... - zdumiał się chłopiec. - Ja... jak pan redaktor widzi, pracuję teraz w propagandzie.

Pełna, dobrodusza twarz dziennikarza stężała.

- Dlaczego uciekłeś?

- Ja?... - Z twarzy chłopca znikł łobuzerski uśmieszek.

- Nie wykręcaj się, mów prawdę.

- Okoliczności, panie redaktorze.

- Wszyscy martwią się o ciebie. Stefanek był dzisiaj u mnie. Prosił, żebym dał w „Życiu” ogłoszenie. Chłopcy szukają cię po całej Warszawie, a ty gazety sprzedajesz.

- Trzeba zarabiać na szanowne utrzymanie. Redaktor ścisnął chłopcu mocno rękę.

- Ja ci radzę, wracaj do domu. Po co ta heca? Chłopiec zamyślił się.

- Nie da rady, panie redaktorze - powiedział wolno, trąc brudny policzek.

- U was wielkie zmiany. „Polonia” zaopiekowała się waszą drużyną! Chłopcy trenują już na Konwiktorskiej. Mają nowe kostiumy... - Redaktor przyglądał mu się badawczo. Widział, jak chłopiec chłonie każdą wiadomość o swej drużynie. - Teraz będzie u was inaczej. A ty co, chcesz się włóczyć jak bezdomny pies?

Maniś skrzywił się płacząco.

- No nie... mam już mieszkanie u kolegi.

- A dlaczego nie chcesz wracać?

- Nie mogę, panie redaktorze - powiedział gorzko, jak dorosły znękaný człowiek.

- Ja ci radzę, wróć do domu - powtórzył dziennikarz i uwolnił rękę chłopca z uścisku.

Maniuś uklonił się, szurnął nogami i odszedł bez słowa. Wychodząc z kawiarni, miał uczucie, że zaprzepaścił nadarzającą się okazję. Może trzeba było powiedzieć o wszystkim redaktorowi? Może lepiej było posłuchać jego rady i wrócić na Górczewską? Spotkanie z Chudynskim zmąciło jego trzeźwy pogląd na sprawę sprzedawania gazet, wytrąciło go z równowagi, a jednocześnie jeszcze boleśniej przypomniało o „Syrence”, kolegach, turnieju i jutrzejszym meczu. Bał się jednak wracać do domu. Nie mógł znieść poniżenia, które go czekało.

„Ha, trudno - pomyślał - takie już życie”. - I jeszcze głośniejszym głosem zawołał: - „Expreeess... Wieczooo...” Najnowsze, sensacyjne wiadomości...

Szybko pozbył się ostatnich egzemplarzy gazet, pomógł jeszcze Rudemu Milkowi, a gdy skończyli swój pierwszy wspólny rejs i obliczyli kasę, okazało się, że zarobili po dwadzieścia cztery złote.

- Niezły interes, bracie - skwitował wesoło Maniuś. - Można żyć.

Było to jednak stwierdzenie, które nie rozwiało przygnębienia małego piłkarza. Wracając do Rudego Milka, Maniuś stale myślał o tym, co dzieje się na Górczewskiej w Gołębniku.

Zerwał się dziwnie rozgorączkowany. „To już dzisiaj zaczyna się turniej” - pomyślał i zaczął się szybko ubierać. Stwierdził, że jego garderoba po wczorajszym deszczu jest w opłakanym stanie. Welwetowe spodnie zmięte jak szmata, koszula brudna i nieuprasowana, trampki niemiłosiernie zabłocone. „Jak ja pójdę w takich łachach?” - medytował spoglądając żałośnie na swe ubranie.

Rudy Milek spał jeszcze, rozruciwszy szeroko ręce, jak gdyby chciał nimi ogarnąć cały stryszek, który służył im za sypialnię. Liche to było miejsce noclegowe. Przez gonty w dachu przeświecało wypogodzone niebo. Trochę przegniłej, zleżalej słomy rozrzuconej w kącie stryszku, między starym, zardzewiałym piecykiem a kupą żelastwa, stanowiło legowisko. Dwa dziurawe koce służyły za okrycie. Maniuś nie zastanawiał się nad tym. Miał większe zmartwienie.

- Ty - zawołał trącając Milka - czy nie macie tu gdzie żelazka? Milek ocknął się.

- Zapytaj dziadka, może jest na dole.

Istotnie, żelazko znalazło się na dole. Dziadek zajmował małą kłitkę, w której stało drewniane wyrko i maleńki piecyk, a prócz tego po kątach walało się mnóstwo starych butów, łachów, skrawków skóry, butelek i żelastwa. Stanowiły one skarb zasuszonego, głuchawego dziadka, handlarza starzyzną.

Maniuś włączył żelazko i zabrał się do prasowania.

Dziadek mruczał:

- Tylko uważaj, gagatku, żebyś mi chałupy nie spalił... Ech... niedziela...niedziela... można się wyleżeć, wyspać... A ty, co się tak rychtujesz?

- Mecz mamy - wyjaśnił krótko chłopiec, nie mając ochoty na dalszą rozmowę.

Wyprasował spodnie, koszulę, wyczyścił trampki... jak na wielką uroczystość. Gdy był już gotów, zajrzał jeszcze na stryszek.

- Jeżeli chcesz ze mną iść, to zbieraj się! - zawołał na Milka.

Po drodze kupili w kiosku „Życie Warszawy”. Maniuś szukał w gazecie najświeższych wiadomości o turnieju. W rubryce sportowej znalazł schemat rozgrywek i terminy meczów.

- Gramy z „Antylopą” dzisiaj o jedenastej - poinformował Rudego Milka.

Ten nie przejawiał zbyt dużego zainteresowania turniejem. Szedł z Paragonem dla towarzystwa. Jego marzenia obracały się jedynie wokół wielkiej podróży kajakiem. Dla przyzwoitości zapytał jednak:

- Jak myślisz, kto wygra?

- Coś ty! - oburzył się Paragon. - My, oczywiście, to znaczy „Syrenka”. - Po chwili jednak dodał mniej pewnym głosem: - Zresztą, nie wiadomo. Piłka jest okrągła. A do tego nasi grają beze mnie i bez Tadka Puchalskiego.

Szkolny Park Sportowy w „Agrykoli” szumiał już od wezbranego potoku ludzkiego płynącego w stronę boiska. Tutaj miała się odbyć uroczystość otwarcia turnieju. Wśród tłumu przeważali mali, rozkrzyczani chłopcy. Ci sami, którzy z wielkim hałasem oblegają bramy boisk piłkarskich przed każdym ligowym meczem, ci sami, którzy stanowią niesforną publiczność „zielonych trybun”, najgłośniej gwizdzą na sędziego, najgoręcej kibicują swoim ulubieńcom, a na zakończenie meczu wdzierają się na boisko, by odprowadzać triumfalnie zwycięzców i bezlitośnie wygwizdywać pokonanych.

Źle ubrani, zaniedbani, wrzaskliwi, gotowi do zaczepki, ale najgorliwsi miłośnicy piłki nożnej, noszący w sercach umiłowanie sportu, ciągnęli teraz do „Agrykoli” na własne święto. Tu na wyłysiałej murawie szkolnego boiska miały się rozstrzygnąć losy, która z drużyn dźwizgać będzie prymat podwórzowego piłkarstwa. Nic więc dziwnego, że przed wielkim turniejem toczyły się zacięte spory: Kto wygra? Jaki będzie końcowy wynik turnieju?

Maniuś i Milek wmieszali się w tłum. Maniuś rozglądał się bacznie, by nie natknąć się na kogoś z Woli. Gdy dobrnęli do boiska, rozejrzał się uważnie i wybrał wielki kasztan stojący najbliżej. Z kocią zręcznością wdrapał się na drzewo. Pod tym względem miał już nie lada wprawę, na każdym bowiem meczu ligowym zajmował „honorowe” miejsce na „zielonej trybunie” za zegarem. Pomógł więc wdrapać się na drzewo Milkowi i odetchnawszy z ulgą, usadowił się wygodnie w widłach potężnego konara. Sam mógł obserwować boisko, a jednocześnie był niewidoczny.

- Klawe miejsce, co? - zwrócił się do Rudego Milka. - Loża honorowa dla eleganckiej publiki z widokiem na obie bramki.

Rzucił ten żart raczej z przyzwyczajenia, gdyż nie był w nastroju do żartów. Gryzła go piekąca zawiść. „To oni będą grali, a ja, najlepszy skrzydłowy na całej Woli, muszę tylko przyglądać się meczowi. Czy to sprawiedliwie?” Wbił zażawione oczy w zielony prostokąt boiska i zaciskając zęby czekał.

Zagrała orkiestra kolejarzy i na boisko czwórkami weszły drużyny. Ze ściśniętym z bólu sercem szukał swojej „Syrenki”.

- Idą! - trącił Rudego Milka.

Na przedzie szedł Mandżaro. Jego jasna głowa z opadającymi na czoło kosmykami odbijała wyraźnie od ciemniejszego boiska. Za Mandżaro, według wzrostu, cała drużyna. Na końcu mały Perełka.

Maniuś mocniej przytrzymał się gałęzi. Ogarnął go tak głęboki żal, że musiał odwrócić oczy. Gdy spojrział znowu na boisko, dwie wielkie łzy toczyły się po chudych policzkach do kącików ust.

- Fasonowa wiara - szepnął do siebie, podziwiając nowe kostiumy. Chłopcy ubrani byli w białe koszulki z emblematami klubu na piersiach, czarne spodenki i biało-czarne getry. Wydawało mu się, że żadna z drużyn nie prezentuje się tak szykownie jak „Syrenka”.

Po chwili przed linię ustawionych w szeregu drużyn wystąpił rosły chłopak. Ustawił się przed

mikrofonem i zaczął składać przyrzeczenie.

W uszach Paragona huczały głośno, dobitnie wypowiedane słowa: „My, młodzi sportowcy... przyrzekamy... że będziemy walczyli szlachetnie... Niech sport piłkarski stanie się naszą radością. Niech hartuje nasze młode charaktery i wzmacnia tężyźnię fizyczną... Ślubujemy, że w tej szlachetnej walce będziemy wzorowymi sportowcami. Nie dopuścimy się nieprawości...”

Końcowe słowa przyrzeczenia utonęły w fanfarach. Trzech młodych piłkarzy z trzech drużyn podeszło do masztu i w jazgotliwym głosie trąbek wciągnęło flagę. Sunęła wolno w górę, trzepocząc jak skrzydło ptaka na wietrze.

- Organizacja pierwsza klasa - pochwalił Rudy Milek.

Maniś milczał. Wpatrzony w flagę, wsłuchany w głos fanfar, po raz setny przeżywał swoją rozpacz. Gdyby nie to, że go wybrali skarbnikiem, gdyby nie choroba cioci Frani, gdyby nie spotkał wtedy Królewicza, stałby teraz obok Krzysia Słoneckiego, obok Ignasia Paradowskiego i zdawałoby mu się, że to dla niego ta flaga unosi się ponad głowy, ponad korony drzew i trzepoce radośnie.

Przed jego zasnutymi łzami oczyma przesuwały się barwne obrazy: raport drużyn, defilada... aż wreszcie rozpoczął się mecz.

- Nasi grają z „Antylopą” z Mirowa - wyszeptał do usypiającego na gałęzi Rudego Milka.

Na boisko wyszły już obie drużyny. „Syrenka” w swych biało-czarnych dresach i „Antylopa” w czerwonych koszulkach. Mandżaro z kapitanem „Antylopy” losowali boiska. Obok swych chłopców Maniś zobaczył Stefanka. Trener rozmawiał z nimi spokojnie. Pewno udzielał im ostatnich rad.

Potem zabrzmiał gwizdek sędziego, gracze ustawili się na swych pozycjach. Zaczął się pierwszy mecz turnieju.

- Jeeest!... - z tłumu wyrwał się radosny okrzyk. Las głów zafalował, pofrunęły do góry czapki, marynarki, wiatrówki. To zwolennicy „Antylopy” witali pierwszą bramkę strzeloną „Syrence”.

- Jest!... - odpowiedział im głuchy, przytłumiony jak żalosne echo okrzyk malców z Woli.

Maniś nie wiedział, kiedy to się stało. Jeszcze przed chwilą cały atak „Syrenki” był pod bramką przeciwników. Zdawało się, że bramka „wisi w powietrzu”, gdy nagle obrońca „Antylopy” przerzucił piłkę do skrzydłowego, ten podał do środka, a Felek Ringer zamiast obstawić łącznika stanął, jakby go ktoś zaczarował. Środkowy „Antylopy” przedarł się i strzelił. Perelka rzucił się rozpaczliwie, ale strzał był z tak bliskiej odległości, że nie mógł go obronić.

Paragon złapał się za głowę.

- Wszyscy święci! - zawołał. - Jak można było dopuścić do takiej sytuacji! To wina obrony. Zawsze mówiłem, że obrona to najslabsza nasza linia. Perelka był bezradny jak niewinne dziecko. Ech, ten Felek, to patalach nie piłkarz.

Rudy Milek ożywił się nieco.

- Ty - spojrzał na Maniusia - ta wasza „Syrenka” to znowu nie taka mocna.

- Czekaaj, zobaczysz za chwilę. To był błąd taktyczny. Sknocili, ale to przecież dopiero początek.

- Przytrzymał się mocniej gałęzi, nabrał w pierś powietrza i krzyknął przeraźliwie:

- „Syrenka”, grać! „Syrenka”, goooola!

Z dołu odpowiedziało mu miarowe skandowanie:

- „Syrenka”, grać! „Syrenka”, goooola!

Patrzył, jak napad „Syrenki” ruszył do ataku. Z zadowoleniem przyglądał się płynnej akcji. Mandżaro ładnie przeprowadził piłkę na linię bramkową, podał Ignasiowi, ten posłał ją do Mietka Gralewskiego. Skrzydłowy zacentrował. Do piłki wyskoczył Felek Ringer, lecz minął się z nią w

powietrzu. Ale wnet spod nóg przeciwników wyłuskał ją spokojnie Krzyś Słonecki. Nowy atak. Mandżaro spróbował iść przebojem. Jego jasna czupryna migiała wśród czerwonych koszulek przeciwników. Lekkim zwodem minął jednego, drugiego i strzelił. Piłka śmignęła nad wybiegającym bramkarzem i... niestety o kilka centymetrów minęła poprzeczkę.

- Widziałeś, jaki strzał! - zawołał uradowany Paragon. - Nasi gniołają. Rudy Milek zamruczał:

- Gniołają, gniołają, ale tamci prowadzą 1:0.

- To im się tylko tak udało. Patrz, jak teraz Ignas drybluje.

Ignas Paradowski przeszedł na skrzydło. Minął dwóch graczy i skierował piłkę do środka. Zakotłowało się pod bramką „Antylopy”. Piłka, jak szalona, szamotała się w gąszczu nóg. Wybrał ją Mandżaro, umknął w bok i podał do Krzysia Słoneckiego. Ten zawinął z woleja. Piłka przemknęła między nogami i... niestety trafiła w słupek.

- Ech!... - jęknął Manius. - Mamy pecha. Powinno być 2:1 dla nas. Widziałeś, jaka była „lufa”?

Rudy Milek przytaknął ruchem głowy.

- Pierwszorzędna, ale co z tego? Bramki nie ma.

- Czekaj, zaraz będzie.

Słowa Paragona sprawdziły się, lecz niestety bramkę znowu strzeliła „Antylopa”. I tym razem zawinili obrońcy. „Syrenka” gnioła, naciskała, ale gdy wszyscy niemal gracze zapędzili się pod bramkę „Antylopy”, obrońca posłał piłkę do skrzydłowego, ten podciągnął jak burza do przodu. Podał do środka i nadbiegający łącznik strzelił...

- Jeeest!... - zabrzmiał gromki okrzyk. Tłum widzów zafalował wokół boiska.

Maniusowi pociemniało w oczach, jakby strzelona piłka ugodziła go w czoło. Nie spodziewał się takiego wyniku. „Antylopa” prowadzi 2:0. To przecież klęska. Teraz trudno będzie wyrównać.

- Człowieku - jęknął głucho - ta obrona to do kitu. Dwie bramki przez nich strzelili. Dwie bramki!...

- Jużście przegrali! - zauważył Rudy Milek.

Ta bolesna uwaga ocuciła nieco Paragona. Zwinął dłonie i jak przez tubę zaczął krzyczeć:

- „Syrenka”, grać! Nie dać się, wiara! Walić na bramę! Waaalić!

Lecz okrzyk, który zdolny był wskrzesić umarłego, niewiele poskutkowało. Speszeni utratą dwóch bramek „syrenkowcy” ruszali się niemrawo, jakby ich nagle ogarnęło wielkie zmęczenie. „Antylopiarze” tymczasem nabrali animuszu. Teraz oni zaczęli gnieść. Pod bramką Perełki zrobiło się gęsto. Czerwone koszulki napierały jak fale na cofających się „syrenkowców”. Co chwila piłka mijała linię autową.

- Ale patałachy, ale patałachy - szeptał do siebie Paragon. - Gdybym ja tam był, byłoby inaczej.

Wzdłuż linii autowej biegał Stefanek. Manius widział, jak co chwila tłumaczy coś chłopcom, jak ich zachęca do gry, ale i to nie pomagało. Zdawało się, że na boisko weszła zupełnie inna drużyna: zgaszona, niemrawa, pozbawiona polotu.

Zbliżał się już koniec pierwszej połowy meczu, a nic nie wskazywało na to, że „Syrenka” zmieni wynik. Paragon posmutniał. Siedział spokojnie na gałęzi i od czasu do czasu wydobywał z siebie głucho jęknięcie.

Naraz ożywił się nieco. Zobaczył, że piłkę zabrał przeciwnikom Pająk, podbił ją zgrabnie nogą i kilka razy zagłówkował. Za tę fachową sztuczkę widownia nagrodziła go oklaskami.

- To moja szkoła! - ryknął radośnie Manius. - Widziałeś, jak on główkował? Dwadzieścia cztery takie „główki” robi za jednym zamachem!

- Eeee... - Rudy Milek wzruszył ramionami. - Sztuka dobra do cyrku. Niech strzeli bramkę, to powiem, że umie grać.

- Patrz, jak prowadzi - trącił go Manius.

Pająk jakby się ocknął z półsnu. Posłał piłkę „główką” przed siebie i biegnąc na swych chudych nogach, prowadził ją posłuszną każdemu jego ruchowi. Gdy był już za linią środkową, ładnym passingiem oddał ją Gralewskiemu. Prawo-skrzydłowy wypuścił do przodu Ignasia. Ten minął obrońcę, lecz nie strzelił, tylko zręcznie przerzucił piłkę do nadbiegającego Mandżaro. Kilka błyskawicznych kroków i strzał...

- Jeee!... - zawołał Paragon, ale nie dokończył okrzyku. Piłka odbiła się od poprzeczki i długą parabolą wróciła na boisko.

- To zaczarowana bramka, już trzeci raz „słupek”! - zawołał ktoś z dołu. Paragon podchwycił ten argument.

- Z takimi nie da rady, to czarodzieje! Zdechłego szczura powiesili za ogon przy słupku. Takie mają na nas sposoby.

Nie wierzył w przesady, które istniały również wśród młodych piłkarzy, ale lżej mu było wytłumaczyć porażkę swej drużyny siłą nadprzyrodzoną niż umiejętnościami „Antylopy”.

- Patrz - trącił znowu Rudego Milka. - Patrz, jak ten Pająk zagrywa. A nie chcieli go wstawić do składu...

Pająk zastopował piłkę, podbił ją zręcznie do góry i „główką” posłał do Ignasia. Ten przerzucił błyskawicznie do Mandżaro. Mandżaro widząc przed sobą mur graczy oddał piłkę nadbiegającemu Pająkowi. Zdawało się, że pomocnik „Syrenki” chce znowu popisać się swym kunsztem piłkarskim zdobytym podczas mozolnych ćwiczeń na podwórzu Gołębnika, ale nie... Strzelił tak błyskawicznie, że piłka tylko śmignęła nad głowami graczy i zatrzepotała w siatce.

- Cudny chłopak! - zawołał Paragon, składając ręce do oklasków, ale za-chybotął się nagle na gałęzi i o mało co nie spadł z „zielonej trybuny”. Powiedział tylko z uznaniem: - To była najładniejsza bramka. Brawo, Pająk! Widać, że to moja szkoła.

Do przerwy wynik meczu nie uległ zmianie. Gdy sędziowski gwizdek oznajmił początek drugiej połowy meczu, Manius zacisnął mocno pięści i wyszeptał:

- Teraz albo nigdy.

Roziskrzonymi z podniecenia oczami wodził za żółtą piłką. Raz był przy niej gracz w biało-czarnym dresie, raz czerwona koszulka „antylopiarza”. Z wysokości rozłożystego kasztana zdawało się, że piłka ma jakąś przedziwną siłę przyciągania. Dwudziestu dwóch chłopców biegło za nią, walcząc zaciekle.

- „Syrenka”! „Syrenka”! „Syrenka”! - wrzeszczeli kibice z Woli. Momentalnie odpowiadali im mieszkańcy Muranowa, którzy skupili się przy bramce swej ukochanej drużyny.

- „Antylopa!” „Antylopa!” „Antylopa!” - odzywał się chór dobrze zgranych głosów.

A na boisku trwała zacięta walka. „Syrenka” pragnęła za wszelką cenę wyrównać, „Antylopa” zaś za wszelką cenę utrzymać wynik i zejść zwycięsko z boiska.

- Może teraz - szepnął do siebie Paragon.

Mietek Gralewski bił właśnie rzut różny. Wziął kilka kroków rozbiegu i miękkim kopnięciem posłał piłkę w pole. Zatoczyła łuk nad głowami graczy. Bramkarz „Antylopy” wyskoczył wysoko, chcąc ją złapać w swe dłonie, ale wymknęła mu się. Mandżaro wyprysnął jak spod ziemi i głową skierował piłkę do bramki.

- Wyrównali - odetchnął Paragon. Czubkiem trampków potracił siedzącego niżej Rudego Milka.

- Widziałeś? Wyrównali. Jest 2:2.

Za bramką „Syrenki” pofrunęły do góry czapki niby chmara gołębi. Na boisku chłopcy obskoczyli Mandżaro ściskając go i całując. Wszędzie szeptano: „Teraz będzie ciekawy mecz. Zobaczmy, kto wygra”.

Maniś złapał się mocniej gałęzi i wychylony do przodu wołał zdławionym dyszkantem:

- „Syrenka”, gola! Goola!

Zobaczył, jak Romek Marmol odebrał piłkę skrzydłowemu „Antylopy”.

- Romek, prowadź! - doradzał wykrzykując zawzięcie. - Tak, bracie! Teraz go kiwnij. Dobrze!

Teraz podaj. Świetnie! Ignas! Ech, Ignas, to z ciebie patałach. Jak można było dać się ograć! Trzymaj go, Pająk! Trzymaj go! Fenomenalnie. Pająk, uważaj. Taak... Podaj! Podaj do Mandżaro! Świetnie! Mandżaro, na co czekasz? Strzelaj! Strzelaj! Jeesst!

- Jest! - ożywił się Rudy Milek. - Ta „Syrenka” nie jest najgorsza. - Popatrzył na Paragona, który w tej chwili, upojony sukcesem, całował gałąź, obejmując ją czule jak najlepszego przyjaciela.

- Jest! Jest! Jest! - szeptał rozpromieniony. Zdawało mu się, że to on swymi okrzykami i radami przyczynił się do zdobycia bramki, która dawała „Syrence” prowadzenie.

Mecz zbliżał się już ku końcowi. „Antylopiarze” czując, że przegrywają, zaczęli naciskać. Co chwila fala czerwonych koszulek sunęła na bramkę Perełki. Mały bramkarz związał się jak w ukropie. Wybiegał, rzucał się pod nogi napastnikom, piastkował, czynił cuda. Ale wyrównanie wisiało na włosku.

- Chłopcy, trzymajcie się! Trzymajcie się! - szeptał Paragon widząc, że „Antylopa” utrzymuje przewagę. Naraz zasyczał: - Franek, co ty robisz?

Franek Motylski, prawy obrońca „Syrenki”, widząc, że piłka toczy się na bramkę, a nie mogąc dosięgnąć jej nogą, rzucił się i złapał ją obiema rękami. „Karny!” - przemknęło przez myśl Maniusia złowrogie słowo. W tej chwili sędzia wstrzymał grę i pokazał na białe kółko, skąd bito rzuty karne. Paragon złapał się za głowę.

- Och - jęknął - mecz był wygrany, a ten patałach rękami...

Zaległa cisza. Perełka stanął na środku bramki, dreptając nerwowo. Ciemny, smagły środkowy napastnik „Antylopy” ustawił piłkę na „jedenastce”. Zdawało się, że wszystko zamarło. Oczy kilku tysięcy ludzi patrzyły teraz w jeden punkt: w małą żółtą piłkę. Naraz odezwał się gwizdek. Smagły chłopiec podbiegł kilka kroków i strzelił. Piłka mignęła jasną smugą. Jednocześnie w bramce mignął czerwony sweter Perełki i dwie wyciągnięte dłonie przylepiły się do piłki jak macki.

- Obronił! - wrzasnął Paragon kopiąc z uciechy Rudego Milka. Huknęły brawa.

- Obronił! Kochany Perełka uratował honor drużyny! Rozległ się gwizdek sędziego, oznajmiający koniec meczu. Paragon odsapnął z ulgą.

- Ciężki był mecz - powiedział do Rudego Milka - aleśmy jednak wygrali.

ROZDZIAŁ VI

Nazajutrz, gdy się obudził, trącił łokciem Rudego Milka.

- Słuchaj, bracie, ja już wszystko legalnie obmyśliłem. Wrócę do drużyny. Nie mogę patrzeć, jak oni męczą się bez dobrego lewo skrzydłowego. Gdybym wczoraj zagrał, wygralibyśmy do kółka.

Milek przecierał zaspane oczy. Ziewał przeciągle.

- No dobrze, a ta nasza wyprawa?

- Poczekaj, po turnieju się namyślę. Teraz najważniejszy turniej. Jesteśmy już w ćwierćfinale.

Rudy Milek ziewnął, jeszcze raz przeciągnął się i wyskoczył spod zwałów starych łąchów.

- No dobrze, ale jak chcesz wrócić?

- Honorowo, bracie, bez wstydu. Ja już wszystko wykombinowałem. Ten zarobek z „Expressu” to niezła rzecz. Dzisiaj weźmiemy większą paczkę. Zobaczysz, że sprzedamy. A do tego dorobię sobie butelkami. Jak uzbieram sto siedemdziesiąt złotych, to pójde do Królewicza i powiem mu, żeby mi oddał zgłoszenie.

- A jeśli nie odda?

Przez uśmiechnięte oczy Manusia przemknął groźny błysk.

- Jeśli nie odda, to będzie miał do czynienia z Paragonem. Ja już sobie z nim poradzę. Nie będzie strugał ze mnie wariata. Muszę wrócić do „Syrenki”, bo beze mnie przegrają, rozumiesz?

Jedząc na dole u dziadka śniadanie, ułożyli plan dnia. Najpierw postanowili pójść nad Wisłę po butelki i jeśli się uda, zrobić próbny rejs kajakiem. Po południu - sprzedaż „Expressu”. Plan był prosty i nie wymagał wyjaśnień. Trzynastoletni chłopcy rozumowali jak dojrzały, świadomi swych zadań mężczyźni. Nie sprzyjała im jednak pogoda. Dzień wstał pochmurny, dżdżysty. Ulica Czerniakowska, przy której stała mała chałupka dziadka, tonęła we mgle i deszczu. Na chodnikach lśniły kałuże. Brudne strugi wody płynęły leniwie, unosząc rudą pianę. Skuleni pod parasolami ludzie umykali szybko, jakby im się bardzo spieszyło.

Nic jednak nie zdołało odwieść Paragona od powziętego planu. Gdy Rudy Milek zauważył, że na taką pluchę nie warto wychodzić z domu, Maniś poczęstował go drwiącym uśmiechem.

- Chcesz, to zostań. Pójde sam...

Wyszli jednak razem. Milek, który już zdążył przywiązać się do Manusia, uważałby dzień spędzony bez niego za stracony. Szli wzdłuż portu Czerniakowskiego, szperając po krzakach i zakamarkach w poszukiwaniu butelek. Plon po-niedzielny był dość obfity. W krótkim czasie zebrali dwanaście. Gdy spieniężyli je w najbliższym sklepie, Maniś chciał się podzielić zarobkiem z Milkiem, ale rudy garbusek zaprotestował.

- Człowieku, ty przecież musisz zbierać na to zgłoszenie!

- Niby tak... ale powinna być sprawiedliwość - odparł rezolutnie Paragon.

- Nie martw się - tłumaczył mu Rudy Milek - gdy się skończy ten turniej, to zrobimy spółkę i będziemy zbierali na naszą wyprawę. Trzeba będzie kupić sucharów, konserw i zabrać zapas słodkiej wody do picia. Na Madagaskar daleko...Ja już szukałem na mapie.

Plany i marzenia kaleki traktował Maniś z wielką pobłażliwością. „Coś mu tam chodzi po głowie - myślał. - Niech się chłopiec cieszy”. I jego wprawdzie pociągały dalekie podróże, ale na

razie głowę miał zaprzątniętą tylko piłką nożną.

W mżącym deszczu szli wzdłuż Wybrzeża Czerniakowskiego. Maniś patrzył na swe dziurawe trampki. Gdy zginał stopę, z rozprutych szwów wydostawały się bulgocące bańki. Myślał, że warto by zafundować sobie nowe trampki, ale chyba nie teraz... Najpierw spłata długu Królewiczowi. Doszli do Solca, wspięli się na wiadukt mostu i poczekali na autobus „117”. Podróż na tylnym zderzaku czerwonego „chaussona” nie była tak wygodna, jak na buforze tramwajowego wozu. Ale przecież na Saską Kępe tylko dwa przystanki, a tam już niedaleko drugi brzeg Wisły i przystanie.

Tym razem prowadził Rudy Milek. On lepiej rozeznawał się w kajakowych sprawach. Wiedział, do której przystani najłatwiej się zakraść i który z przystaniowych najmniej zwraca uwagi na sprzęt.

Wybrali maleńką przystań, odgradzoną od ulicy wysokim płotem. Bez trudu przeleźli przez tę przeszkodę i skradając się wzdłuż nadwiślańskich zarośli dobrnęli do szopy. Było to prowizoryczne schronienie dla łodzi i kajaków, osłonięte jedynie dachem. Wystarczyło podnieść kajak ze stojaka, przenieść go do przystani, by przed dwoma poszukiwaczami przygód otwarła się możliwość wodnej wycieczki.

Maniś z nieukrywaną niechęcią popatrzył na niebieskie kajaki.

- Czy to warto? - zapytał Rudego. - Tak leje, że żaby kryją się pod liśćmi, a ty, bracie, chcesz w siną dal wędrować.

Milek wybałuszył na niego oczy.

- Człowieku, jedyna okazja. Teraz nikt nie pilnuje.

- A jak nas nakryją?

- Nie bój się, ja już wiem, co robię. Już nieraz próbowałem.

- No cóż... - Maniś wzruszył ramionami. - Spuszczamy kajak na wodę, i jazda. Nie ma się nad czym namyślać.

Upewnili się, czy nikt ich nie śledzi, upatrzyli sobie najbliższej umieszczony kajak, zdjęli go ze stojaka i szybko zaciągnęli w łożyny.

- Widzisz, że to nic strasznego - uśmiechnął się Rudy Milek. - Wiosła są, wszystko w porządku. Ja się na tym znam.

- A z powrotem znowu będziemy go taszczyli?

- Nie, zostawimy w krzakach. Przystaniowy sam go znajdzie.

Mętna, żółtawa woda z pluskiem podmywała piaszczysty brzeg, liżąc gąszcz łożyn. Dalej nurt skłębiał się w wiry. Białe bańki sunęły po wodzie. Pękały, zbijały się w brudną pianę.

Chłopcy zepchnęli kajak na wodę. Rudy pierwszy wskoczył na pokład. Miał tak uszczęśliwioną minę, jakby wstępował na transatlantyk.

- Skacz, na co czekasz?! - zawołał.

- Hooop! - zaśmiał się Maniś. Dał susa, trampki ześliznęły się z mokrej dytki i chłopiec wpadł po kolana w wodę.

- Ej, ty ofiaro - cieszył się Milek widząc, że tym razem może okazać swą wyższość.

- Do bani z twoim kajakarstwem - ofuknął go Maniś. - Bezpłatne moczenie nóg. - Wgramolił się do kajaka, ujął wiosła i odbili od brzegu. Na wirach zakotyssało kajakiem, potem równiejszy prąd poniósł ich już gładko.

- No co - odwrócił się Milek - morowa rzecz, prawda? Popłyniemy do mostu i z powrotem. Gdybyśmy mieli zapasy i namiot, moglibyśmy popłynąć dalej...

- ... na Madagaskar - zażartował Maniś. - Ty, bracie, masz pomysły jak w kinie.

- Ech! - westchnął Milek. - To dopiero byłaby podróż. Czytałem o takich facetach, co na tratwie przepłynęli Ocean Spokojny. Trzy miesiące płynęli bez przerwy.

- I nie znudziło im się?

- Człowieku! To dopiero prawdziwa podróż. Gdybym miał kilku takich jak ty, to bym też zbudował tratwę.

- Wiadomo! - mruknął Maniś i mocniej uderzył wiosłem. Kajak chyżej pomknął klaskając głośno dziobem o sfalowaną wodę. Było chłodno. Deszcz siekł zimnymi kulkami. Maniś dygotał pod przemoczoną koszulą. Wiosłował szybko, żeby się rozgrzać.

Gdy dopłynęli do filarów mostu, usłyszeli za sobą warkot. Obejrzel się. Z daleka nadjeżdżała milicyjna motorówka. Pruła mętną taflę wody tocząc przed dziobem wał piany.

- Wyrrywajmy! - syknął Maniś. Milek powiedział niemal spokojnie:

- To nic. Oni codziennie patrolują. To milicja rzeczna.

- Obojętne jaka, ale radzę ci, nawiewajmy.

Nie czekając na odpowiedź Milka, gwałtownym uderzeniem wiosła zawrócił kajak i zaczął wiosłować do brzegu. Tymczasem milicyjna motorówka zatoczyła szeroki łuk i przecięła im drogę.

- Stójcie! - zawołał młody milicjant wychylając się z łodzi.

Chłopcom bezsilnie opadły ramiona. Przeszali wiosłować. Motorówka zbliżała się szybko. Wnet jej burta uderzyła o burtę kajaka.

- Skąd wzięliście ten kajak? - zapytał milicjant.

Wystraszeni chłopcy zamienili między sobą pytające spojrzenia. Milczeli.

- Ech, wy... - wykrztusił milicjant i zaklął siarczyście. - Kraść wam się zachciewa. Poczekajcie chwilę, my was oduczmy. - Przywiązał kajak do linki holowniczej i zapuścił motor, który tymczasem zgasł. Szarpnęło mocno kajakiem, chybnęło chłopcami i motorówka pociągnęła kajak w górę rzeki ku przystaniom.

- My byśmy i tak oddali z powrotem - zawołał Milek, starając się przekrzyczeć warkot motoru.

- Tak, tak - pokiwał milicjant głową - znamy się na takich.

- Daję słowo! - zapiszczał chłopak płacząco.

Milicjant machnął tylko ręką. Maniś milczał. Był tak wściekły, że dał się namówić na tę wyprawę, iż gotów był z rozpaczą rzucić się do wody. Zrozumiał, że tym jednym nieodpowiedzialnym czynem pokrzyżował sobie wszystkie plany. Jeśli go przymkną, to nie będzie mógł sprzedawać „Expressu”; jeśli nie będzie sprzedawał gazet, nie uzbiera pieniędzy i nie będzie mógł wrócić do „Syrenki”. A jeśli o wszystkim dowiedzą się na Górczewskiej, to wyleją go z klubu. Ten logiczny tok myśli tak go przygnębił, że z rezygnacją poddał się losowi.

Kiedy dobiegli do brzegu, na pomoście przystani czekał już przystaniowy, starszy człowiek w trykotowej koszuli w pasy w narzuconym na ramiona deszczowym płaszczu.

- Złapaliście gagatków! - przywitał wysiadających milicjantów.

- To plaga, panie dzieju! Człowiek nie może spokojnie posiedzieć w bufecie. Maniś dał kuksańca Rudemu Milkowi.

- Widzisz, coś narobił.

Ten skrzywił się tylko. Miał minę męczennika, który cierpi dla idei. W budynku przystani spisano krótki protokół.

- Ja nie chciałem ukraść kajaka - bronił się spokojnie Rudy Milek. - Ja już nieraz brałem łódki z przystani. Przecież teraz nikt nie pływa. Po co kajaki mają się marnować?

- Nie kręć! - przerwał mu groźnie milicjant. - Ty też nie chciałeś? - zwrócił się do Maniusia.

- Mnie tam wszystko jedno, szanowny panie sierżancie. Ja jestem niewinną ofiarą pomyłki. Mnie kajakarstwo nie obchodzi. Piłka nożna to co innego. Dla kolegi dałem się namówić. A on - pokazał ruchem głowy na Rudego Milka - on też ofiara. Wyczytał w książce, że byli tacy, co przepłynęli na tratwie ocean, no i chłopiec teraz chciał trochę potrenować.

Przez groźną twarz stróża porządku publicznego przemknął leciutki uśmiezek. Ubawiła go wypowiedź malca. Wnet jednak przybrał urzędową postawę i pokiwał głową.

- Wy zawsze jesteście niewinni. Zobaczymy, jak to będzie na komisariacie.

- Wsiąkliśmy, bracie, i to w taki głupi sposób - powiedział Maniś wykręcając kolarkę z wody.

Rudy Milek czochrał palcami sztywne, mokre włosy.

- Z podróżnikami różnie bywa. Nieraz na morzu napadną na nich korsarze i zabiorą ich do niewoli. Jeżeli chcesz ze mną prysnąć na Madagaskar, to musisz być przygotowany na wszystko.

- Wybierałeś się na Madagaskar, a wylądowałeś legalnie na Saskiej Kępie - zaśmiał się Maniś.

- Ech, z ciebie to, bracie, dziwak. Zdaje ci się, że wszystko może być tak, jak w książce albo w kinie. Wybij sobie lepiej z głowy ten Madagaskar.

- O, nie! - zaprotestował gwałtownie garbusek. - Zobacysz, bracie, że na drugi rok, gdy uzbieram tyle sucharów, że będę mógł miesiąc pływać bez zawijania do portu, wyruszę w podróż.

Maniś machnął dłonią. „Z takim nie warto mówić - pomyślał. - On ma hyzia. Jemu nie wytłumaczysz”.

Siedzieli w małej zakratowanej izbie dla przytrzymanych. Trzy połamane krzesła, chybotający się stolik i półeczka z zeschniętą pelargonią wypełniały ten ponury lokal. Maniś trząsał się, nie wiedział, czy z zimna, czy ze strachu.

Za chwilę klucz zazgrzytał w drzwiach i na progu ukazał się młody milicjant, ten sam, który ich tu przyprowadził.

- Chodźcie za mną - skinął na chłopców.

Przeszli przez kręty korytarz, wspięli się po wąskich schodach na piętro. Tam milicjant otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Za stołem siedziała kobieta ubrana w mundur milicyjny.

„Ho, ho... milicja w spódnicy” - pomyślał Maniś wchodząc do pokoju.

- Siadajcie, chłopcy - milicjantka wskazała im krzesła. Głos miała miękki i patrzyła na nich jakoś mniej podejrzliwie.

- Gdzie mieszkasz? - zwróciła swe błękitne, łagodne oczy na Maniusia.

- Ja na Górczewskiej, proszę pani - odpowiedział bez lęku.

- U rodziców?

- Jakżeż tam. U cioci Frani, ale ciocia teraz w szpitalu - wyjaśnił szybko.

- A kto się tobą opiekuje? Maniś uniosł ramiona.

- Ja sam, proszę pani. Kto może się mną opiekować? Ciocia w szpitalu, a ja...

- Dobrze - przerwała mu kobieta w mundurze. - A kto mógłby za ciebie poświadczyć?

Maniś w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania. Ale wnet przypomniał sobie, jak to Baryła kazał rodzicom Skumbrii i Królewicza zgłosić się po nich na komisariat. Uśmiechnął się nieśmiało i powiedział bez zastanowienia:

- Ano... Stefanek.

Skąd mu strzeliło do głowy to nazwisko? Nie zastanawiał się nad tym.

- Stefanek?... - milicjantka uniosła brwi. - A któż to taki?

- Nie wie pani? Przecież to najlepszy gracz „Polonii” - powiedział nieco zdumiony.

Wyjaśnienia nie zadowolily widocznie milicjantki, gdyż zapytała:

- To twój krewny?

- Nie, proszę pani, to trener naszej drużyny.

- Jakiej drużyny?

- Piłkarskiej, „Syrenki”, proszę pani, tej, która wczoraj wygrała w turnieju - dodał z pewną dumą i pomyślał: „Trudno z nią mówić, ona zupełnie nie zna się na piłkarstwie. Jak można nie znać Wacława Stefanka?”

- Zaraz, zaraz... - milicjantka uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Więc ten Stefanek jest waszym trenerem?

- Legalnie, proszę pani.

- To jego zawód?

- Nie. W cywilu jest mechanikiem i pracuje w Zakładach imienia Kasprzaka.

- Ach, tak! - z twarzy milicjantki znikło zakłopotanie. Uniosła słuchawkę telefonu, nakręciła numer.

Dopiero teraz Maniuś uświadomił sobie, w jakich znalazł się tarapatkach. Milicjantka połączy się z fabryką, będzie rozmawiała ze Stefankiem, a ten się dowie, że lewo skrzydłowy „Syrenki” nie tylko zdradził swój klub, ale jeszcze jest posądzony o kradzież kajaka. Stefanek oczywiście może powiedzieć, że to go nic nie obchodzi. Jakim prawem powoływał się na niego? Co mu przyszło do głowy, żeby sławnego Stefanka mieszać do takich przykrych spraw?

Tymczasem zeznawał Rudy Milek. Wielki amator podróży na Madagaskar trzymał się dzielnie. Przed oczyma kobiety w mundurze roztaczał swoje wspaniałe plany:

- Czy to sprawiedliwie - mówił z zapalem - jak te kajaki stoją beczynnienie? Ja tylko chciałem pokazać koledze, jak to będzie, gdy wyruszymy w wielką podróż...

- Rozumiem, chłopcze - przerwała mu milicjantka - ale każdy mógłby z przystani zabrać kajak, gdyby tak myślał, jak ty.

- E, proszę pani - zaprotestował Milek - ręczę pani, że nie. Komu chce się pływać w taką pogodę. To trzeba mieć do tego zamiłowanie. A ja się wprawiam, bo na morzu nieraz jest jeszcze gorzej...

Nareszcie zadzwonił telefon. Zgłosiły się Zakłady Kasprzaka. Milicjantka prosiła o połączenie z Wacławem Stefankiem. Maniuś oczekiwał ze wzrastającym lękiem.

- Czy obywatel Stefanek? Tu dziewiąty komisariat milicji obywatelskiej, referat dla nieletnich. Przytrzymałisiemy chłopca nazwiskiem Tkaczyk, Marian Tkaczyk. Powołuje się na pana... Tak... Dobrze... Jeżeli pan może, to proszę natychmiast przyjechać...

Chwile oczekiwania dłużyły się straszliwie. Zdawało mu się, że krzesło, na którym siedział, parzy go jak rozpalona do białości blacha. Bał się przybycia trenera, a jednocześnie oczekiwał nań z wzrastającą niecierpliwością. Za oknami wisiała szara zasłona z deszczu i mgły. Bujne bzy ociekały wodą. Chmara wróbli kotłowała się pod okapem sąsiedniego domu. Wszystko to było jakieś dalekie, nieważne. „Jak ja spojrzę Stefankowi w oczy? Co on powie, gdy mnie tu zobaczy? Czy w ogóle będzie chciał mówić ze mną?” - myśli chłopca rwały się co chwila i powracały pełne lęku.

Naraz ktoś mocno zastukał. Potem drzwi otworzyły się z hukiem i w progu stanął sławny „polonista”. Jego zielony płaszcz był zupełnie przemoczony, na ogorzałej twarzy perliły się krople deszczu. Stanął, rozejrzał się i gdy zobaczył chłopca, rozłożył ręce rozpaczliwym gestem.

- Co ja z tobą zrobię, Paragon, no powiedz, co ja z tobą zrobię?...Maniuś stokroć wolałby, ażeby

trener porządnie go skrzyczał, niż patrzył z takim wyrzutem.

- To znaczy - zapytała milicjantka - że pan zna tego chłopca?

- Oj, znam, znam - Stefanek pokiwał głową.

Milicjantka przerzuciła kilka arkuszy papieru. Nie odrywając od nich wzroku, powiedziała wolno:

- Jeżeli zobowiąże się pan do opieki nad tym chłopcem, to zwolnimy go. Inaczej będziemy musieli przytrzymać go i oddać sprawę kolegium przy Dzielnicowej Radzie.

Trener zamiast odpowiedzi spojrzął na Paragona. Chłopiec miał w oczach łzy i choć nie powiedział ani słowa, trener wyczytał z nich prośbę: „Niech mnie pan nie zostawia...”

- On ma ciotkę - powiedział Stefanek - ale w tej chwili leży w szpitalu. Mogę się zobowiązać do opieki nad chłopcem do jej powrotu.

- O to nam właśnie chodzi. Niech pan podpisze zobowiązanie - podsunęła mu arkusz papieru - i może go pan zabrać.

- A ty pilnuj się - zwróciła się do chłopca. - Jeżeli jeszcze raz znajdziesz się na komisariacie, to odeślemy cię do domu poprawczego.

Gdy wychodzili, Maniś podszedł do Rudego Milka, uściskał mu mocno dłoń.

- Trzymaj się, bracie! Na dziadka czekasz?

- Na dziadka - potrząsnął rudą głową. - Żeby mnie tylko nie sprął. On niema zielonego pojęcia, co to znaczy podróżować...

- Nawarzyłeś, chłopcze, piwa, to je sam musisz wypić - powiedział trener. Od chwili gdy opuścili komisariat, Maniś najbardziej lękał się wymówek.

Tymczasem trener, jakby zapomniał o wszystkim, nie nawiązał ani słowem do ucieczki Paragona. Usadowił chłopca na „jawie” i zawiózł do najbliższej restauracji.

- Pewno jesteś głodny - powiedział. - Zjemy coś, a potem pojedziemy do mnie.

Dopiero później, gdy już siedzieli przy stoliku, zahaczył nagle:

- I po co ta cała komedia?

Maniś patrzył na swe brudne ręce, na podarte trampki, wystrzępione nogawki welwetowych spodni i nie mógł opanować zdenerwowania. Co chwila coś potracił, coś przesunął, czegoś nie dostrzegł. Przykro mu było, że nie potrafi zachować się normalnie. Pytanie Stefanka pozostawił bez odpowiedzi.

- Nie martw się, wiem o wszystkim - usłyszał jego słowa. - Twoi koledzy mi opowiedzieli. Byliśmy też u cioci. - Złapał chłopca za ramię i potrząsnął nim lekko. - Dlaczegoś nie przyszedł do mnie? Przecież ja bym ci pomógł.

Paragon doznał wrażenia, jakby wszystko wokół niego pojaśniało, jakby olbrzymi ciężar spadł mu z ramion. Przejechał dłonią po czole, zamrugął oczami i wyszeptał:

- Wstydzilem się. To nie było takie proste...

- Trzeba było przyjść do mnie. Pożyczyłbym ci tych pieniędzy. Przecież tonie twoja wina, że ci ciotka zabrała, ani jej, bo myślała, że to twoje - mówił przyciszonym głosem, a Maniś pomyślał: „Ej, aleja byłem głupi, ale byłem głupi!...”

I wtedy właśnie Stefanek powiedział:

- Nawarzyłeś, chłopcze, piwa, to je sam musisz wypić...

- To jasne - wyszeptał chłopiec skubiąc palcami papierową serwetkę.

- Będziesz musiał iść do „Huraganu” zwrócić pieniądze i zażądać tego zgłoszenia, coś wtedy

podpisał.

- A jeśli mi nie oddadzą? Zresztą mam tylko trzydzieści złotych... nie zechcą ze mną gadać.

- Ja ci pożyczę, nie martw się. Ale za ciebie tam nie pójdę.

- To się samo przez się legalnie rozumie - powiedział już głośniejszym głosem i pierwszy raz błysnął wesołymi ciemnymi oczami.

Potem, gdy jechali przez miasto, przyplątała mu się jego ukochana piosenka. Trzymając się mocno płaszcza trenera, zanucił cicho, cichutko, tak dla siebie: „Nicolò, Nicolò, Nicolino...” i świat stał się znowu radosny, pełen uroku tak jak dawniej.

Stefanek mieszkał na Górczewskiej, w starej, ale porządnie odbudowanej kamienicy. Na drzwiach widniała brązowa tabliczka z wyrytym nazwiskiem. Mieszkanie składało się z małego pokoju, kuchni i łazienki. Było tu czysto, podłoga błyszczała niemal tak, jak u Krzysia Słoneckiego.

W przedpokoju trener zrzucił z siebie mokry płaszcz.

- Musisz się najpierw wykąpać - rzekł. - Jesteś, chłopcze, brudny, jakbyś się tarzał w błocie.

Gdy Maniś zanurzył się w błękitnawej, gorącej wodzie, ogarnęła go senność. Było mu dobrze. Tak dobrze, że chętnie zamknąłby oczy i zagłębił się w marzeniach o „Syrence”, o chłopcach z Gołębnika, o treningach na Konwiktorskiej. On występowałby w roli głównego bohatera i strzelca najefektowniejszych bramek. Oczy mu się kleiły, powieki opadały jakimś błogim ciężarem i tylko głos trenera dochodzący zza drzwi wyrывał go z odrętwienia.

- Wyszoruj się porządnie szczotką! Ręcznik wisi nad umywalką, ten włochaty z czerwonym szlakiem. Szoruj się porządnie, bo zaraz sprawdzę.

Bez sprzeciwu wykonywał rozkazy. Tarł swe chude ciało, aż skóra piekła i czerwieniała pod twardą, drapiącą szczotką. A gdy już wytarł się szorstkim, pachnącym czystością ręcznikiem, Stefanek rzucił mu do łazienki stary dres. Bluza sięgała za kolana, spodnie, chociaż podciągał je pod same ramiona, zwisały na podłogę. Spojrzał w lustro i parsknął śmiechem.

- Wyglądasz, bracie - śmiał się do swego odbicia - jak krasnoludek w ciuchach wielkoluda. A biały jesteś, jakbyś wylazł z mąki. - Poczł nagły przypływ wzruszenia. Zrozumiał, choć bardzo mgliście, że zaczyna jakieś nowe, inne, może lepsze życie.

Po południu wypogodziło się. Świeży, pachnący wiatr przegnał zwały chmur, przetaił niebo jak zakurzoną szybę. Po wysokim błękitnie płynęły wolno tłuste, wesołe obłoczki jak kłębki puszystej waty. Ściagały się ze sobą od dachu do dachu i kryły się gdzieś w gruzach, jakby bawiły się w chowanego. Słońce wysuszyło wymytą deszczem ulicę. Tylko wzdłuż krawężników lśniły kałuże, małe lustra odbijające niebo, obłoczki, domy i przechodniów, powietrze było czyste, pachnące, rześkie. Nawet grzyby wyglądały dostojnie, jakby je odlano z brązu.

Maniś zbliżał się do Gołębnika z uczuciem, jakby szedł na spotkanie kogoś bliskiego, dawno niewidzianego. Gdy myślał o pierwszym zetknięciu się z kolegami, radość i lęk ogarniały go na przemian. Im bliżej był domu, tym bardziej zwalniał kroku. Wreszcie stanął przed bramą. Wokoło było pusto i cicho. Uśmiechnął się na widok wiszącej u wejścia tablicy. Czytał wolno, by nie opuścić ani jednej litery. Na górze widniał napis: *KLUB SPORTOWY „SYRENKA”*, a pod napisem wspaniała rysunek przedstawiający strzelającego do bramki piłkarza. Piłkarz miał w sobie tyle niezwykłego uroku i wyrazu, że musiał przykuć wzrok każdego przechodnia. Maniś zagwizdał z zachwytem. Poznał dzieło Ignasia Paradowskiego. Pod afiszem wisiał duży arkusz rysunkowego papieru, na którym nakreślono schemat turnieju. Z zapartym tchem czytał wyniki dotychczasowych rozgrywek.

1. „Pionier” - Ochota - „Szarotka” 3:2

„Szarotka” - Marymont „Warszawianka” - Śródmieście - „Zuch” 4:1
„Zuch” - Saska Kępa „Starówka” - Stare Miasto - „Ambrozzjana” 7:0
„Ambrozzjana” - Praga „Atom” - Wierzbno - „Atom” 2:1
„Krokodyl” - Okęcie „Tatry” - Śródmieście - „Huragan” 5:2
„Huragan” - Wola „Warta” - Żerań - „Stolica” 3:0
„Stolica” - Grochów „Antylopa” - Mirów - „Syrenka” 3:2
14. „Syrenka” - Wola „Pogoń” - Praga - „Pogoń” 4:3

„Ruch” - Wilanów Kilka razy roziskrzonym z ciekawości wzrokiem przebiegł wzdłuż tabeli, starając się zapamiętać wszystkie wyniki. „Dobra jest - myślał - gramy z »Po-gonią«, a »Huragan« ze »Stolicą«. Jeżeli obie drużyny wygraą, spotkają się w półfinale”. Najgroźniejsza spośród wszystkich drużyn wydała mu się „Ambrozzjana”. Wlepić siedem bramek w jednym meczu to nie byle sztuka. Na szczęście wspaniali strzelcy z Pragi znajdowali się w górnej połówce tabeli i „Syrenka” mogła się z nimi spotkać dopiero w finale, ale prowadziła do niego jeszcze trudna i daleka droga.

Maniuś zauważył na tabeli wycinek z gazety. Czytał z wypiekami na twarzy:

SPOŚRÓD DRUŻYN BIORĄCYCH UDZIAŁ W TURNIEJU WYBIJAŁY SIĘ „AMBROZZJANA” Z PRAGI, „ZUCH” ZE ŚRÓDMIEŚCIA ORAZ „HURAGAN” I „SYRENKA” Z WOLI. JEST TO NAJMŁODSZA DRUŻYNA TURNIEJU. MIŁO BYŁO PATRZEĆ, JAK mali piłkarze z „SYRENKI” z wielkim ZAPALEM TOCZYLI WALKĘ Z DUŻO STARSZYMI OD SIEBIE CHŁOPCAMI Z MIROWA. ZNAWCY PIŁKARSTWA NAZWALI ICH ŻONGLERAMI. ODZNACZALI SIĘ DOBRYM OPANOWANIEM TECHNIKI PIŁKARSKIEJ. SZCZEGÓLNIIE DOBRYM TECHNIKIEM NA BOISKU BYT LEOPOLD Piechowiak, pomocnik „Syrenki”...

Maniuś aż jęknął z zachwytu.

„A mówiłem temu Mandżaro, żeby go wstawił do składu - pomyślał. - Patrzcie, ludzie, Pająk najlepszy technik!... Pewnie się chłopak ucieszył!”

Gdy tak rozmyślał, poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył jajowatą głowę Pajaka.

- Pająk - zawołał uradowany - widziałeś, bracie, co o tobie piszą? Pająk długo wpatrywał się w rozpromienioną twarz Paragona.

Chciał coś powiedzieć, otwierał usta, ale wzruszenie dławilo go. Wreszcie wykrztusił nieswoim głosem:

- Strasznie się cieszę... Będziemy mieli znowu silną linię ataku. - Chwycił dłoń Paragona i długo nią potrząsał.

- Tylko z obroną u nas kiepsko, bracie.

- Byłeś na meczu?

- Byłem legalnie, bracie. Przez tego ofiarę Motylskiego straciliśmy dwie bramki, a mogliśmy wygrać do kółka.

- Ciężki był mecz.

- Oj, ciężki! Ale nie martw się, w czwartek pójdzie lepiej.

- Z „Pogonią” gramy.

Maniuś nawet nie spostrzegł, kiedy wdał się w tę fachową rozmowę. Wydało mu się to tak proste, jakby nigdy nie opuszczał „Syrenki”.

W bramie ukazały się dwie znajome sylwetki: Mandżaro i Perełka. Na widok Paragona stanęli jak wryci. Mandżaro pobladł lekko, ale ani na chwilę nie stracił powagi kapitana drużyny. Perełka rozdziawił ze zdumienia usta, na jego piegowatej twarzy ukazał się radosny uśmiech, wreszcie mały

bramkarz wyprężył się, jakby skakał do piłki, i jednym susem znalazł się przy Maniusiu. Rzucił mu się na szyję i tak silnie zaczął z radości okładać go pięściami, że Maniś zapiszczał z bólu.

- Jesteś, bracie! Jesteś! A myśmy się tu martwili! Co się z tobą działo? Ech, Paragon, żebyś ty wiedział, jak mi było smutno. To klawo, że już jesteś z nami!

Mandżaro wolno zbliżył się do Paragona. Wyciągnął do niego dłoń.

- Przepraszam cię, świnią byłem, że cię wtedy posądzałem.

- To głupstwo - powiedział Maniś i w jednej chwili zapomniał o wszystkich urazach, jakie żywił do kapitana drużyny.

Perełka, skacząc wokół Maniusia, wołał:

- Chodź na boisko, pokopiemy trochę! A jutro o piątej trening na Konwiktorskiej!

Maniś wyrwał bramkarzowi piłkę, kopnął ją z całej siły. Poszybowała wysoko ponad jezdnią i upadła daleko, odbijając się o suche płyty chodnika.

- Idziemy, wiara! Zobaczycie, że wygramy z „Pogonią”!

Zapalały się pierwsze latarnie. Żarzyły się blade na tle szarego, wieczornego nieba. Na ulicy dudniły wielkie, ciężarowe wozy. Zmęczone konie szły ciężko, ze spuszczoneymi łbami, wybijając na nierównym bruku ostatnią melodię pracowitego dnia. Jaskółki świergoliły pod okapami dachu, a w gruzach krążył bezszelestnie pierwszy nietoperz.

Maniś przystanął. Wyjął z kieszeni pieniądze, które dostał od Stefanka, i jeszcze raz przeliczył. Zgadzało się: jedna czerwona stułotówka, zielona pięćdziesiątka i wyblakła niebieska dwudziestka, a do tego jeszcze pięć złotych w bilonie. Razem sto siedemdziesiąt pięć złotych.

„Chyba nie zażądają ode mnie procentów?” - pomyślał kładąc pieniądze do kieszeni. „Nawarzyłeś piwa, to sam je musisz wypić...” - powtórzył w myśli słowa trenera. Myśl była gorzka jak zwietrzałe piwo, ale Paragon nie należał do tchórzów. „Trzeba to załatwić jak najprędzej, żeby mieć spokojną głowę”. Przerwał w ten sposób niepokojące go myśli i przyspieszywszy kroku, zbliżył się do domu, w którym mieszkał Królewicz. Zatrzymał się przy płocie. W obu oknach płonęło już światło. Starym zwyczajem zagwizdał na palcach. Po chwili oczekiwania w drzwiach stanął Królewicz. Młody Wawrzusiak rozglądał się z niepokojem.

- Kto tam? - zapytał ściszym głosem.

- To ja, Paragon - odpowiedział Maniś.

Królewicz ożywił się. Biegiem dopadł płotu i wychylił swą kształtną głowę.

- Zjawileś się wreszcie?! - zaśmiał się złośliwie. - Najadłeś się strachu i wróciłeś do domu! Szczeniak z ciebie. No, ale dobrze... Przydasz się. W czwartek gramy ze „Stolicą”.

- Z kim to gadasz, Julek? - w drzwiach stanął starszy Wawrzusiak.

- Znalazł się uciekinier - rzucił ze śmiechem Królewicz. Romek Wawrzusiak ruszył wolno w stronę płotu.

- Przeprasileś się z nami? - zapytał kpiącym tonem. - Przyszła koza do woza.

Maniś z daleka czuł woń wódki. Cofnął się, ale Romek był już przy nim i gwałtownym ruchem złapał go za ramię.

- Nie bój się - prychnął mu prosto w twarz. - Pogadamy spokojnie. Dla-czegoś wtedy nie przyszedł?

Maniś milczał. Patrzył prosto w błędne od alkoholu oczy Romka.

- Forseś zabrałeś, ale przyjsć nie łaska - podjął tamten głosem twardym, nic dobrego niewróżącym. - Nie podoba ci się „Huragan”, co?

- Nie grałem w żadnej drużynie - zachnął się chłopiec.

- Ech, ty gadzie! - zaśmiał się Wawrzusiak i tarmosząc w zaciśniętej dłoni koszulę chłopca, przyciągnął go jednym szarpnięciem do siebie. - Honorowy z ciebie szczeniak. Ale i bez ciebie „Huragan” wygrał 5:2. A twoja zakichana „Syrenka” ledwo się wygrzebała. - Przybliżył swą twarz do twarzy chłopca i nagle zapytał: - A teraz co będzie?

- Właśnie przyszedłem oddać wam forszę... - Maniś sięgnął do kieszeni, wyciągnął zwinięte w rulonik banknoty.

Romek uderzył go w wyciągniętą rękę.

- W nosie mam twoje zasmarkane pieniądze! - krzyknął. - Schowaj sobie na cukierki! Podpisałeś zgłoszenie czy nie.

- Podpisałem - wyszeptał Maniś drżącym głosem - ale chcę je wycofać...

Nie dokończył, gdyż dostał krótki, suchy, ale piekielnie mocny policzek. Gdyby go Wawrzusiak nie trzymał za koszulę, upadłby na ziemię.

Maniśowi pociemniało w oczach. Twarz piekła od uderzenia, w głowie czuł zamęt. Pieniądze wypadły mu z dłoni. Aluminiowe złotówki zadzwoniły cienko o bruk chodnika. Chłopiec wyszeptał:

- Czego wy ode mnie chcecie?

- Zgłoszenie podpisałeś, a grać nie chcesz - wtrącił Królewicz.

- Nie będę u was grał!

- Ale forsa się przydała - syknął Romek.

- Nie chcę waszej forsy, nie chcę! - wykrztusił z wściekłością.

W tej samej chwili padł drugi cios. Tym razem zwartą pięścią prosto w twarz. Maniś poczuł w ustach mdły smak krwi. Szarpnął się tak gwałtownie, że koszula trzasła w szwach rękawa.

- Puśćcie mnie! - zawołał zdławionym głosem. Starszy Wawrzusiak wciąż trzymał go mocno.

- Słuchaj, ty gadzie, jeżeli pójdziesz do nich, to cię tak spiorę, że cię twój trener nie pozna. A teraz zabieraj forszę i zmiataj, bo nie mogę patrzeć na twoją zamazaną gębę. - Odepchnął go. Maniś zatoczył się, upadł na chodnik, ale natychmiast podniósł się.

- Bierzcie pieniądze! Nie będę u was grał! Nie chcę! - zawołał i zaczął uciekać. Nikt go nie ścigał. Przystanął, dysząc ciężko. Poczł ciepły strumyk krwi na szyi. Otarł twarz ramieniem. Rękaw pociemniał i zwilgotniał od krwi. Zrobiło mu się mdło i słabo. Oparł się o chłodny, chropowaty mur, czołem przyłgął do cegieł. Drżał w bezsilnym płaczu.

- Co ja im zrobiłem? Jak to wszystko się skończy? - szeptał wśród łkań. Nie mógł powstrzymać łez. Straszliwy żal ustąpił nagle przed gniewem. Chłopiec uniósł ręce i pięściami z całej siły jął walić w mur.

- Co ja im zrobiłem? Czego oni ode mnie chcą? - powtarzał w rozpacz i gniewie.

Gdy się nieco uspokoił, pierwszą jego myślą było zemścić się. Zebrać paczkę chłopców z Gołębnika, lecieć pod dom Wawrzusiaków, powybijając im szyby kamieniami. Już nieraz chłopcy z Woli w ten sposób załatwiali swe porachunki, przyczyniając zmartwień rejonowemu Baryle. Po drodze jednak rozmyślił się. Co by pomyślał Stefanek, gdyby się o tym dowiedział? Nie można kompromitować całej drużyny. Nie wolno nadużywać zaufania trenera. Trzeba będzie samemu załatwić tę sprawę.

Przy studni na Górczewskiej umył twarz i zakrwawione ręce. Wylał się oderwanym rękawem koszuli. Opuchnięty nos bolał dokuczliwie, piekła rozcięta warga. Wlókł się wolno w kierunku domu, w którym mieszkał Stefanek. Zastanawiał się, czy nie lepiej przenocować u siebie, w Gołębniku, ale

wiedział, że trener czeka, więc nie zawrócił.

- Co się z tobą stało? Jak ty wyglądasz? - przywitał go Stefanek otwierając drzwi.

- Potknąłem się i walnąłem nosem o wystającą z gruzów szynę - skłamał. Chciał uniknąć drażliwych pytań.

Ale Stefanek ujął go pod brodę i spojrzał mu badawczo w oczy.

- Słuchaj - powiedział - jestem w tej chwili twoim opiekunem, tak jakby starszym bratem.

Powiedz prawdę, kto cię tak urządził?

Chłopiec umknął spłoszonym spojrzeniem.

- To nieważne, panie Wacku - powiedział i głos mu zadrżał. - Pan przecież sam powiedział, że muszę wypić to piwo.

- To oni cię zbili?

- Głupstwo - wzruszył szczupłymi ramionami. - Gorzej, że nie oddali mi zgłoszenia.

Trener objął go ramieniem i przygarnął do siebie.

- Nie martw się, biedaku, zgłoszenie nieważne. Podpisałeś pod przymusem. Jeżeli będą robić jakieś trudności, to sam załatwię to w Komitecie turnieju. A teraz mów: kto cię uderzył?

Chłopiec znowu się naburmuszył.

- To moja sprawa, panie Wacku. Pan mieszka tu na Woli i pan się o takie sprawy pyta? Nie powiem - wyszeptał z uporem.

- Rób, jak chcesz, aleja mam dość tego chuligaństwa.

Kazał Maniusiowi umyć się porządnie. Położył go na tapczanie, przykrył kocem. Spuchnięty nos wytarł lekko spirytusem i przyłożył zimny kompres. Te niezwykle objawy troskliwości przyjmował Maniś z uczuciem wzrastającego zażenowania i radości zarazem. Spoglądał na krzątającego się wokół niego Stefanka i powtarzał w myśli: „Tak jak starszy brat... Jak starszy brat...”

Trener usiadł przy nim. Nie patrząc na chłopca, mówił cicho:

- Niełatwe masz, chłopcze, życie. Ja ciebie dobrze rozumiem. Też nie miałem łatwej młodości. Byłem sierotą jak ty. Wychowywała mnie najstarsza siostra...

- Nie jest tak źle, panie Wacku - Maniś uśmiechnął się trochę smętnie, trochę łobuzersko i dodał: - Jakoś daję sobie radę.

- Myślałem o tobie - ciągnął Stefanek. - Musisz zerwać z włóczęgostwem, bo skończysz w domu poprawczym, a potem w kryminale. Musisz zabrać się do roboty. Rozmawiałem już z panem Łopotkiem.

Oczy chłopca, śledzące z uwagą każdy ruch warg piłkarza pociemniały nagle.

- A cóż ja u niego będę robił?

- Będiesz mu pomagał. Nauczysz się trochę ślusarki, trochę monterki. Przyda ci się. A po wakacjach pójdziesz z powrotem do szkoły.

Maniś skrzywił się, jakby liznął płatek cytryny.

- To nie dla mnie - zaprotestował.

- Chcesz przez całe życie sprzedawać butelki i gazety?

- Te gazety to dobry interes. Codziennie można dwudziestaka zarobić.

- A potem dostać się na komisariat, tak jak wtedy?

- Ech, proszę pana, to była zwyczajna pomyłka. To przez tego Rudego Milka. Żał mi go było, to popłynąłem z nim, żeby wiedział, że ze mnie morowy kolega.

Stefanek wstał i zaczął krążyć po pokoju. Zatrzymał się przed Maniusiem.

- Słuchaj, Paragon, musisz wybierać. Albo będziemy dobrymi przyjaciółmi i zabierzesz się do roboty, albo będziesz się dalej obijał, ale wtedy ja cię znać nie chcę. Rozumiesz?

Maniuś skręcał się pod spojrzeniem trenera.

- Ech... - wyszeptał - pan od razu albo, albo... Rozumie się, że chcę z panem trzymać sztamę.

- Więc jutro idziesz do roboty.

- Może po turnieju?

- Nie, od jutra!

- Jeżeli koniecznie od jutra, to trudno... - powiedział nie ukrywając smutku. - A co będzie z treningami? Przecież we czwartek mamy mecz z „Pogonią”?

- Na treningi pan Łopotek cię zwolni.

- A na mecz?

- Oczywiście też.

Maniuś zamyślił się. Może to i lepiej, że będzie miał stałą pracę. Zresztą nie warto martwić się na zapas. Jakoś to będzie. Tego wieczora zasnął spokojnie na tapczanie Stefanka.

ROZDZIAŁ VII

Żyłka sportowa mistrza fryzjerskiego, pana Euzebiusza Sosenki, była silniejsza od jego poczucia obowiązku. Gdy się dowiedział, że „Syrenka” gra ćwierćfinałowy mecz z „Pogonią”, zamknął na cztery spusty swój lokal i pojechał na Agrykolę. Po drodze zastanawiał się, dlaczego Paragon przestał do niego przychodzić. Od tygodnia nie widział jego roześmianej twarzy. Znikł tajemniczo. Czyżby się obraził? Gdy prosił go o pożyczkę, w kasie nie było nawet stu złotych. Pan Sosenka szczerze polubił zawsze wesołego chłopca. Fryzjer tak się do niego przyzwyczaił, że teraz, gdy go nie widywał, brakowało mu czegoś.

Jadąc na Agrykolę, kupił dużą torbę cukierków i kilogram soczystych „klapsów” dla lewoskrzydłowego „Syrenki”. Niech chłopiec wie, że nie zapomniał o nim. Niech wie, że pan Sosenka dba o młodocianych piłkarzy z rodzinnej Woli.

Boisko roilo się od piłkarzy i kibiców. W cieniu rozłożystych grabów przebierali się bohaterowie mającego się odbyć meczu. Pan Sosenka zobaczył z daleka Maniusia.

- Jak się masz, Paragon! Widzę, że zapominasz o swoich przyjaciółach. Dlaczego do mnie nie wpadniesz?

Chłopiec odwzajemnił mu się szczerym, rozbajającym uśmiechem.

- Moje uszanowanie, panie szefie? To pan nie wie, że już przestałem być bezrobotnym? Pracuję u pana Łopotka w charakterze pomocy technicznej. To ładnie, że pan szanowny nie zapomniał o naszej drużynie.

- Masz tu cukierki i gruszki, poczęstuj chłopców - fryzjer podał mu obie torebki.

- Dziękuję ślicznie! Przydadzą się witaminy.

Przyjazną rozmowę przerwał im nagle Romek Wawrzusiak. Był ubrany w swe granatowe ubranie w prążki, zamszowe buty, a pod szyją związał wspaniały krawat. Nie zwracając uwagi na fryzjera, dał Maniusiowi znak ruchem głowy.

- Chciałem z tobą pogadać. Chłopiec pobladł i spochmurniał.

- Czego chcesz? - wyszeptał.

- Ty chcesz grać w „Syrence”?

- Legalnie - chłopiec twardo i stanowczo wypowiedział swoje ulubione słówko.

- A zgłoszenie? - oczy starszego Wawrzusiaka paliły się złym, zawistnym ogniem.

- Zgłoszenie nieważne.

- Jak to: nieważne?

- Wymuszone.

Ciemne oczy Wawrzusiaka zwięziły się w szparki. Kłudy chłopca nienawistnie.

- Paragon, ja wiem, żeś ty cwaniak, ale ty z nami nie zadzieraj. Już raz dostałeś...

Maniusiowi drgnęły wargi w jakimś wymuszonym, ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

- Dajcie mi spokój, ja z wami nie zadzieram.

- Jeżeli zagrasz, wniesiemy protest. I po co wam to? Chcecie, żeby mecz unieważnili?

- Składajcie. My się nie boimy. Wawrzusiak zacisnął ze wściekłością szczękę.

- Paragon, zastanów się, dobrze ci radzę.

- Już się dawno zastanowiłem.

- Zapamiętaj, co ci powiedziałem, żebyś potem nie żałował - groził Wawrzusiak.

- A pan, co chce od niego? - wtrącił fryzjer. Romek drasnął go drwiącym spojrzeniem.

- Nie pańska sprawa. Pilnuj pan swojego nosa! - Jeszcze raz posłał Maniusiowi ostrzegawcze spojrzenie i usunął się, gdyż do Maniusia zbliżył się redaktor Chudyński. Dziennikarz miał niezwykle tajemniczą minę.

- Jak się masz, uciekinierze? - przywitał go wyciągając dłoń. - Słyszałem, żeś już porzucił „Express”.

- Legalnie, panie redaktorze. Już pan nie musi bać się o konkurencję. „Życie Warszawy” górą. Redaktor położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

- Powiedz chłopcom, żeby dzisiaj ładnie zagrali. Mam dla was niespodziankę.

- Pewno chce pan napisać sprawozdanie z wyszczególnieniem wszystkich sytuacji podbramkowych?

- Jeszcze większą.

- Pewno sprowadził pan fotoreportera, żeby nas na kliszy fotograficznej uwiecznił?

- Jeszcze większą! Manius świsnął z podziwu.

- Jak ciocię Franę kocham, że nie wiem.

- Będziemy transmitować wasz mecz dla kroniki sportowej.

- Hura! - zawołał Paragon. - To znaczy, że ciocia Frania będzie mogła słuchać w szpitalu, jak ja tu zagrywam!

- Więc pamiętaj, zagrajcie tak, żebym nie musiał za was się wstydzić.

- To się samo przez się rozumie, panie redaktorze! - Paragon pobiegł do chłopców, żeby oznajmić najnowszą sensację.

Wiadomość wywołała burzę. Początkowo nikt nie chciał wierzyć Maniusiowi i dopiero, gdy Stefanek zapewnił ich, że to prawda, zaczęli głośno wykrzykiwać swoje uwagi.

- Ludzie kochani - skakał mały Perelka - będziemy musieli zagrać na poziomie, bez pudłowania!

Ignas Paradowski ścisnął z radości Pajaka.

- Żeby tylko obrona nie knociła.

- Obrona... Obrona... - oburzył się Kazek Pigło. - Strzelajcie bramki, to obrona da sobie radę.

- Musi być dobra gra - wtrącił Mietek Gralewski. - Przecież cała Polska będzie słuchała tego meczu. Cała Polska!

- A może i zagranica, kto wie? - dodał Krzyś Słonecki. - To ci dopiero sensacja!

Wezbraną falę entuzjazmu zahamował nieco prezes klubu, pan Łopotek.

- Wy, proszę ja kogo, nie gorączkujcie się zanadto, bo to może się źle skończyć - powiedział przeczesując gęstą siwiejącą czuprynę. - Nie zważajcie na mikrofony, bo mikrofony nie będą za was grać. Musicie pamiętać o jednym: mecz jest poważny, trzeba wyciągnąć się z portek, proszę ja kogo, żeby go wygrać...

- To racja - podjął Stefanek. - Musicie pamiętać o założeniu taktycznym. Jeszcze raz powtarzam: nie możecie biegać wszyscy za piłką jak stado baranów, każdy pilnuje swej pozycji. Między liniami musi być stała łączność. Gdy napastnik atakuje, łącznicy muszą cofnąć się pod bramkę, by wzmocnić obronę. Pamiętajcie o tym, a wtedy możecie grać spokojnie, bez nerwów. A to najważniejsze.

Z boiska nadbiegł Oleś Kołpik.

- Chłopcy, wychodzimy na boisko! Zaczyna się mecz.

Ustawili się rzędem. Na przedzie kapitan drużyny Mandżaro, za nim bramkarz Perełka, a dalej cała drużyna według wzrostu.

Na znak Mandżaro wbiegli na boisko. Przywitał ich szum oklasków i głośnie okrzyki kibiców.

- "Syrenka"! „Syrenka”! „Syrenka”! - rozlegało się miarowe skandowanie. Chłopcy ustawili się przed trybunami. Maniś stał obok Ignasia Paradowskiego. Trącił go łokciem.

- Ależ mam pietra! - szepnął. Ignas uśmiechnął się.

Ja też, bracie. Ale to nic. Trzymajmy się! Może wygramy.

Pod drzewami zalegał gęsty, chłodny cień. Chłopcy rozłożyli się na trawie. Odpoczywali po pierwszej połowie meczu. Jedni popijali z flaszek lemoniadę, inni jedli soczyste gruszki, którymi częstował Paragon. Wszyscy byli niezwykle zadowoleni. Z wielkim ożywieniem omawiali pierwszą połowę meczu.

- Dobrze jest - dowodził piskliwie Perełka. - Prowadzimy 2:0. Teraz trzeba tylko utrzymać wynik.

- Nie cieszcie się zawczasu - wtrącił Ignas. - „Antylopa” też prowadziła z nami 2:0, a potem dostała w kość.

- Nie kracz, nie kracz! - ofuknął go Mandżaro. - Jeżeli zagramy tak jak do przerwy, to powinniśmy wygrać.

- I będziemy w półfinałach - podjął uradowany Pająk.

Paragon milczał, jak przystało bohaterowi pierwszej połowy meczu. Strzelił obie bramki. Wodził rozpromienionym wzrokiem po twarzach kolegów i czekał na oznaki uznania. Tymczasem pierwszy pogratulował mu pan Sosenka. Zbliżył się do niego z rozwartymi ramionami.

- Paragon, chłopcze kochany - wołał dysząc ciężko - uratowałeś honor Woli! Te twoje bramki były pierwszej klasy. Za każdą stawiam po meczu duże czekoladowe lody.

- Gra się, panie szefie - mruknął lewo skrzydłowy i utonął w ramionach fryzjera.

- Moja szkoła, moja szkoła, Paragon - rozpływał się pan Sosenka w radosnych pochwałach. - Ja ciebie uczyłem, jak się strzela bramki. Zdobędziesz jeszcze jedną, to dostaniesz ode mnie trampki. Nauczcie tych pataluchów z Pragi, jak się gra w piłkę nożną. Pokażcie im, jak grają chłopcy z Woli.

- Załatwione, panie szefie - uśmiechnął się Paragon i wbił zęby w soczystą gruszkę. - Zna się pan na towarze. Te witaminy w charakterze gruszek pierwsza klasa. Pewno od pani Wawrzynek?

Do chłopców zbliżył się wysoki mężczyzna w szarym, sportowym garniturze i wodząc po nich wzrokiem, zapytał:

- Który to z was Marian Tkaczyk?

- Ja, a co? - Paragon zerwał się i stanął przed nieznajomym. Ten wyjął z kieszeni zmiętą kartkę i pokazał ją chłopcu.

- Czy to ty podpisałeś to zgłoszenie?

Maniś zbladł. Nie spodziewał się, żeby Wawrzusiak poruszył sprawę zgłoszenia w Komitecie organizacyjnym.

- Ja... - wyjąkał cicho.

Jegomość spojrział na niego ostro.

- To dlaczego grasz w „Syrence”?

- Ja zawsze w „Syrence” grałem.

- A to zgłoszenie?

Maniś z szeroko rozwartymi oczami patrzył na kartkę. Co powiedzieć temu człowiekowi? Jak

mu wytłumaczyć cały przebieg skomplikowanych wydarzeń? Czy on to zrozumie? Z kłopotliwej sytuacji wybawił go Stefanek. Podeszedł do jegomościa w szarym ubraniu i powiedział:

- Ja wiem o tym zgłoszeniu. Jestem opiekunem i trenerem drużyny. Zaręczam panu, że to nieporozumienie. Wyjaśnię sam w Komitecie organizacyjnym.

- No dobrze - rzekł jegomość patrząc z zakłopotaniem na kartkę. - Musimy jednak zbadać tę sprawę, gdyż wpłynął protest z „Huraganu”. Oni twierdzą, że Tkaczyk jest ich graczem i nie może grać w „Syrence”.

- Ja nigdy u nich nie grałem! - zawołał oburzony Maniuś. - Niech pan szanowny zapyta chłopców. Oni mnie chcieli legalnie skaperować.

Stefanek odsunął go lekkim ruchem.

- Uspokój się. Ja wszystko wyjaśnię. - Następnie zwrócił się do członka komitetu: - Biorę na siebie odpowiedzialność. A jeśli ma pan jakieś wątpliwości, to proszę zapytać redaktora Chudyńskiego. On dokładnie zna całą sprawę.

- Dobrze - odparł mężczyzna w szarym ubraniu. - Jednak radziłbym usunąć Tkaczyka ze składu, gdyż w razie uwzględnienia protestu będziemy musieli unieważnić mecz i przyznać zwycięstwo „Pogoni”.

Do rozmowy wtrącił się pan Sosenka. Poczucie sprawiedliwości nie pozwoliło mu na milczenie. Patrząc z rozrzewnieniem na Maniusia, załamał swe pulchne ręce.

- Przecież to oczywista granda, panie dobrodzieju! Przecież ten chłopak za „Syrenkę” oddałby wszystko. Gdzieżby on mógł grać w takim szmatławym klubie jak „Huragan”?

Jegomość z komitetu pokiwał tylko głową.

- Rozmaicie bywa. Z tymi malcami mamy tyle kłopotu. Wciąż jakieś zatargi... - nie dokończył, gdyż na boisku rozległ się gwizdek sędziego. Był to znak rozpoczęcia drugiej połowy meczu.

- Panie Wacku, mogę zagrać? - zapytał Maniuś patrząc na niego błagalnie.

- Graj spokojnie - trener poklepał go po ramieniu. - Graj tak, jak w pierwszej połowie. A z „Huraganem” ja już sam załatwię. To bezczelność przechodząca wszelkie granice.

Chłopiec przypomniał sobie groźbę Romka Wawrzusiaka. „Oni będą się mścili na mnie” - pomyślał. Ale gdy wbiegł na boisko, zapomniał o wszystkich troskach. Ogarnęła go gorączka gry. Wszystkie myśli skupił na piłce, którą w tej chwili Mandżaro ustawiał na środku boiska.

Zaczęła się druga połowa meczu.

Redaktor Chudyński patrzył na boisko. Na jego szerokiej, wygolonej twarzy ukazał się uśmiech zadowolenia. Już od dziesięciu minut toczyła się gra. Walka była bardzo zacięta, ale mogła zadowolić nawet najbardziej wybrednego znawcę piłki nożnej.

- ... Trzeba przyznać, że to bardzo ładny mecz - mówił do mikrofonu. - Z tych malców wyrosną kiedyś zastępcy naszych Cieślików, Brychczych, Szymkowiaków. Co chwila podziwiamy jakieś piękne zagranie. Co chwila któryś z gra-czy pokazuje dobrą techniczną szkołę. Świetny jest Perełka w bramce „Syrenki”. Jego parady, wybiegi, piąstkowania są wysokiej klasy. Pięknie podaje piłki Mandżaro. Znakomicie główkuje Pająk, ale najlepiej podoba się Paragon. To rzeczywiście malec, który we krwi ma piłkę nożną...

Wynik brzmiał nadal 2:0 dla „Syrenki”, ale „Pogoń” nie daje za wygraną. Walczy bardzo ambitnie i kilka jej ataków mogło zakończyć się bramką, gdyby nie doskonała gra małego Perełki. Ten szkrab dokazuje cudów.

... Groźny atak „Syrenki”. Słonecki podał do Paradowskiego, ten przedłużył podanie do

Paragona. Paragon przerzucił na prawe skrzydło. Ale Gralewski spóźnił się i piłkę wybili na aut.

...Walka o piłkę. Brawo, Pająk! Pięknie wybrał piłkę z tłoku, podbił ją lekko i „główką” posłał do Paradowskiego, Paradowski do Mandżaro. Ten strzela... Niestety! Chłopiec pośliznął się i strzał był bardzo anemiczny.

... Minęła piętnasta minuta drugiej połowy. Wynik nadal 2:0 dla „Syrenki”. „Pogoń” znowu atakuje. Ten czarny, smagły chłopak z Pragi szaleje pod bramką Perełki. Chciał przejechać z piłką pod obronę, ale niestety, nie udało mu się ta sztuka. Perełka złapał piłkę. Posłał ją do Słoneckiego. Słonecki bardzo ładnie wypuścił do Ignasia Paradowskiego! Ignas przedłużył podanie do Paragona. Śliczna centra! Mandżaro wyskakuje do niej jak spod ziemi. Jest!... Nie. Bramkarz w ostatniej chwili wypiąstkował na aut. „Syrenka” będzie biła rzut różny. Piłkarze ustawiają się pod bramką... Gralewski rozgląda się. Bije... Doskonale! Piłka idzie nad głowami. Mandżaro wyskakuje. Nie dosięgnął piłki, ale w tej chwili przy piłce jest Paragon, podaje Paradowskiemu, ten oddaje mu błyskawicznie. Paragon, strzelaj! Jeeest! Teraz jest na pewno! Świetny strzał! Tego strzału nie obroniłby nawet Szymkowiak. A więc „Syrenka” powiększyła swoją przewagę bramkową i wynik brzmi 3:0 dla chłopców z Woli.

... Do końca meczu pozostało jeszcze kilka minut. „Pogoń” jakby się załamała. Nic dziwnego. Trudno jest wyrównać utratę trzech bramek. Teraz „Syrenka” zdobyła olbrzymią przewagę. Zepchnęła przeciwników na ich pole karne. Niestety, chłopcy są już zmęczeni i nie potrafią wykorzystać swej przewagi. Gra jest dość chaotyczna. Pod bramką stale tłok. Nie mają na tyle doświadczenia, by rozciągnąć grę, a potem dopiero atakować. Starają się za wszelką cenę uzyskać jeszcze jedną bramkę, a to w takim tłoku nie należy do rzeczy łatwych.

... Jeszcze jeden zryw „Pogoni”. Strzał!... Och! Brawo Perełka! Brawo! Pięknie obronił! „Pogoni” nie udało się uzyskać honorowej bramki.

W tej chwili sędzia ogłasza koniec meczu. Kibice z Woli wybiegają na boisko. Szalony entuzjazm. Znoszą graczy na ramionach. Tak... należą się chłopcom rześiste brawa, bo zagrali pięknie i zdobyli cenne zwycięstwo, które daje im miejsce w półfinale.

... A teraz postaramy się przeprowadzić krótką rozmowę z bohaterami dzisiejszego meczu.

Przy mikrofonie zjawił się Maniś z Perełką. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi ze zwycięstwa. Redaktor chwycił za ramię małego bramkarza i przyciągnął go do mikrofonu.

- A więc, proszę państwa, mamy przy mikrofonie dwóch bohaterów dzisiejszego meczu: bramkarza Perełkę i lewoskrzydłowego Paragona. Co powiesz o dzisiejszym meczu? - zapytał małego bramkarza.

Perełka rozdziawił usta. Był tak speszony, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Patrzył rozbieranymi oczami na lśniący niklem mikrofon i milczał jak zaklęty.

- Więc powiedz, jak ci się grało?
- Dobrze - wyjąkał chłopiec.
- Zadowolony jesteś z wyniku?
- Zadowolony.

Gdy Perełka zakończył ten niezbyt udany występ, do mikrofonu zbliżył się Paragon. Nie objawiał zupełnie lęku. Uśmiechnął się i powiedział swym wolskim akcentem:

- Mecz był klawy. Przeciwnik silny, ale jakoś daliśmy sobie radę. 3:0 to morowy wynik.
- A ty, przyjacielu, strzeliłeś wszystkie bramki. Gratuluję! - redaktor mocno uścisnął dłoń Maniusia.

- Strzeliło się, panie redaktorze - zaśmiał się Maniś. - Ale to zasługa całej drużyny. Dzisiaj wszyscy grali na medal. Co Wola to Wola. Mamy dobrego trenera, pana Stefanka z „Polonii”. On nas przygotował do meczu. Jemu też należy legalnie podziękować... No i publice, która nie oszczędzała ani gardeł, ani rąk, żeby tylko doping był dobry - spojrzął z ukosa na Chudyńskiego. Ten poklepał go przyjaźnie i zapytał:

- A jak będzie w półfinale?

- To się zobaczy, panie redaktorze. Nie wiemy jeszcze, z kim będziemy grać. Jeżeli „Huragan” wygra ze „Stolicą” - to z „Huraganem”, a to silna drużyna... Zobaczymy. Piłka jest okrągła. A teraz pozdrawiam ciocię Franię, która jest w szpitalu na Płockiej. Niech jak najszybciej wyzdrowieje i przyjdzie w niedzielę na mecz półfinałowy... Będzie na co patrzeć.

- Dziękuję! - rzekł redaktor. - Na tym kończymy naszą transmisję z boiska szkolnego. Do usłyszenia!

Perełka z wielkim uznaniem gapił się na kolegę.

- Ale masz, bracie, gadkę - powiedział kręcąc głową.

- Coś ty myślał? - uśmiechnął się Maniś. - Ja już mam praktykę. Już nieraz w propagandzie pracowałem.

ROZDZIAŁ VIII

Była sobota. Maniuś od rana cieszył się, że wcześniej kończy pracę. O drugiej po południu, gdy zawyją syreny u „Kasprzaka”, będzie mógł rzucić ten przeklęty resor, nad którym męczy się już od rana, a o czwartej pójdzie z chłopcami na Konwiktorską. Będzie to ostatni trening przed meczem z „Huraganem”. Stefanek zapowiedział, że po gimnastyce omówią założenia taktyczne meczu. Chłopcy bardzo się cieszyli, gdy Stefanek omawiał z nimi taktykę. Były to dla nich jakby manewry przed wielką bitwą.

Ostatnie dni upłynęły Maniusiowi niemal spokojnie. Zdążył się już przyzwycząić do pracy u pana Łopotka, a chociaż nieraz korciło go, by wymknąć się z warsztatu, zajrzeć do swych dobrych znajomych - panny Kazi, pani Wawrzynek czy pana Sosenki, to jednak z godnością znosił niewygody stałej pracy. Myślał bowiem, że jeżeli jego ukochany trener *TYCIY* sobie, by się ustatkował, to widocznie ma rację.

Sprawa zgłoszenia do „Huraganu” ucichła. Komitet organizacyjny turnieju po wysłuchaniu wyjaśnień Stefanka i redaktora Chudyńskiego odrzucił protest. Wawrzusiakowie wprawdzie odgrzali się, że wycofają drużynę z turnieju, ale nie zrobili tego, zwłaszcza, że po wygraniu meczu ze „Stolicą” mieli zapewnione miejsce w półfinale.

Wszystko układało się pomyślnie. Ciocia Frania w poniedziałek miała wrócić ze szpitala do domu. Maniuś od rana majstrował przy starym resorze. Odstukiwał rdzę młotkiem, wycierał pióra resoru oliwą.

- Jak ci leci robota? - zagadnął go majster zatrzymując się przy chłopcu.

- Jakoś leci, panie prezesie - odpowiedział wesoło. - Chociaż ja bym ten stary grat na śmietnik wyrzucił.

Pan Łopotek potrząsnął siwiejącą czupryną.

- Bądź cierpliwy. Zobaczysz, że będzie z tego resor jak ta lala. To, proszę jako go, znakomita stal. Takich resorów dzisiaj nie wyrabiają.

- Całe szczęście, bo za trzydzieści lat znów by się ktoś musiał nad nimi męczyć tak jak ja.

- Ech, z ciebie to nawet kijem tego lenia nie wypędzi. Powłóczyłbyś się trochę, co? - żartował stary monter.

- Legalnie, panie prezesie, ale obowiązki nie pozwalają.

- Poczekaj, jesienią, gdy pójdziesz do szkoły, to ci jeszcze bardziej mina zrzędnie. Już my z panem Wackiem postanowili, że cię do szkoły pošlemy. Zrobimy z ciebie człowieka. Jeszcze nas za to po rękach będziesz całował.

- Do jesieni daleko - uśmiechnął się chłopiec - może się jeszcze pan prezes rozmyśli.

„Do jesieni daleko - myślał Maniuś trąc z całej siły resor - a potem?... Potem szkoła. Może oni mają rację... Na razie nie warto się tym przejmować”...

Gdy tak rozmyślał, wśród starych wraków samochodowych zobaczył nagle Tadka Puchalskiego. Były piłkarz „Syrenki” zatrzymał się i patrzył na Paragona, jakby chciał mu coś powiedzieć. Maniuś zdziwił się bardzo. Nie spodziewał się tej wizyty. Widząc smętną minę Tadka, zawołał:

- Cześć! Jak tam u „Bazantów”?

Puchalski uśmiechnął się kwaśno. Widać, że nie miał ochoty na żarty.

- Dowiedziałem się, że tu pracujesz - zaczął wymijająco.

- A tak, bracie. Już cały tydzień w charakterze pomocy fachowej przy tych trupach. Ze starych „opiów” i „chevroletów” robimy nowe „de luxury”. Cud techniki z zastosowaniem najnowszych wynalazków! - śmiał się Paragon.

Tadek widząc, że Maniś patrzy niemal przyjaźnie, zbliżył się do niego.

- Chciałem z tobą pogadać - powiedział szeptem.

- Siadaj i szoruj resor z drugiej strony. W ten sposób przyczynisz się do postępu techniki - zażartował Maniś.

Tadek niechętnie zerknął na stary resor, ale widząc, że tak łatwiej mu będzie nawiązać rozmowę z Maniś, zabrał się do roboty.

- Jak tam u was? - zahaczył pierwszy Maniś.

- Eee... - westchnął Tadek - lepiej o tym nie mówić.

- Znowu ci się nie podoba?

- To nie klub, to granda.

- Tak?

- Żebyś wiedział. Ja jestem prawdziwym sportowcem. Dłużej tam nie wytrzymam. Przyszedłem do ciebie, żeby pogadać. Wiem, żeś morowy chłopiec, nie taki ważny jak Mandżaro. Słuchaj, chciałbym do was wrócić.

- Ho! Ho!... - zawołał Maniś. - Przyszła koza do woza.

- Nie wygłupiaj się. Ja do ciebie jak do kolegi, a ty się ze mnie nabijasz.

- To się legalnie zdarza - uśmiechnął się Maniś pojednawczo.

- U nas różnie było, ale przynajmniej drużyna była zgrana, morowa. A tam... Wyobraź sobie, dziś rano na treningu ten Łobodowicz dał mi w ucho.

- Ho! Ho! - Maniś raz jeszcze zagwizdał. - To tam mają dobre środki wychowawcze. A ty co?

- Zabrałem się i poszedłem. A Królewicz woła: „Idź, ty śmierdzący »Gołębiarzu«, bez ciebie i tak wygramy!” Mówię ci, że ten cały „Huragan” nie dla mnie. A ten prezes, bracie...

- Jaki prezes? - przerwał mu Paragon.

- No, ten gruby, co forszę na klub daje... Nie znasz go? Ten Darczak. To ci też, bracie, dobry ptaszek. Po meczu ze „Stolicą” zabrał nas wszystkich do restauracji i wino kazał pić.

- Dba o wiarę - zakpił Paragon.

- Idź ty - obruszył się Tadek. - Czy to klub sportowy? Powiedziałem, że nie piję, bo jestem prawdziwym sportowcem, to mnie wyśmiali... Albo przedwczoraj. Przychodzi do mnie Królewicz i mówi: „Chodź, bracie, na obstawę. - Na jaką obstawę? - Chodź, nie pytaj”. Poszliśmy, bracie, na Grochowską. Okazało się, że oni przeładowywali jakiś towar, a cała drużyna pilnowała, czy milicja nie idzie. Potem każdy dostał na lody.

- He, to ciekawe - mruknął Maniś. - A co oni tam ładowali?

- A bo ja wiem? Oni stale coś kombinują. Ten ich Darczak robi z Romkiem Wawrzusiakiem ciemne interesy. Skupują po sklepach jakieś towary, a potem na ciuchach sprzedają. Dlatego Darczaka nazywają „królem ciuchów”. A forsy mająk lodu. To on im wszystkim kostiumy i dresy kupił. A teraz powiedział, że jak wygrają, to każdemu kupi nowe buty.

- To zawodowcy! - wtrącił Maniś. - Za pieniądze grają.

- Jeszcze gorzej - podjął Tadek. - Wczoraj byłem u Królewicza, a tam całe zgromadzenie. I

podśluchałem, jak mówili o jakimś samochodzie. Chcą ukraść samochód, rozumiesz. Romek mówił, że rozbiorą go na części i potem sprzedadzą opony i co się da...

- Ho! Ho! - Maniuś poderwał się. - To ci dopiero kombinatorzy. Trzeba będzie z naszym Baryłą o tym pogadać.

- Błagam cię, nie rób tego! - zawołał Tadek. Twarz jego wyrażała przerażenie. - Oni powiedzieli, że jeśli pisnę jedno słówko, to mnie powieszają jak psa... - urwał i spojrzał błagalnie na Maniusia.

Obaj milczeli chwilę, trąc z zapalem stary resor. Słysząc było jedynie przeraźliwe szuranie po zardzewiałej stali i przyspieszone oddechy.

- Toś się, bracie, wkopał - Maniuś pierwszy przerwał milczenie.

- Szkoda gadać - westchnął Tadek. - Ale do nich już nie wrócę. Słuchaj, Paragon, powiedz chłopcom, żeby mnie przyjęli.

- To nie takie łatwe. Mandżaro będzie chciał zwołać zebranie, głosować...Ja będę głosował za tobą, ale inni? - przerwał czyszczenie resoru i popatrzył na Puchalskiego. - Ja ciebie rozumiem. Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do Stefanka i opowiesz mu, tak prosto z mostu.

- Głupio mi będzie.

- Nie bój się, to morowy chłop. Ja z nim najpierw pogadam, a potem zobaczymy...

Przerwali rozmowę i porzucili przykry temat. Zaczęli mówić o sprawach niezwykle miłych. Omawiali rozegrane w turnieju mecze, snuli przypuszczenia co do dalszych wyników, zagłębiali się w rozważania o technice piłkarskiej. Rozmowa płynęła już gładko, bez potknięć, a im dłużej rozmawiali, tym gorętsze wypieki płonęły na ich twarzach. Tak szybko czas im zleciał, że nie spostrzegli, kiedy stary resor zabłysnął, jakby go świeżo poniklowano.

- Robota pierwszej klasy, norma wykonana przedterminowo - zauważył z zadowoleniem Maniuś.

Uniósł ciężki resor, zarzucił go na ramię i pogwizdując wesoło, poszedł do warsztatu.

- Panie prezesie! - zawołał kładąc resor na ślusarskim stole. - Niech pan patrzy, jaka robota!

Pan Łopotek z uznaniem pokiwał siwą głową.

- No widzisz, proszę ja kogo, jak się przyłożysz, to i robota dobra. A dobrze wykonana robota to zadowolenie. - Spojrzał na wiszący na ścianie staroświecki budzik. Do drugiej brakowało jeszcze piętnastu minut. - Możesz już iść - powiedział kładąc rękę na ramieniu chłopca. - Ale przyjdź jeszcze po treningu, to mi pomożesz. Mam pilną robotę...

Chłopiec posmutniał.

- Godziny nadliczbowe przed meczem?... - szepnął jakby do siebie.

- Pół godzinki, nie dłużej.

- No dobrze - uśmiechnął się Maniuś. - Dla pana prezesa to nawet godzinę poświęcę.

- Więc przyjdź o ósmej. Tylko żebyś się nie spóźnił, bo pilna robota. Przyjeżdża jeden kierowca.

Chce, żebym mu błotnik wyprostował. Dostaniesz na lody.

- Legalnie, panie prezesie! - rzucił wesoło Paragon i po dawnemu pstryknął w daszek czapki.

Kiedy chłopcy wracali z treningu, łagodny wieczór letni fioletowym zmierzchem otulał gwarne ulice. Przed budynkiem Domu Towarowego kłębił się wielobarwny tłum. Wyelegantowani młodzieńcy krążyli wielkimi grupami. Śmiali się, zaczepiali dziewczęta.

Na skwerach rozsiadły się matki ze swymi pociechami. Małe urwisy krążyły wśród tłumu, krzycząc piskliwie i nawołując się głośno. Na balkony wylegli starsi *MĘŻCZYŹNI*. Zasłaniając twarze płachtami gazet, odgradzali się od tętniącego w tunelach ulic życia. Z otwartych okien jazgotliwym

strumieniem płynęła muzyka z głośników radiowych.

Chłopcy skręcili w Górczewską. Byli niezwykle podnieceni. Tematem ich hałaśliwej rozmowy był oczywiście jutrzejszy mecz. Obgadali go już na wszystkie możliwe sposoby, lecz mimo to wciąż stanowił niewyczerpane źródło kłótni i sporów.

Zatrzymali się przy Gołębniku.

- Ja idę jeszcze do starego - powiedział pełnym godności głosem Paragon. - Cześć, wiara! Trzymajcie się, bo jutro będzie gorący dzień! - Uśmiechnął się do kolegów, pstryknął w daszek i oddalił się szybkim krokiem.

Wciąż rozmyślał o jutrzejszym meczu. Zaciskał pięści i powtarzał szeptem: - Musimy wygrać, wiara! Musimy wygrać!

Gdy doszedł do wyłomu w murze, gruzy zalegał już mrok. W wypalonych domach gdzieniegdzie paliły się już światła. Wyglądały jak lampiony zawieszane w strzępach jakiejś nierealnej dekoracji.

Chłopiec szybko przemknął przez wyłom, przeciął puste, ciemne boisko i skierował się do małej furtki prowadzącej na cmentarzysko samochodów. Naraz stanął jak wryty. Przy furtce ujrzał Romka Wawrzusiaka. Odwrócony do niego tyłem, ćmił papierosa i patrzył bacznie na ogrodzony teren warsztatu Łopotka.

Maniś przypomniał sobie wszystkie jego pogróżki i dzisiejsze opowiadanie Tadka Puchalskiego. Strach go ogarnął. Co będzie, jeśli go Romek zauważy?

W głębi cmentarzyska samochodów odezwał się przytłumiony warkot motoru. Wielka, nakryta brezentowym dachem ciężarówka wtoczyła się na plac, liżąc językami reflektorów szkielety starych samochodów. Wawrzusiak rzucił papierosa i ukrył się za kupą gruzu. Ciężarówka zatoczyła szerokie koło, zawróciła i stanęła przed warsztatem. Warkot motoru umilkł, a światła zgasły tak nagle, że wokoło zapanowała oślepiająca ciemność.

Cień Romka Wawrzusiaka poruszył się. Z głębi placu doleciał czyjś głos:

- Panie Łopotek, jesteś pan? Odpowiedział mu znajomy głos:

- Jestem. Chodź pan na chwilę do środka.

Huknęły zatrzaśnięte drzwi szoferki i w chwilę potem drzwi warsztatu. Wawrzusiak pchnął furtkę i zaczął się ostrożnie skradać do samochodu. Maniś poszedł za nim. „Czego on tu szuka?” - myślał kryjąc się za wrakami samochodów. Spostrzegł, że cień Wawrzusiaka przemknął przez otwartą przestrzeń pomiędzy wrakami a ciężarówką i znikł za ciężkim cielskim samochodem. Potem drzwi szoferki zaskrzypiały cicho i nagle motor zawarczał głucho, przeraźliwie, jak na alarm.

W głowie chłopca błysnęła myśl: „Przecież Tadek mówił, że oni chcą ukraść samochód...” Coś go pchnęło ku ciężarówce. Gdy dobiegał do niej, ruszała już z miejsca. Koła zabuksowały, drąc suchą glinę, i pchnęły ciężki wóz w pełny bieg. Maniś zdążył złapać obiema rękami za krawędź tylnej klapy. Porwało go. Nogi zawisły mu na chwilę w powietrzu. Odbił się jeszcze raz od ziemi i jednym zręcznym susem wdrapał się na platformę nabierającej rozpędu ciężarówki.

W tym samym momencie usłyszał za sobą przeraźliwe wołanie:

- Stój! Stój!

Obejrzał się. Drzwi warsztatu były otwarte. W smudze mętnego światła biegł Łopotek, a za nim kierowca ciężarówki. Wawrzusiak usłyszał ich wołanie, dodał gazu i ciężarówka pomknęła jak szalona. Dwie biegnące sylwetki szybko zmalowały, aż wtopiły się w gęstniejący mrok.

Maniś chciał coś zawołać, lecz ze strachu przed Wawrzusiakiem głos zamarł mu w gardle.

Jękliwie zazgrzytały hamulce na zakręcie, zarzuciło tak gwałtownie, że chłopiec jak kukła

potoczył się na leżące w głębi skrzynie. Po chwili motor zawarczał już równo i ciężarówka, nabierając szybkości, pomknęła po pustej niemal szosie.

Gdy Maniusz otrząsnął się z pierwszego oszołomienia, postanowił wyskoczyć z pędzącego samochodu. Znalazł się w straszliwej sytuacji. Gdyby Wawrzusiak wiedział, kogo wiezie pod budą ukradzionego samochodu, zatłukłby go na miejscu. Na tę myśl chłopiec przyczołgał się do tylnej klapy i próbował się ześliznąć. Ale gdy tylko przełożył nogi na zewnątrz, wóz podskoczył gwałtownie.

Chłopiec złapał się mocno bocznej krawędzi i czekał na odpowiedni moment, gdy samochód zwolni lub zatrzyma się na skrzyżowaniu ulic.

Ale na próżno czekał. Wóz pędził coraz szybciej. Brezentowa płachta łopotiała, furczała od pędu powietrza. Motor nie grał, lecz wyl przeciągle. Ciemne pasmo szosy z zawrotną szybkością uciekało spod kół.

Maniusz chciał się zorientować, którądy jadą. Rozglądał się starając zapamiętać mijane ulice. Początkowo był tak zamroczony strachem, że trudno mu było skupić myśli. Dopiero, gdy wjechali na żoliborski wiadukt, oprzytomniał nieco.

Przypuszczał, że na placu Inwalidów albo na placu Komuny Paryskiej wóz zwolni. Tymczasem latarnie ulic migały tylko jak świetliste smugi. Z zawrotną szybkością mijali samochody i przepełnione wozy tramwajowe. Nadzieja na wydostanie się z pędzącego więzienia była coraz niklejsza.

Na placu Komuny Paryskiej skręcili gwałtownie w prawo, ku Wiśle. Potem znowu w lewo. Koła ciężarówki zadrgały na nierównym bruku. Skrzynie tańczyły i obijały się o siebie jak pijane. Maniuszowi zdawało się, że ta piekielna jazda nie skończy się już nigdy.

Naraz wóz gwałtownie przyhamował. Chłopiec wraz z roztańczonymi skrzyniami poleciał aż na ścianę szoferki. A gdy wygrzebał się, spostrzegł, że ciężarówka zwolniła i skręca w jakieś zabudowania. Jednym susem był przy tylnej klapie. Oparł się o nią obiema rękami i wyskoczył...

Stopy zapiekły go od nagłego zetknięcia się z chodnikiem. Nie wytrzymał wstrząsu, upadł na ręce i twarz. W tej samej chwili zobaczył nad sobą czyjś cień.

Cień olbrzymiał, aż nakrył go zupełnie. Jakiś ciężar przygniótł go do ziemi. Chłopiec zaczął się szamotać. Po chwili zdołał wydostać się spod przygniatającego go ciała i poznał Królewicza.

- Puść! - zawołał rozpaczliwie.

Gdzieś z boku rozległ się ostry gwizd i w bramie zjawił się tęgi mężczyzna w rozchełstanej na piersiach koszuli.

- Co się stało?! - zawołał drżącym z podniecenia i wściekłości głosem.

- On był w wozie, panie szefie - wykrztusił Królewicz szamocząc się z Paragonem.

Nadbiegający człowiek złapał Maniusia za kark, przydusił go do ziemi. Potem jednym szarpnięciem poderwał go, postawił na nogi i zaniósł do bramy.

- Kto to? - zapytał biegnącego obok nich Królewicza.

- To ten Paragon, wie pan...

Tęgi mężczyzna, którego Królewicz nazywał szefem, postawił chłopca pod ścianą.

- Co tu robisz, szczeniaku?! Dlaczegoś tu przyjechał? Mów, bo ci łeb o mur rozwalę!

Maniusz zamarł ze strachu. Skulił się, zamknął oczy i czekał na ciosy, które za chwilę nań spadną!

Usłyszał zachrypty głos starszego Wawrzusiaka:

- Skąd żeś się tu przyplątał, ty gadzie?

Na jego głowę, na barki i piersi posypał się grad uderzeń. Jęknął, zsunął się na kolana i wtedy poczuł kopnięcie w brzuch. Zrobiło mu się mdło. Stracił przytomność.

Gdy ocknął się, w bladym świetle naftowej latarni zobaczył nad sobą trzy pochylone twarze: czerwoną, nalaną - szefa, smagłą, niemal dziecięcą - Królewicza i ciemną, wykrzywioną złością - starszego Wawrzusiaka.

- Jeszcze zipie - odezwał się szef.

- Nic mu nie będzie - odpowiedział Romek Wawrzusiak.

Królewicz miał duże, wystraszone oczy. Wargi mu drżały, z przerażeniem patrzył na leżącego na ziemi Paragona. Romek trącił chłopca końcem buta.

- Wstawaj! - zawołał.

Maniś podźwignął się na rękę, potem na kolana i uniósł się z trudem. Wawrzusiak złapał go za gardło.

- Gdzie wskoczyłeś do samochodu? - zapytał potrząsając chłopcem. Chłopiec jeszcze szerzej otworzył wystraszone oczy. Milczał.

- Mów, bo cię zaduszę!

- U pana Łopotka!

- Kto ci kazał?

- Ja sam...

- Dlaczego?

Maniś wzruszył ramionami. W tym ruchu było tyle bezgranicznej bezsilności, że Wawrzusiak puścił go na chwilę. Otarł ręką spocone czoło, odwrócił się w stronę szefa.

- I co z nim zrobić?

Szef popatrzył na chłopca przekrwionymi oczami.

- Niech tu siedzi. Może nauczy się rozumu.

Zostawili go pod ścianą. Odeszli. Powoli, ze zgrzytem zamykały się drzwi. Jeszcze przez chwilę przez szpary przesiąkały blade, chybotliwe smugi światła, ale i one wnet ściemniały, wydłużyły się, znikły. Został sam. Stał oparty o mur i wpatrywał się w niewidzialny prostokąt drzwi. Wokół było ciemno. Tchnęło wilgocią i piwniczną stęchlizną. Maniś otarł rękawem nos. Łzy gorące i gorzkie, nabrzmiące straszliwym żalem spływały mu po policzkach. Czuł ich słony smak na spieczonych wargach. Powtarzał mechanicznie, półprzytomnie: - Przecież jutro mecz... przecież jutro mecz... Jakże oni beze mnie zagrają...

Stefanek późno wrócił do domu. Po drodze myślał o Maniusiu: „Czy sam zaparzy sobie herbaty? Czy znajdzie w szafce masło i cukier? Czy wykąpie się przed snem?” Te drobne sprawy były objawem troskliwości, jaką otaczał chłopca. Gdy zaprowadził swoją „jawę” do szopy, wyrosła przed nim wysoka postać pana Łopotka.

- Byłem właśnie u pana - przywitał go monter. - Chciałem się zapytać, czy Paragon wrócił do domu.

Stefanek zatrzymał się. Pobladł lekko.

- A co, nie ma go?

- Dzwoniłem, nikt nie otwiera.

- Może śpi. Trzeba zobaczyć.

Wbiegli szybko na piętro. Stefanek przekręcił klucz, pchnął drzwi i wpadł do mieszkania. W pokoju przekręcił kontakt. Tapczan był pusty. Starannie zasłana kołdra nietknięta.

- Nie ma go - powiedział, jakby do siebie.

- Otóż to, proszę ja kogo - wtrącił pan Łopotek, czochrając palcami gęste włosy. - Ja dlatego tu przyszedłem, bo chłopiec miał być u mnie o ósmej i nie zjawił się.

- Cóż się mogło stać? Ostatnio zawsze był bardzo punktualny. O wyznaczonej godzinie przychodził do domu.

- Otóż to - westchnął monter i usiadłszy na krawędzi krzesła opowiedział trenerowi o kradzieży samochodu. Gdy skończył, Stefanek zapytał z lękiem w głosie:

- Czy pan myśli, że ta kradzież ma związek ze zniknięciem chłopca? Monter uniósł swe szerokie ramiona.

- Nie wiem, proszę ja kogo. Ale to dziwna sprawa. Zdawało mi się, że jakiś chłopiec siedzi pod budą, tak jakby nasz Paragon. Czyja wiem? Może mi się tylko tak zdawało. W takich wypadkach człowiek nie może ręczyć, czy widział, czy nie widział, ale, proszę ja kogo, fakt, że mi się zdawało.

- Zawiadomił pan milicję?

- Kierowca zawiadomił. Jemu portki się trzęsą, bo mu wóz z towarem zdmuchnęli sprzed nosa. Z drogim towarem, proszę ja kogo. Wiózł skrzynie z kawą i kakao do Delikatesów. Obłowili się, szubrawcy. Mądre bestie. Wiedzieli, co kradną. Nowiutki „Star” i do tego delikatesowy towar... To ci dopiero! - klepnął się z całej siły w kolano i z niedowierzaniem pokręcił siwiejącą głową.

- To ciekawe - powiedział w zamyśleniu Stefanek. - Ale do licha, skąd się na wozie wziął Paragon?

Pan Łopotek rozłożył ręce.

- W duchy, proszę ja kogo, nie wierzę. Oczy mam jeszcze dobre. Nie będę przysięgał, ale zdaje mi się, że chłopca widziałem.

- Więc przypuszcza pan, że on był w zмовie z tymi... - Stefanek urwał, jakby się przeraził tej myśli.

- W głowie mi się to nie mieści - podjął pan Łopotek. - Przecież to w gruncie rzeczy porządny chłopak.

- Ja też nie wierzę - wtrącił trener. - Ale jednak trzeba zawiadomić milicję o zaginięciu chłopca.

Całą noc przesiedział Maniś w piwnicy. Zwinął się w kłębek jak zbity, skopany psiak i dygocąc z zimna spał snem nerwowym, niespokojnym. Rano obudził go warkot motoru. Otrząsnął się z bolesnego odrętwienia. Nasłuchiwał. Jakiś samochód wytaczał się z hukiem z podwórza. Chłopiec był jeszcze zaśmiony snem, ale gdy ocknął się na dobre, domyślił się, że złodzieje zabierają ukradzioną ciężarówkę. I wtedy z całą świadomością pojął, w jakiej znalazł się sytuacji.

Początkowo chciał rzucić się do drzwi z krzykiem, by go wypuszczono. Ale przy pierwszym gwałtowniejszym ruchu doznał dotkliwego bólu w okolicy brzucha. Przypomniawszy sobie, jak go wczoraj obić Romek Wawrzusiak. Rozsądek kazał mu pozostać w spokoju.

Musiło być jeszcze wcześniej, bo po odjeździe ciężarówki zaległa wokół głucha, dzwoniąca w uszach cisza. Maniś rozejrzał się z lękiem. Piwnica była niemal pusta. W jednym rogu stała tylko zeschnięta, rozlatująca się beczka.

W drugim - leżało trochę przegniłych ziemniaków. Przez drzwi przeciekało wątle światło. Jego wąskie smugi kładły się jak szare promienie. Z boku również coś szarzało. Maniś podszedł do tego miejsca i spostrzegł, że również w murze jest mała szczelina, przez którą przecieka światło wstającego dnia.

Powrócił doswego kąta, usiadł podciągając pod brodę chude, obolałe kolana. Zapadł znowu w

męczący półsen. Jak długo trwał w tym stanie, nie wiedział. Ocknął się dopiero na zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Zerwał się, wtulił w kąt i z lękiem oczekiwał nadejścia swoich oprawców.

Kiedy drzwi się otwarły, w mętnej smudze bijącego z góry światła ujrzął Królewicza.

- Paragon, gdzie ty jesteś? - zapytał szeptem młody Wawrzusiak mrużąc nieprzywykłe do ciemności oczy.

- Co chcesz ode mnie? - syknął Maniś.

Królewicz zbliżył się do niego. Miał na sobie nowy garnitur. Bił od niego zapach taniej wody kolońskiej i brylantyny.

- Po co ci to było? - powiedział z odcieniem współczucia. - Z szefem ani z Romkiem nie warto zadzierać.

Maniś wyczuł w jego głosie łagodniejszą nutę, więc zapytał:

- Co oni ze mną zrobią? Królewicz obejrzał się i ściszył głos:

- Słuchaj, dziś nasz mecz... Ja cię wypuszczę... Niech nie mówią, że przegrali, bo nie było Paragona... Jak wygrać z wami to, bracie, honorowo. Tylko musisz mi przysiąc, że nie puścisz pary z gęby, rozumiesz?

Maniś był tak oszołomiony tym, co usłyszał, że nie powiedział ani słowa, tylko skinął głową.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Na co?

- Na moją „Syrenkę”.

- Mało.

- Nie... na moją śmierć. Jeżeli pisnę słowo, to możecie mnie zabić.

- Dobrze - piękne oczy Królewicza zapłonęły dziwnym blaskiem. - Pamiętaj! Ja też ryzykuję. Jeżeli się dowiedzą, że to ja ciebie wypuściłem, to oberwę tak, jak ty wczoraj. Pamiętaj. Widzisz, ja nie taki, jakżeś myślał. A teraz chodź - pociągnął go za rękaw.

- Julek! - zawołał ktoś złym, rozdrażnionym głosem. - Julek, gdzie jesteś? Królewicz przylgnął do wilgotnego muru.

- Schowaj się - rzucił szeptem Maniusiowi.

Na najwyższym stopniu schodów ukazały się czyjeś nogi.

- Julek!

- Co? - odkrzyknął Królewicz głosem niezbyt pewnym.

- Czego tam szukasz?

- A nic... Zaniósłem mu wałówkę. Przecież od wczoraj nic nie jadł.

Stojący na górze człowiek nie zaufał jednak wykrętnej odpowiedzi Królewicza. Postłyszeli szybkie kroki na schodach. Maniś jednym susem przeskoczył kilka stopni i skrył się za drzwiami. Przez szparę zobaczył tęgiego, barczystego mężczyznę.

„To ten szef” - pomyślał Maniś.

Tymczasem człowiek o czerwonej, nabrzmiałej twarzy złapał Królewicza za rękaw.

- Czego się tu kręcisz, pętaku?! - krzyknął. - Chcesz dostać po uszach? - wypchnął Królewicza z piwnicy, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Maniś, z drętwiejącym z żalu sercem, patrzył przez szparę, jak na schodach znikają dwie postacie: najpierw było je widać do połowy, potem tylko nogi, buty, aż wreszcie w polu widzenia

pozostały puste, niezamiecione schody. Chłopiec oparł czoło o chropowate deski drzwi i poczuł taką pustkę, jakby sam został na świecie. Nadzieja, która przed chwilą kazała mu wierzyć, że przed południem stanie na boisku obok Perełki, Mandżaro, Ignasia i innych kolegów, teraz zamieniła się w bolesną bezdenną rozpacz. Nie płakał, ale drżał cały od bezgłośnego wewnętrznego szlochu.

- Dlaczego tak się stało? Dlaczego?... - powtarzał bezwiednie. Powlókł się do swego kąta, skulił się jak skrzywdzone, chore zwierzę i przymknął oczy. Zdawało mu się, że jest na Agrykoli. Wokół boiska tłoczą się niesforni malcy. „Patrzcie, to ten Paragon, który strzelił »Pogoni« trzy bramki” - pokazują na niego. Wysoko na bezchmurnym niebie trzepoce biało-czerwona flaga, a jeszcze wyżej stadko gołębi pomyka nad wiślaną skarpą jak siwa chmurka. Za chwilę ma się zacząć mecz. Wszyscy mają poważne, skupione miny. Na boisko wchodzi sędzia, w czarnym sportowym stroju. Podnosi do ust srebrny gwizdek... Już dmucha wąż z całej siły...

Zatopiony w marzeniach Maniś otworzył oczy i wzrok jego spoczął na szarej plamie światła przesączającego się przez szczelinę w murze. Zaświtała mu szaleńcza myśl. „A gdyby tak spróbować rozszerzyć tę szczelinę, wykruszyć mur i wydostać się na zewnątrz?” Uchwycił się tej myśli jak nitki prowadzącej do wyjścia z labiryntu. Wstał i nagle poweselał.

- Trzeba spróbować! Trzeba spróbować! A nuż uda mi się zwać i zdążyć jeszcze na mecz... - szeptał sam do siebie.

Podszedł do ściany i zbadał szczelinę.

Była tak wąska, że nie mógł wsadzić nawet dłoni. Jednak ściana zbudowana z płaskiego kamienia nie wydawała się zbyt gruba. Rozejrzał się. Niestety, w piwnicy oprócz starej beczki po kapuście niczego nie było. Naraz dłoń jego natrafiła na żelazną obręcz beczki.

„Jest - pomyślał - trzeba zdjąć obręcz z beczki, a potem ją przełamać”.

Nie sprawiło mu to wiele kłopotu. Obręcz opadła po jednym nocnym kopnięciu w klepki. Przygiął ją nogą do ziemi i zaczął zginać. Po kilku takich ruchach obręcz pękła w miejscu, gdzie była nadżarta przez rdzę. W ten sposób w ręku Manusia został kawał ostrego *żelaza*.

Zaczął nim wybijać pierwszy kamień. Pracował gorączkowo. Żelazem wydłubywał ze szpar zaprawę murarską. Kruszyła się dość łatwo. Wnet pierwszy kamień poruszył się. Maniś jeszcze chwilę wydłubywał wokół zaprawę. Potem spróbował wyjąć kamień. Jakoś poszło. Teraz robota szła już lepiej. Następny kamień wyłupał podważając go żelazem. Pracował coraz szybciej, coraz żarciej. Myślał tylko o tym, że na boisku czekają nań chłopcy.

- Jeeest! - z kilku tysięcy piersi wydarł się okrzyk i popłynął echemi po zalanym słońcem parku.

„Jest” - powtórzył w myśli Stefanek i skrzywił się z niezadowoleniem. Patrzył, jak Perełka wybiera z siatki piłkę.

Przed chwilą „Huragan” przeprowadził błyskawiczny atak. Skrzydłowy poszedł do środka, zmienił pozycję z Królewiczem, Królewicz minął Motylskiego, podał Skumbrii, a ten strzelił w pełnym biegu. Strzał był tak zaskakujący, że Perełka nie zdążył nawet wyciągnąć rąk. „Huragan” prowadził 1:0.

„Ten Motylski jest słaby - myślał Stefanek. - Przez niego strzelił tę bramkę”. Podszedł bliżej linii autowej i zawołał w stronę rosnącego chłopca:

- Franek, patrz, z czego żyjesz! Pilnuj lepiej Wawrzusiaka.

Chłopiec skinął tylko głową. Stefanek spojrział na zegarek. Od początku upłynęło już dwadzieścia pięć minut. Pięć minut pozostawało do przerwy. Trener popatrzył z niepokojem na boisko. Na środku wznowiono już grę. Mandżaro podał piłkę do Paradowskiego. Łącznik oddał ją Pająkowi, a ten

zaczął prowadzić na bramkę. Wśród widowni zerwał się ogłuszający okrzyk:

- „Syrenka”, grać! „Syrenka”, gola!

Pająk kołysząc się na swych długich nogach minął zręcznym zwodem ciała jednego przeciwnika, obtańcował drugiego i posłał piłkę na lewe skrzydło do Kołpika, który grał zamiast Paragona. Maleńki Oleś przejął piłkę, lecz w tej samej chwili natknął się na rosnącego obrońcę „Huraganu”. Zderzyli się. Kołpik odskoczył jak piłka.

- Tak - westchnął Stefanek - gdyby tam był Paragon, inaczej wyglądałaby sytuacja.

Gdy tylko wspomniał o Maniusiu, zaraz ogarniał go niepokój. Poprzedniego wieczora, gdy wyszedł od niego Łopotek, trener zawiadomił komisariat i dał znać o zniknięciu chłopca. Pocieszał się jeszcze, że Maniś wróci rano, a jednak do tej pory go nie było. Chłopcy też byli zdenerwowani. Nic dziwnego - zaczęli mecz bez swego najlepszego gracza. Ich zdenerwowanie odbijało się na grze. Grali jakoś niemrawo i chociaż do tej pory stracili tylko jedną bramkę, to jednak cały czas wyraźną przewagę miał „Huragan”. Wynik był niski, dzięki wspaniałej grze Perełki, który kilka razy obronił nieuchronne strzały.

„Huragan” atakował bez przerwy. Skumbria poszedł na przebój. Jego jasna czupryna migąła w płataninie graczy. Mijał ich z wielką łatwością. Gdy był już pod bramką, skierował piłkę pod nogi nadbiegającego Królewicza, a ten błyskawicznie strzelił...

Stefanek przymknął oczy. Był pewny, że piłka znowu ugrzęźnie w siatce. Ale... Tym razem bramki nie było. Perełka wybił piłkę w pole i „Huragan” znowu poszedł do ataku.

- Nie spać, chłopcy! - zawołał Stefanek. - Pilnować ich! Cofnąć się pod bramkę!

Były to rady doświadczonego piłkarza. Widział, że w tej chwili „Huragan” uzyskał dobrą passę. Jedynym ratunkiem było murować bramkę i przeczekać gwałtowne ataki. Niech się przeciwnik zmęczy, niech drużyna otrząśnie się, a może po przerwie zmieni się obraz gry...

Gdy sędzia odgwizdał koniec pierwszej połowy meczu, Stefanek odetchnął z ulgą.

„A więc do przerwy 0:1” - pomyślał.

Chłopcy w milczeniu szli w kierunku drzew, pod którymi urządzili sobie szatnię.

Perełka pierwszy usiadł pod drzewem. Oparł się plecami o pień, cisnął ze złością czapkę.

- Do kitu z taką grą! - powiedział płaczliwym głosem. - Człowiek stoi w bramce i nie wie, czy jest obrona, czy nie ma obrony!

Franek Motylski rozłożył ręce.

- Jakżeś taki mądry, to stań na moim miejscu. Przecież łącznicy mieli się cofać. Sam nie utrzymam całego ataku.

- Grasz jak stołowa noga - wtrącił Ignas - i jeszcze się szarpiesz! Motylski zaperzył się na dobre.

- A wy zamiast strzelać, to się bawicie piłką! Do bani z takim atakiem! - Ze złością otworzył butelkę lemoniady.

- Uspokójcie się, do jasnej Anielki - krzyknął Mandżaro. - Mecz jeszcze nieprzeegrany, a wy już płaczecie.

- Nieprzeegrany... - parsknął kpiąco Perełka - ale duszą nas, że zipnąć nie można.

- Gdyby nie Perełka, to by już w siatce trzy lufy siedziały - zauważył fachowo Krzysz Słonecki.

- I w ogóle... - wmieszał się do rozmowy Pająk, który do tej pory rzadko zabierał głos. Nic więc dziwnego, że utknął na pierwszym słowie.

- Co: w ogóle? - zaśmiał się Mietek Gralewski. - Może lepiej w szczególności. Pająk poczerwieniał. Wysunął jajowatą głowę, wybałuszył bladoniebieskie oczy.

- I w ogóle do chrzanu - wystękał ze złością. Wśród chłopców stanął Stefanek. Był poważny, skupiony.

- Moi kochani - powiedział - proszę was, nie kłóćcie się. Mecz nie jest jeszcze przegrany. Weźcie się w garść, to będzie można wyrównać.

- Ech - przerwał mu mały bramkarz - gdyby był Paragon... - nagle urwał. Wśród otaczających ich kibiców dojrzał znajomą sylwetkę. Uniósł się otwierając ze zdumieniem usta. Paragon, nie Paragon? Zbliżający się do nich chłopiec mało przypominał wesołego kolegę z Gołębnika. Twarz posiniaczona, ziemista, usmarowana kurzem i błotem, oczy zapadnięte...

- Paragon! - zawołał radośnie Perełka i rzucił się na spotkanie kolegi. Scena powitania była tak zaskakująca, że nikt nie ruszył się z miejsca. Mały bramkarz ścisnął Maniusia za szyję.

- Jesteś, bracie! Myśmy myśleli, że już po tobie. Paragon, kochany, żyjesz! - wykrzykiwał radośnie.

Dopiero teraz chłopcy ławą okrążyli lewoskrzydłowego i gapiąc się nań ze zdumieniem i radością, zarzucili go pytaniami:

- Gdzie byłeś? Co się z tobą stało? Jak ty wyglądasz?

Maniś stał w środku. Pełnymi łez oczami wodził po twarzach kolegów, jakby nie dowierzał, że znów jest między nimi. Gdy zobaczył Stefanka, uśmiechnął się żałośnie i zapytał:

- Panie Wacku, czy mogę zagrać? Stefanek przygarnął go do siebie.

- Ej, chłopcze, chłopcze, co ja z tobą mam!... - ujął go za ramiona i popatrzył prosto w oczy. - Gdzie byłeś? - zapytał przeciągłym głosem.

Maniś utkwiał wzrok w ziemi.

- Nie mogę powiedzieć - wyszeptał.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy to ty sprowadziłeś tych ludzi do pana Łopotka?

Chłopiec uniósł głowę i spojrzał trenerowi prosto w oczy.

- Nie ja - rzekł poważnie.

- Wierzę ci - trener uśmiechnął się, jakby w tej chwili oddalił od siebie wielką troskę. - No dobrze. Przebieraj się, bo za chwilę zaczynamy grać.

„Huragan” prowadzi 1:0... „Huragan” prowadzi...

Ta jedna dokuczliwa myśl tkwiła w nim jak drzazga. Gdy wbiegł na boisko, zapomniał o wszystkim: o ukradzionym samochodzie, o przysiędze złożonej Królewiczowi, o kopniaku Romka Wawrzusiaka, nawet o bólu, który odczuwał niekiedy przy gwałtowniejszym ruchu - myślał jedynie o meczu.

Młody Wawrzusiak widząc go na boisku przybladł lekko i ze zdumienia opuścił bezsilnie ręce.

- Skądżeś się tu wziął? - zawołał.

Maniś zamiast odpowiedzi wrzucił tylko ramionami. Rozpoczynała się gra i jednocześnie z widowni zerwał się akompaniament okrzyków:

- „Huragan”! „Huragan”! „Huragan”!

Jak echo odpowiedział mu wrzask z drugiej strony boiska:

- „Syrenka”! „Syrenka”! „Syrenka”!

Boisko ożyło. Dwudziestu dwóch graczy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ruszyło do walki. Żółta kula piłki potoczyła się po murawie boiska, ściągając na siebie tysiące par roziskrzonych oczu.

Paragon, cofając się wzdłuż bocznej linii, śledził ją z wielkim napięciem. Widział, jak atak

„Huraganu” sunie na bramkę Perełki. Zakłębiło się pod bramką. Piłka zatrzepotała wśród nóg graczy. Śmignął żółty sweter i mały bramkarz wyluskał piłkę spod nóg przygotowującego się do strzału Skumbrii.

Piłkę wybił Perełka. Szerokim łukiem przeleciała ponad głowami widzów i upadła blisko Paragona. Ten zastopował ją dokładnie i wysłał przed siebie. Prowadził. Jego ruchy były płynne, szybkie. Gwałtownym zwodem zmylił przeciwnika i spojrzął przed siebie. Ława czarnych i zielonych koszulek sunęła pod bramkę „Huraganu”. Paragon w pełnym biegu posłał piłkę do Mandżaro. Środek ataku musnął ją głową. Piłka zmieniła kierunek. Wpadła pod nogi Ignasia. Łącznik strzelił błyskawicznie. Niestety, strzał o centymetry minął poprzeczkę.

„Dobrze jest - pomyślał Paragon cofając się na swoje pole. - Jeszcze kilka takich zagrań, a wyrównanie gotowe”.

„Huragan” przypuścił nowy atak. Teraz Królewicz popisywał się piękną techniką. Przejął piłkę od stopera, ładnie ją zgasił i zaczął prowadzić. Zdawało się, że piłka przykleiła się do jego zwinnych nóg. Posłuszna każdemu ruchowi mknęła w stronę bramki. Wawrzusiak minął już dwóch graczy, niedostrzegalnym kopnięciem posłał ją do Skumbrii. Ten strzelił!... Perełka wyciągnął się jak struna i w ostatniej niemal chwili wpiąstkował ją na aut.

„Będzie korner” - pomyślał Paragon.

Za chwilę lewo skrzydłowy „Huraganu” ustawił piłkę w rogu, cofnął się kilka kroków, rozpędził się i posłał piłkę w pole. Gracze jeden po drugim wyskakiwali ku niej by jej dosięgnąć. Wreszcie upadła. Królewicz doskoczył do niej jakimś błyskawicznym kocim skokiem i strzelił z woleja...

Znowu aut!

Paragon dreptał niecierpliwie w miejscu. Niepokoiło go to oblężenie bramki.

- Wiara - zawołał do kolegów - grać, a nie spać! Kryjcie dobrze każdego!

Nie było czasu na rozmowy. Właśnie Krzys Słonecki odebrał podanie obrońcy i przedłużył je na lewe skrzydło. Maniś złapał piłkę w powietrzu, zastopował i lekko wysłał przed siebie. Tuż przed piłką zobaczył przeciwnika w zielonej koszulce. Wyprzedził go błyskawicznym zrywem. Zmienił kierunek biegu i parł co sił ku bramce. Przed oczami migwały mu czyjeś nogi. Piłka umykała jak żółty płomień, a on z zapartym oddechem prowadził ją. Tuż przed sobą zobaczył wybiegającego bramkarza. Lekkim ruchem stopy zmienił kierunek biegu piłki, mignęła mu w oczach czarna koszulka Ignasia i siatka zatrzepotała...

- Jest! - rozległ się radosny okrzyk.

Maniś wyrzucił ręce do góry i wymachując nimi, krzyczał:

- Jest 1:1... Wyrównanie!

Wpadł prosto w objęcia Ignasia. Łącznik śmiał się rozradowany.

- Aleś mi wspaniale wystawił! Dziękuję ci, Paragon! Nadbiegł Mandżaro.

- Pierwsza klasa! - zawołał. - Grajmy tak dalej, a zobaczycie, że wygramy.

- Cicho siedź, bo zapeszysz! - ofuknął go Ignas. Był bardzo przesądny. Drżał o wynik meczu.

Po wyrównaniu chłopcy z „Syrenki” zerwali się do nowego ataku. Strzelona bramka przywróciła im wiarę w swe siły. Teraz cała drużyna składnie rozwiązywała każde zadanie. Piłka, posłuszna precyzyjnym ruchom graczy, migiała od nogi do nogi.

Paragon uwijał się wśród graczy. Dwoił się i troił. W nerwowym podnieceniu powtarzał w myśli: „Strzelić jeszcze jedną bramkę! Jeszcze tylko jedną...”

Otrzymał właśnie piłkę od Pajaka. Posłał ją „główką” do Ignasia. Ignas zręcznie uciekł na

skrzydło. Ściągnął na siebie dwóch graczy, zmylił ich i podał piłkę do środka. Maniś wyprysnął spośród ciżby koszulek i głową skierował piłkę do bramki. Bramkarz rzucił się rozpaczliwie, lecz tylko musnął piłkę palcami. Znowu zatrzepotało w siatce.

Maniś pośliznął się, upadł i leżąc na trawie patrzył z napięciem na sędziego.

- Jest! - zahuczało wśród tłumu.

„Jest” - przemknęła najradośniejsza myśl, ale w tej chwili chłopiec zobaczył, że sędzia macha przecząco ręką.

- Spalony! - obilo mu się o uszy. Zerwał się, podbiegł do sędziego.

- Panie sędzio! Jak ciocię Franję kocham, nie było spalonego!

Sędzia kategorycznym ruchem wskazał miejsce, z którego „Huragan” miał bić rzut wolny.

- Panie sędzio!... - jęknął zrozpaczony chłopiec.

- Daj spokój! - usłyszał obok siebie nie mniej rozpaczliwy głos Mandżaro. - Daj spokój. Sędzia lepiej widział niż ty.

Wśród tłumu wyrostków odezwały się gwizdy. Jakiś wysoki, napięty do ostateczności głos zawołał przeciągle:

- Sędzia kaaalosz! Kaaalosz!

Sędzia nie zwracał uwagi na niesfornych kibiców. Dał sygnał gwizdkiem i gra potoczyła się dalej.

- Daję słowo, że nie było spalonego! - wołał zrozpaczony Paragon do Ignasia. Cofali się pod własną bramkę. Teraz Skumbria otrzymał piłkę na środku boiska i próbował iść na przebój. Jego zgrabna, dobrze zbudowana postać prześlizgiwała się wśród graczy. Był coraz bliżej bramki. Perełka czał się na zgiętych kolanach i nieoczekiwanie rzucił mu się pod nogi. Ręce bramkarza i but atakującego niemal jednocześnie zetknęły się na jasnym punkcie piłki. Klasnęło, jakby ktoś suchą dłonią uderzył w napiętą skórę.

Obaj gracze zwinęli się w jeden kłębek, a piłka wolno potoczyła się w stronę bramki.

- Jest! - jęknął Maniś.

Ale w tej chwili jakby wyrósł spod ziemi Kazek Pigło i szaleńczym rzutem wykopał piłkę z samej linii bramkowej.

- Jest! - zawołał Królewicz podbiegając do sędziego.

Sędzia wysunął przed siebie dłoń, jakby chciał się bronić przed gwałtownym atakiem Królewicza.

- Była bania - wsparli Wawrzusiaka koledzy.

- Nie było - przerwał spokojnie sędzia.

- To granda! - krzyknął Królewicz. Sędzia pogroził mu palcem.

- Jeszcze raz usłyszę, to usunę z boiska.

Królewicz zagryzł wargi. Jego ładne oczy płonęły gniewem. Chciał cisnąć jakieś słowa, ale nadbiegł Skumbria i odciągnął go na bok.

Gra potoczyła się dalej wśród wzrastającego napięcia. Utrzymywał się wynik remisowy. Obie drużyny za wszelką cenę pragnęły zdobyć prowadzenie. Nic więc dziwnego, że walka była ostra, nieubłagana, a tymczasem czas płynął. Zbliżał się koniec meczu. Okrzyki kibiców zlały się w jeden wielki wrzask. Widownia podzielona na dwa obozy bez przerwy zachęcała swych ulubieńców. Wokół boiska huczało, trzęsło się, kilka tysięcy ludzi opętała piekielna gorączka meczowa.

Pan Sosenka przedarł się przez zgraję maluchów oblegających linię autową, zdarł z głowy

słomkowy kapelusz, wywinął nim nad głową i wydobywszy z szerokiej piersi najpotężniejszy głos, zawołał:

- Paragon, pokaż im, co umiesz!

Maniuś, który w tej chwili otrzymał piłkę, usłyszał to bojowe wezwanie. Ruszył do przodu. Biegł jak wichur. Przedarł się przez mur graczy i podał do Mandżaro. Ten strzelił... Publiczność zamarła. Piłka mignęła nad wybiegającym bramkarzem i... odbiła się od poprzeczki. Ale wnet złapał ją Pająk. Przez chwilę tańczył na miejscu, atakowany przez dwóch przeciwników, i pomknął do przodu, uwalniając się spod ich opieki. Podał ją na skrzydło. Paragon strzelił z woleja...

- Och!... - wyrwało się z piersi tysięcy kibiców. Piłka muskając niemal słupek poszła za bramkę.

Pan Sosenska aż stęknął z przejęcia. Ocierając chustką czerwoną, mokrą od potu twarz, szeptał do siebie:

- Co za strzał... Co za strzał... O centymetry minął bramkę!

- Chłopcy, jeszcze tylko trzy minuty - wołał Stefanek, biegnąc wzdłuż bocznej linii. - Trzy minuty... - powtarzał drżącym ze zdenerwowania głosem.

Paragon usłyszał. „Trzy minuty - powtórzył w myśli. - Jeżeli nie zmienią wyniku, będzie dogrywka, a wtedy »Huragan« może wygrać”.

Piłkę wybijał Perełka. Na środku boiska złapał ją Krzys Słonecki. Prowadził ją spokojnie. Potem podał do Pajaka. Ten popisał się dwiema pięknymi „główkami”, a gdy minął pomocnika, przedłużył podanie do Ignasia. Ignas wyprysnął do przodu i w pełnym biegu oddał piłkę Maniusiowi.

- Strzelaj! - ryknęły zielone trybuny.

Paragon był już tak zmęczony, że słał się na nogach. W oczach miał mgłę. Zdawało mu się, że wszystko tonie w kleistej, ciężkiej mazi. Czuł ból przy każdym ruchu. Ale gdy zobaczył przed sobą piłkę, zerwał się wkładając ostatki sił. Ktoś biegł obok niego, dysząc ciężko. Jakaś zielona koszulka chciała mu zagrozić drogę... Dojrzał przed sobą zamazany prostokąt bramki... Minął przeciwnika i posłał piłkę do bramki... W tej samej chwili ktoś podciął mu nogi. Chłopiec upadł, przekoziółkował i zatrzymał się na samej linii bramkowej.

W uszach szumiał mu potężny wrzask trybun, w oczach migotały czarne i czerwone krążki. Widział leżącego bramkarza i żółtą kulę piłki tkwiącą w rogu bramki.

„Jest” - pomyślał.

- Jest! Jest! - usłyszał triumfalne okrzyki kolegów.

Z trudem podźwignął się z ziemi. Stał oszołomiony nagłym szczęściem. Zielona murawa boiska, błękitne płyty nieba, barwny tłum, czarne koszulki graczy, wszystko wirowało mu przed oczami, jakby stał w samym środku olbrzymiej karuzeli.

Ignas i Mandżaro rzucili mu się na szyję.

- Świetnie, Paragon! Brawo, Paragon!

Słyszał ich zadyszane głosy. Gdyby go nie podtrzymali, upadłby znowu na ziemię. Na skraju boiska ujrzał Stefanka. Trener uniósł rękę i pozdrowiał go skinieniem. Jeszcze dalej na tle stłoczonych widzów powiewał biały kapelusz pana Sosenki.

Maniuś czuł, że łzy napływają mu do oczu, a radość dławi gardło. Nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa.

Rozległ się przeciągły głos gwizdka, oznajmiający koniec meczu. Maniuś stał nieruchomo z twarzą zalaną łzami.

Barwna ściana widzów pękła jak tama pod uderzeniem wezbranej wody. Na boisko chmarą

wtargnęli malcy z Woli. Biegli ku swoim ulubieńcom krzyżąc przeciągle i zwycięsko, a na ich czele, niby biała kula, toczył się mistrz fryzjerski, pan Sosenka. Podrygiwał śmiesznie, nie chcąc dać się wyprzedzić małym urwisom. Pierwszy dopadł do Paragona. Przygarnął go do swego okazałego brzucha i poklepując po chudych ramionach, dyszał ciężko.

- Wiedziałem, że wygracie... kochani chłopcy... Wiedziałem, że strzelisz tę zwycięską bramkę... Nie zawiodłem się na tobie...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bo rozentuzjasmowani kibice porwali Paragona na ramiona i wrzeszcząc przeraźliwie, nieśli przez całe boisko aż do drzew, gdzie gracze złożyli swoje ubrania. Niesiono również innych graczy: Mandżaro, Perelkę, Ignasia i Pajaka. Bohaterowie zielonego boiska płynęli wysoko nad morzem głów. Manius rozłożył szeroko ręce. Rozdawał swe najradośniejsze uśmiechy wpatrzonym w niego ulicznikom.

Było to wielkie święto chłopców z Gołębnika. Wyśmiewani, przezywani drwiąco konusami, wygrali z niepokonanymi dotąd „Bażantami”. O tym meczu długo będą mówili mali piłkarze Woli. Tego meczu nie zapomni żaden z graczy „Syrenki”.

Myśli te kłębiły się w głowie Paragona, gdy niesiony triumfalnie na ramionach swych wielbicieli zbliżał się do kępy drzew.

Naraz rozpromieniona, szczęśliwa twarz Manusia stężała. Pod drzewami oparty o pień wielkiego klonu stał Królewicz i przymrużonymi oczami patrzył na triumfalny pochód. Manius w jednej chwili zrozumiał, że czeka na niego.

Gdy tylko uwolnił się od natrętnych malców, sam zbliżył się do Wawrzusiaka. Ten pochylił się i szepnął:

- Powiedziałeś?

- Nie. Przecież przysięgłem.

- Nie bujasz?

- Daję słowo. A co chcesz ode mnie?

- Nic. Tylko... zamknęli Kulawego Genka, tego z Marymontu.

- Którego?

- Tego, u którego była ciężarówka... Romek cię szuka. Wyrrywaj, bo jak cię złapie, to ci kości połamię...

Manius zzieleniał. Chwilę gapił się przerażonymi oczami na Królewicza. Odwrócił się. Złapał z ziemi swoje ubranie, zwinął je w kłębek i pognął w gęste zarośla, ciągnące się wzdłuż kortów tenisowych. Gdy ubiegł kawałek, postłyszał za sobą wołanie Stefanka:

- Paragon, Paragon, poczekaj!

Nie odwrócił się nawet, tylko zanurzył w chłodny gąszcz przywiedłego listowia.

ROZDZIAŁ IX

Maniuś ukryty w krzakach patrzył, jak szumiąca rzeka ludzi odpływa główną aleją ku bramie. Gdzieś w tłumie mignął mu słomkowy kapelusz pana Sosenki. Potem na moment pojawiła się smukła postać Stefanka. Obok niego zobaczył Perełkę i jajowatą, ostrzyżoną głowę Pajaka. Wnet jednak tłum ich zagarnął, zakryły zwisające gałęzie kasztanów.

Szli wszyscy razem. Zapewne do Krzysia Słoneckiego. Jego ojciec zaprosił całą drużynę na obiad. Będą rozmawiali o meczu, będą omawiali każdą sytuację podbramkową, każdy strzał, ale Manusia tam nie będzie. Nie może z nimi pójść, bo w każdej chwili, na każdym miejscu czyha nań wykrzywiona, zła twarz Romka Wawrzusiaka... Romek myśli, że to on nastął milicję na tego Kulawego Genka. Nie, nie pójdzie. Nie chce spotkać się ze wzrokiem Wawrzusiaka, nie chce dostać pięścią w twarz ani kopniaka w brzuch. To, co do tej pory od niego oberwał, było tylko przedsmaikiem tego, co go obecnie czekało.

Park niemal zupełnie opustoszał. Tylko na jasnej murawie boiska kilku malców, najzagorzalszych entuzjastów piłkarstwa, kopało jeszcze szmaciankę. W alejach posypanych żółtym wiślanym piaskiem leżały koronkowe, delikatne cienie. Na Myśliwieckiej z łoskotem przetaczały się trolejbusy, na rozgrzanym asfalcie poświstywały koła samochodów.

Maniuś wygrzebał się z krzaków. Stał na środku pustej alei. Nie wiedział, dokąd pójść. Ruszył wolno ku głównej bramie. Piasek skrzypiał cienko pod starymi trampkami. Chłopiec powlókł się przed siebie, bez celu...

Dopiero na Łazienkowskiej, gdy przechodził obok kortów tenisowych, przypomniał sobie, że kiedyś szedł tędy z Rudym Milkiem. Ta myśl pokrzepiła go nieco. Pójdzie teraz do garbuska, a wieczorem znów razem będą sprzedawali gazety.

Przyśpieszył kroku. Wiedziony instynktem ulicznika, skierował się na Czerniakowską. Myślał o Rudym Milku. Przypomniał mu się stary, mrukliwy dziadek. Mały pokoik na dole pełny rozmaitych łachów. Wspomniał pierwsze spotkanie z kaleką, a potem niefortunną wyprawę kajakiem, zakończoną na komisariacie.

Z daleka zobaczył kępę bżów osypaną siwym nalotem kurzu i małe okienko patrzące w zalaną słońcem ulicę. Pchnął skrzypiącą furtkę, przeciął mały ogródek z wydeptanym trawnikiem i zapukał do łuszczących się brunatną farbą drzwi.

- Kto tam? - usłyszał z głębi domu starczy, załamujący się głos.

To ja, Maniuś! - krzyknął niemal wesoło i nie czekając na pozwolenie wszedł do sionki. Drzwi do małego pokoiku były otwarte. W głębi przy stole siedział dziadek Milka. Majstrował coś przy starym, rozlatującym się budziku. Na widok Manusia uniósł pomarszczoną twarz.

- Czy jest Milek? - zapytał Maniuś. Dziadek pokiwał żałośnie głową.

- Ej, gdzie tam Milek... Gdzie tam Milek... - powtórzył.

- A co?

- Milek zbudował tratwę i uciekł z domu - odpowiedział prawie obojętnie. - Już trzeci dzień go nie ma.

Maniuś zagwizdał ze zdumienia.

- To ci dopiero...

- Tak, tak... Nie ma już Milka. Powiedział, że popłynie na Madagaskar...czy licho go wie dokąd. Naczytał się tych książek i zmaćilo mu się w głowie. Na Madagaskar... - zaśmiał się krótko i zaniósł się kaszlem.

- Na Madagaskar... - wyszeptał Maniuś.

- Gdzie tam na Madagaskar - zachnął się staruszek. - Milicja złapie go pod Modlinem. Wstydu mi tylko narobi.

- A jeżeli go nie złapie? - zapytał w zamyśleniu chłopiec.

- To się utopi. Nie umie pływać. Mówił, że Kolumb też nie umiał pływać, a odkrył Amerykę. Ej, ci chłopcy, ci chłopcy...

- To ci heca - powiedział Maniuś jakby do swych myśli. - A czy to daleko ten Madagaskar? - zapytał nagle.

- Chłopcze, to przecież gdzieś za Afryką... A bo ja wiem zresztą. A dlaczego się pytasz?

Maniuś uśmiechnął się żałośnie.

- Ech, szkoda, że nie poczekał na mnie, może popłynęlibyśmy razem. Nie pisał do dziadka?

- Gdzie tam... Byłem już na milicji. Przez radio go szukają.

- Przez radio!... - wyszeptał chłopiec. Myślał o tym, że Milek stanie się sławny. Wszyscy będą o nim mówili. Co kilka godzin w radiu podadzą wiadomość: *„ZAGINAŁ MAŁY CHŁOPIEC... LAT TRZYNAŚCIE... RUDY... Z GARBEM na plecach... WYPLYNĄŁ Z PRZYSTANI CZERNAKOWSKIEJ NA TRATWIE I DO TEJ PORY NIE WRÓCIŁ... POPLYNĄŁ NA MADAGASKAR... KTO WIEDZIAŁBY COKOLWIEK, PROSZONY JEST O zawiadomienie najbliższego komisariatu... Zginął mały chłopiec... ”*

Ej, ci chłopcy, ci chłopcy!... - głos dziadka przerwał tok jego myśli. Staruszek pochylił się nad rozkręconym budzikiem i nie zwracając uwagi na stojącego w progu chłopca, zaczął coś majstrować chudymi, żółtymi jak pergamin palcami.

Maniuś chrząknął.

- No... to przepraszam - powiedział i wyszedł wolnym, chwiejnym krokiem.

Na ulicy otoczył go żar letniego dnia. W głowie poczuł zamęt z wyczerpania, głodu i upału. Zdawało mu się, że ulica roztapia się w promieniach prażącego z góry słońca, asfalt jezdni marszczy się w drobne fale i zaczyna płynąć... płynąć jak rzeka.

Oparł się o drucianą siatkę suchotniczego ogródka, spoconą dłonią przetarł czoło i oczy. Ostry, wyraźny obraz opustoszałej ulicy powrócił nagle, ale uczucie mdłości i wyczerpania nie ustąpiło.

Powlókł się dalej. Na rogu ulicy zobaczył duży kiosk. Przed kioskiem mężczyźni w białych, rozpiętych koszulach pili piwo. Gęsta, brunatna piana skapywała z kufli. Na jej widok chłopcu zrobiło się chłodno, przyjemnie. Oblizwał spieczone wargi.

Wysupłał z kieszeni drobne pieniądze. Przeliczył je szybko. Było tego ponad dwa złote.

Pił chciwie. Piana skapywała mu z brody na pierś, rozkosznie chłodząc rozpalone ciało. Miał takie uczucie, jakby wraz z napojem w jego ciało wsączały się siły. Po spoconych plecach przebiegły drobne, zimne dreszcze. Otarł rękawem wilgotne usta, splunął, jak to zwykli czynić starzy piwosze, i powlókł się dalej, ku Wiśle.

W zielonych wiklinach szeleścił ciepły wiatr. Piasek był syпки i miękki jak aksamit. Maniuś położył się w cieniu, pod głowę podłożył zgięte ramię, i przez przymrużone powieki patrzył na zmienną grę światła na wodzie. Raz grzbiety fal połyskiwały jak łuski wielkiej miedzianozłocistej ryby, to znowu zapalały się drobnymi iskierkami. Woda cichutko pluskała o płaski brzeg i

wsiąkała w nagrzanym piachu. Cienie wiklin umykały po jej powierzchni jak ścigające się węże.

Daleko, na drugim brzegu, w fioletowej mgiełce kąpały się przystanie. Białe trójkąty żagli, jak skrawki pociętego kartonu, sunęły leniwie po wodzie. Czasem na połyskliwej tafli ukazywał się kajak. Bił o wodę wiosłami, niby wielka wałka rozpiętymi tasiemkami skrzydeł.

Miedziana woda sunęła miękko w dół, ku mostom. Czasem tylko mętny wir przełamał jej równą powierzchnię. Wtedy z sykiem przetaczała się sinawa grzywa fali i drobnymi pęcherzykami rozsypywała na gładziźnie. A woda wciąż płynęła, płynęła sennie i miękko.

„Z tym prądem, który, zdawałoby się, niesie ze sobą cały świat - popłynął Rudy Milek. Może jest już daleko... daleko... tam gdzie rzeka wpada do morza. Dlaczego nie przyszedł i nie powiedział, że wybiera się w tę podróż? Dlaczego nie poczekał? Teraz, gdy wygraliśmy z »Huraganem«, mogliśmy popłynąć razem. Byłoby nam weselej. A ja uwolniłbym się od strachu, uciekłbym od Romka Wawrzusiaka... Nie znalazłby nas nikt, choćby nawet dziesięć razy radio nadawało wiadomości o ucieczce dwóch małych poszukiwaczy przygód. Ej, Milek, dlaczegoś nie poczekał na kolegę?” - plątały się myśli w głowie chłopca.

Iskierki na wodzie stawały się coraz mniejsze, coraz drobniejsze. Nie wiedział, czy skrzą się jeszcze na wodzie, czy tylko pod powiekami? Przymknął oczy i szum wody ukołysał go miękko, jak najtkliwsza piastunka.

Gdy się ocknął, fala rzeki była już szara, stalowa. Drugi brzeg tonął w granatowym mroku. Chłopiec leżał jeszcze chwilę. Przeciągał się, wypędzając drętwość z ciała. Woda wciąż szemrała, ale już groźnie, ponuro, obco. Nad mostami wisiały perełki jarzących się latarni. W kępach wikliny rechotały żaby.

Maniuś wstał, zerwał gałązkę i bezmyślnie chłostał ciemny, uciekający spod nóg nurt rzeki. Nie wiedział, co robić, dokąd iść. Bał się ruszyć z miejsca. Zdawało mu się, że na każdym kroku czeka na niego Romek Wawrzusiak. Stoi z kpiącym, złym uśmiechem na swej ogorzalej twarzy, a zaciśnięte pięści gotowe ma do ciosu.

Ze złością splunął na wodę. - A cóż ja mu zrobiłem? - wyszeptał. - Czy ja go wsypałem? Przecież nie puściłem pary z ust. - Lecz nagły przyptyw bezsilnego gniewu nie przygasił tłącego się w głębi, zwierzęcego strachu.

Przypomniawszy sobie, że ciotka Frania wraca dziś ze szpitala. Pewno już jest w domu i czeka na niego. Trzeba pokazać się przynajmniej na chwilę. Niech się biedna ciotunia nie martwi. Zdecydował, że wstąpi na chwilę do ciotki. Nie chciał zastanawiać się, co będzie potem. Pocieszała go jedynie myśl, że Wawrzusiak nie wie o powrocie ciotki. Będzie go szukał u Stefanka albo w warsztacie pana Łopotka, ale nie w Gołębniku...

Nasunął głębiej czapkę i poszedł w stronę mostu, gdzie jak świetliste gąsienice sunęły tramwaje.

Gdy wchodził do bramy, zdawało mu się, że po drugiej stronie ulicy, w gruzach, poruszył się jakiś cień. Zawahał się. Stał. Nie wiedział, czy wejść do Gołębnika, czy przejść jeszcze kawałek ulicą i upewnić się, czy ktoś nań nie czeka. Przypomniawszy sobie jednak, że w Gołębniku są rozmaite ukryte przejścia, których nikt z obcych nie zna. Choćby te boczne, kuchenne schody, dające zawsze drogę odwrotu.

Spojrzał jeszcze raz na gruzy majaczące nad chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Niczego nie zauważył. „Zdawało mi się” - pomyślał wchodząc do bramy. Podwórce było puste. Tylko jakiś zbłąkany, bezpański kundel grzebał w śmietniku. Na widok chłopca podwinął pod siebie ogon, wyszczerzył zęby i uciekł przez wyłom w murze.

W suterrenach u Piechowiaków zawodziła smętna harmonia. Jakiś pijany, zachrypły głos ciągnął nieznaną piosenkę. „Pewno stary Piechowiak znowu się urzwał” - pomyślał chłopiec wchodząc na schody. Z drugiego piętra przez szczeliny w schodach sączyło się mętne światło. Żółtawym klinem wdzierało się na podwórze, oświetlając kawał podziurawionego, zaśmieconego asfaltu.

Maniuś obejrzał się i drgnął. Zdawało mu się, że ktoś skrada się pod ciemną ścianą podwórza. Ta myśl sparaliżowała jego ruchy. Znieruchomiały, z dojmującym uczuciem strachu, nasłuchiwał. Czyjeś ciche kroki przemknęły tuż za nim, a w klinie światła dojrzał czyjś cień.

Zerwał się do ucieczki. W tej samej chwili usłyszał za sobą głos Romka Wawrzusiaka:

- Nie bój się! Poczekaj!

Głos ten pchnął go do szybszego biegu. Przesadzając po dwa, trzy stopnie wspinał się na schody. Minął pierwsze piętro, zbliżał się do drugiego. Za sobą słyszał wciąż kroki i przyśpieszony oddech.

Mijając drugie piętro obejrzał się. Romek Wawrzusiak był już na podeście półpiętra. Zbliżał się do niego. Chłopiec złapał w biegu żelazny pręt i z całej siły walnął nim w szynę windy. Ponurą, czarną otchłań klatki schodowej wypełnił przeraźliwy łoskot.

- Co robisz?! - usłyszał stłumiony okrzyk Wawrzusiaka.

Kiedy dopadł drewnianego pomostu usłyszał, jak na drugim piętrze otwierają się drzwi.

- Perełka! Perełka! - zawołał.

W tej chwili Wawrzusiak złapał go za rękaw koszuli. Maniuś szarpnął się, słaby materiał trząśł jak papier. Rękaw pozostał w dłoni Wawrzusiaka. Maniuś kilkoma susami był już na górze. Dopadł drzwi. Zaczął walić pięściami. Odpowiedziało mu jedynie głuche echo. Mieszkanie było zamknięte.

- Ciociu!... - Drżący strachem okrzyk pozostał bez odpowiedzi. Za plecami chłopca zaskrzypiały schody. Cień ścigającego Wawrzusiaka rósł w półmroku pustego korytarza.

„Uciekać bocznymi schodami!” - przemknęła spłoszona myśl. Chłopiec umknął w bok. Zagłębił się w mroczny tunel pustego korytarza. W miejscu gdzie zaczynały się boczne schody, zatrzymał się gwałtownie. Dwa urwane stopnie zwisały nad czarną czeluścią jak trampolina. W dole szarzał betonowy podest. Maniuś znał zejście na pamięć. Rękami chwycił się występu w murze, nogę opuścił i w pośpiechu szukał oparcia. Znalazł je, ale w tej samej chwili zamajaczyła nad nim ciemna sylwetka Wawrzusiaka.

- Co robisz? - usłyszał zdyszany głos.

Przeraził się. Gwałtownie przechylił się do tyłu. Ręka ześliznęła się z chropowatego żelaza. Chwilę szukał oparcia, ale nie znalazł go. Uczynił rozpaczliwy ruch ramionami, jak tonący człowiek, i runął w dół...

Korytarz szpitalny zionął pustką, połyskiwał nienaganną czystością. Na drewnianej ławce siedziało pięć osób: Stefanek, pan Łopotek i trzech chłopców z Gołębnika - Perełka, Mandżaro i Pająk. Wszyscy utkwili wzrok w biały prostokąt drzwi, lśniących nieskazitelnym lakierem. Milczeli. Gdy drzwi skrzypnęły cichutko, zerwali się jak na komendę.

W progu ukazał się biały fartuch lekarza.

- Panie doktorze? - wyszeptał Stefanek. W tych dwóch słowach zabrzmiały jednocześnie wielki niepokój i krucha nadzieja.

Lekarz popatrzył na trenera zmęczonymi oczami.

- Stan jest ciężki - powiedział wolno, przyciszonym głosem. - Chłopiec nie odzyskał jeszcze przytomności.

Ogorzała twarz trenera pobladła.

- Panie doktorze... ratujcie tego chłopca - wyszeptał. Lekarz uniósł lekko ramiona.

- Robimy, co w naszej mocy.

Jego ostatnie słowa utonęły w rozpaczliwym szlochu. To mały Perełka zakrył czapką twarz, odwrócił się, oparł głowę o białe kafelki ściany i łkał gwałtownie. Jego chude ramiona trzęsły się i drgały.

Lekarz podszedł do chłopca. Położył mu na ramieniu białą, delikatną dłoń.

- Nie płacz, chłopcze - powiedział miękkiem głosem. - Zrobimy, co się tylko da...

Chłopiec odwrócił się, pokazując piegowatą, zalaną łzami twarz.

- Panie doktorze - załkał jeszcze głośniej - ratujcie go, to nasz najlepszy kolega...

Biała dłoń lekarza pogładziła piegowatą, drobną twarz chłopca.

- Dobrze... dobrze... uspokój się, mój mały.

Gdy lekarz odszedł, wszyscy w milczeniu usiedli na ławce. Pan Łopotek prze-garnął gęstą grzywę włosów grubymi palcami. Westchnął cicho:

- Mój Boże... taki był zawsze jak żywe srebro. Trener zagryzł wargi.

- A myśmy go wtedy posądzali.

- Dzielny chłopiec - szeptał pan Łopotek. - Chciał uratować ciężarówkę.

Owszystkim się dowiedziałem, proszę ja kogo, na komisariacie. Wezwali mnie. Pytają, co to za chłopiec, który wsiadł do wozu i pojechał z nimi. Cóż miałem powiedzieć? Mówię, że Paragon. Nic więcej...

- Tamci myśleli, że on ich wydał.

Sami się, proszę ja kogo, zdradzili. Jedna skrzynia podczas jazdy pękła i kakao zaczęło się sypać. Po tym kakao aż do meliny ślad prowadził. Nakryli tego, co ich melinował, a za resztą szukają. - Monter zacisnął pięść i pogroził. - Ej, gdybym ich miał w swoich rękach. Takiego chłopca mogą zmarnować!

Perełka z wielkim uznaniem patrzył na pięść pana Łopotka. Pomyślał, że gdyby był taki silny jak on, gdyby miał takie wielkie pięści, to nie wypuściłby wtedy, na schodach, Romka Wawrzusiaka. Tymczasem Romek skorzystał z zamieszania i uciekł.

Trener trącił łokciem montera.

- Panie Łopotek - wyszeptał. - To straszne, jak ci chłopcy się marnują. Rozmawiałem po meczu z Radoszem, wie pan, to kierownik sekcji piłki nożnej... "Polonia" weźmie ich pod swą opiekę.

- Znaczy, proszę ja kogo, „Syrenkę”?

- Tak...

- To ładnie... ale to kropla w morzu. Ilu takich chłopców jest na naszej ulicy? Ilu na Woli? Ilu w całej Warszawie?... Gdyby nawet dziesięć klubów chciało zaopiekować się nimi, to kropla w morzu.

- Ale dobry przykład. Jeżeli zaopiekujemy się „Syrenką”, zorganizujemy porządny zespół, za jego przykładem powstaną inne... - Urwał, obok niego ktoś głośno chrapał. Odwrócił się. Poldek Piechowiak zsunął się na jego ramię, odrzucił do tyłu głowę, otworzył usta i zachrapał głośno. Obok niego drzemał Mandżaro. Tylko Perełka trwał dzielnie na posterunku. Ale i jego oczy kleiły się snem.

Trener potrząsnął lekko za ramię Pająka.

- Chłopcy, już późno. Idźcie do domu.

Pająk ziewnął głośno i wybałuszył nieprzytomne oczy. Mandżaro otrząsnął się, jakby ktoś chlusnął na niego zimną wodą, a Perełka zamrugał jasnymi rzęsami.

- Ja nie pójdę - powiedział z uporem. - Przecież tam mój najlepszy kolega... - ruchem głowy

pokazał na białe drzwi szpitalnej sali.

- Ja też nie - dorzucił Mandżaro.

Pająk był tak zmęczony, że przytaknął tylko kiwnięciem głowy.

Trener otwierał już usta, by zaprotestować, gdy drzwi się uchyliły i w szczelinie ukazała się blada, zmęczona twarz pielęgniarki. Wszyscy poderwali się, z napięciem patrząc na nią.

- Który z panów jest Stefanek? - zapytała szeptem.

- Ja - trener wysunął się z szeregu.

- Chłopiec prosi pana...Perełka uniósł dłonie do skroni.

- On żyje? - wykrztusił z radością.

Stefanek wszedł do pokoju. Panował tu półmrok, rozproszony nikłym światłem małej nocnej lampki. W żółtym kręgu widać było obandażowaną głowę chłopca. Stefanek przybliżył się na palcach. Spośród białych zwojów bandaża patrzyły na niego przymglone oczy chłopca.

- Panie Wacku... - wyszeptał Manius i z trudem wyciągnął rękę. Trener ujął spoconą, gorącą dłoń chłopca.

- Paragon, mój chłopcze! - tyle tylko potrafił powiedzieć.

- Panie Wacku... - oczy chłopca błysnęły żywiej - kiedy gramy mecz finałowy?

- W sobotę.

Dłoń Maniusa ścisnęła palce trenera.

- Panie Wacku... Musimy wygrać... Musimy.

Chłopiec przyknął oczy. Jego gęste rzęsy rzucały cienie na poblądłe policzki.

- Wygramy - powiedział z naciskiem trener. Na ramieniu poczuł dłoń pielęgniarki.

- Musi pan wyjść. On jest bardzo wycieńczony.

- Ale już lepiej? Pielęgniarka skinęła tylko głową.

Pielęgniarka z zawodową wprawą strzepnęła termometr, narysowała kreskę na wykresie temperatur i uśmiechnęła się do chłopca.

- Ty, Paragon, masz końskie zdrowie - powiedziała swym śpiewnym głosem. - Za tydzień będziesz mógł już chodzić.

- Dopiero za tydzień - odparł chłopiec, odwzajemniając się swym łobuzerskim uśmiechem. - Wolałbym już dzisiaj.

- Ho, ho, takiś niecierpliwy. Inny na twoim miejscu cały miesiąc wygniatałby łóżko.

- Bo dzisiaj mecz...

O tym, że dzisiaj miał się odbyć mecz, wiedział już prawie cały szpital. Osoba lewo skrzydłowego „Syrenki” budziła wśród otaczających go ludzi nie tylko zainteresowanie, ale i sympatię.

Nic dziwnego: małemu pacjentowi codziennie składało wizytę kilku obdartusów z Woli, a prócz nich ciotka Frania, mistrz Sosenka, Stefanek i pan Łopotek. Zresztą zapał, z jakim chłopiec opowiadał o swej drużynie, o zbliżającym się meczu, mógł największego kwękającego mieszcucha przekonać do piłki nożnej.

Toteż od rana w sali szpitalnej o niczym innym nie rozprawiano, jak właśnie o meczu. Chorzy podzielili się na dwa obozy: jeden był za „Syrenką”, drugi za drugim finalistą turnieju „Ambrozjaną”. Nie trzeba dodawać, że zwolennicy „Syrenki” byli znacznie liczniejsi. Za „Ambrozjaną” kibicowali jedynie murarz ze złamanym obojczykiem i ekspedient z WSS, któremu spadająca skrzynia z pomidorami zmiażdżyła palec u nogi. Czynili to z pobudek lokalnego patriotyzmu, gdyż mieszkali na

Pradze, skąd pochodziła sławna „Ambrozjana”. Pielęgniarka, odchodząc od łóżka Paragona, rzuciła zaczepnie:

- Bez ciebie to twoja „Syrenka” przegra. Chłopiec uniósł się na łokciach.
- Zobaczy pani, że nie przegra. Już ich pan Wacek dobrze nastawił.
- A tobie tylko piłka w głowie - przekomarzała się pielęgniarka.
- Nie tylko piłka, proszę pani - bronił się chłopiec. - Ja po wakacjach do szkoły idę... - westchnął.

- Martwisz się z tego powodu?

- Trochę się martwię, bo nie wiem, kto za mnie będzie butelki spod baraku zbierał i u pana Sosenki zakład zamiatał. Ja już poważny staż miałem w tej branży. A ze szkołą nie wiadomo, jak będzie. Brak treningu, proszę pani. No i ta kontuzja. Na głowę upadłem i nie wiem, czy wszystko w mózgu na miejscu.

- Nie martw się, wszystko w porządku. Może nawet lepiej poustawiane - zażartowała pielęgniarka z wesołym mrugnięciem.

Maniś przymknął oczy. Pogrążył się w myślach. Było to zajęcie idealnie dostosowane do szpitalnego życia. Można było przenosić się z ulicy na ulicę, wędrować w niewymiernej przestrzeni czasu, obcować z dowolnie wybranymi ludźmi, przenosić się w urojony świat marzeń. Maniś lubił rozmyślać. Prąd myśli unosił go lekko jak fala.

Do niedawna nienawidził Królewicza, gotów był w każdej chwili skoczyć mu do oczu. Teraz, gdy dowiedział się od chłopców, że zamknięto go w zakładzie poprawczym, współczuł mu szczerze. Już nie będzie z rękami w kieszeniach spacerował przed wolskim „pedetem”; zawsze jakiś obcy, pogardliwy... Królewicza nie ma, a cały „Huragan” rozleciał się. Zabrakło mu opiekunów. „Szefa” aresztowano gdzieś na Grochowie, a Romek Wawrzusiak ukrywa się jeszcze. Ale i jego wnet złapią. Rozleciał się potężny „Huragan”, drużyna, której sama nazwa budziła respekt młodocianych piłkarzy.

Zaszeleściła gazeta. Maniś otworzył oczy. Jego sąsiad z lewej, młody tokarz z Żerania, przewracał płachtę „Życia Warszawy”.

- Te, Paragon - zagadnął - piszą o tobie.

- Pewno redaktor Chudyński - powiedział chłopiec niemal obojętnie. - Niech pan przeczyta - poprosił po chwili.

- *DZISIAJ NA BOISKU AGRYKOLI - czytał tokarz uroczystym głosem - odbędzie się FINALOWY MECZ piłkarski „dzikich” drużyn o puchar „Życia Warszawy”.*

- To się samo przez się rozumie - przerwał mu Maniś. - Ale co tamo mnie?

Zaraz... - tokarz szukał wzrokiem wśród drobnego druku wiadomości sportowych. - O, jest. Tak piszą: „*SYRENKA*” PRZYSTĄPI DO MECZU W OSŁABIONYM SKŁADZIE, BEZ SWEGO NAJLEPSZEGO GRACZA *MARIANA TKACZYKA*. BĘDZIE TO WIELKA SZANSA DLA BARDZO SILNEJ „*AMBROZJANY*”... - Tokarz spojrzął na chłopca. Ten skinął głową.

- Zrozumiałe. Ale niech się z góry nie cieszą. Piłka nożna to taka gra, że nieraz słabsi wygrywają. Każdy gracz na boisku marzy o tym, żeby wygrać. Każdy chce strzelić bramkę. Nieraz wynik zależy od tego, kto bardziej pragnie wygrać.

Powiedział to z takim przekonaniem w słabym jeszcze głosie, że tokarz przytaknął mu głową.

Maniś opadł na poduszkę, przymknął oczy i zapytał:

- Która teraz godzina?

- Piąta.

Chłopiec poderwał się. Rozpłomienionymi oczami powiódł po sali.

- Zaczyna się mecz! - zawołał. - Musimy wszyscy mocno zaciskać palec, żeby moja „Syrenka” wygrała!

Kiedy uchyliły się drzwi, a w drzwiach zobaczył rozpromienioną piegowatą gębę Perełka, wszystko stało się jasne. Perełka nie był sam. Za nim tłoczyła się cała drużyna. Maniś uniósł się z trudem i przyćmionymi ze wzruszenia oczami wodził po wesołych twarzach kolegów.

- Wygraliśmy 4:2, bracie! - odezwał się pierwszy Perełka. Za Perełką kroczył Mandżaro. Był niezwykle uroczysty. W obu rękach dzierżył wielki, kryształowy puchar. Za nim na swych chudych nogach dreptał Pajak z niezwykle zdumioną miną, jakby przed chwilą puchar spadł mu na jajowatą głowę i zamroczył go. A za Pajakiem cała drużyna: mały Ignas z perkatym noskiem, rosły i czysty, jakby wyszedł z pralni chemicznej, Krzyś Słonecki, przysadkowaty Mietek Gralewski i inni dzielni członkowie zwycięskiej drużyny. Za nimi znakomity łącznik „Polonii”, ich ukochany trener Stefanek. Uśmiechał się i porozumiewawczo mrużył oko. Obok niego lśniła kroplistym potem twarz pana Sosenki, a na samym końcu ponad wszystkich wyrastała grzywiasta czupryna pana Łopotka. Monter rozglądał się z zakłopotaniem, jakby to on jeden czuł się odpowiedzialny za ten masowy najazd na szpital.

Mandżaro postawił na stoliku nocnym kryształowy puchar i odetchnął z ulgą. Perełka wyciągnął ku Maniusiowi chudą, niezbyt czystą dłoń. Chory ścisnął ją długo. Chciał coś powiedzieć, ale nagły przypływ radosnego wzruszenia zdławił słowa.

- Wygraliśmy, bracie - powtórzył Perełka. - Pierwszą bramkę strzeliła „Ambrozjana”, ale po pięciu minutach wyrównał Ignas. Potem drugą łufę strzelił Mandżaro, ale przed samym końcem tamci znowu wyrównali... No i... no trzeba było grać dogrywkę. I graliśmy... Dwie bomby wsunął im Mandżaro, i koniec 4:2.

Dopiero po tym krótkim sprawozdaniu Maniś z trudem wydobył z siebie głos.

- Gratuluję - powiedział i dla podkreślenia niezwyklej ważności tej chwili dorzucił swe ulubione słówko: - legalnie. - A na okrasę obdarzył wszystkich swym najmiłszym uśmiechem. Wtedy właśnie za plecami pana Sosenki, w samym kącie sali, zobaczył Skumbrię. Były kapitan „Huraganu” stał zmieszany, jakby wśród tej radosnej gromadki nie mógł znaleźć dla siebie miejsca.

- Jak się masz, Rysiek? - przywitał go Maniś.

Na pochmurnej twarzy chłopca ukazał się nikły, ale niewymuszony uśmiech.

- O, właśnie - chrząknął Perełka - zapomnieliśmy ci powiedzieć. Rysiek przeszedł do nas. Wszyscy gracze „Huraganu” przechodzą do „Syrenki”.

- Jutro rozpatrzemy to na zebraniu - zaznaczył zawsze akuratny Mandżaro. Paragon wychylił się z łóżka, wyciągnął do Skumbrii rękę i powiedział wesoło:

- To świetnie! Będziemy mieli jeszcze mocniejszą drużynę!

Koniec